cena 15 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net indeks 211060 #222 04/2025

Hanna Shen
TRUMP ROZMONTOWUJE NOWY JEDWABNY SZLAK

Prezydent Andrzej Duda
uhonorowany przez „Nowe Państwo”

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO

TAJEMNICA Giertycha

ISSN 1895-4960

OKŁADKA: FOT. MARCIN OBARA/PAP, ADOBE STOCK (3)

eprasa.pl 828fb90d81

TEMAT NUMERU ▼ 4–13



Tajemnica Giertycha / 4

IDEE ▼ 14–28



„Jelenie nadziewane, ciasta sążniste, okrutne baby..." / 14

HISTORIA ▼ 36–60



Szaleniec z Estonii. Jak skoczek narciarski wywołał bunt ... / 30

KULTURA ▼ 66–76



Maryja. Bohaterka, która jest / 60

ŚWIAT ▼ 78–98



Trump rozmontowuje Nowy Jedwabny Szlak / 76

Spis treści

TEMAT NUMERU

Piotr Lisiewicz
Tajemnica Giertycha /4

Dawid Wildstein
Giertych, czyli prawdziwa morda polskiego liberalizmu /10

IDEE

Ewa Polak-Pałkiewicz
„Jelenie nadziewane, ciasta sążniste, okrutne baby...", czyli kwestia nie tylko smaku /14

Jacek Rutkowski
Liberalny koniec historii /20

Małgorzata Matuszak
W pułapce tożsamości. Poppsychologia a nasza wiedza o sobie /26

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Szaleniec z Estonii. Jak skoczek narciarski wywołał bunt przeciw sowieckiej okupacji /36

Agnieszka Kowalczyk
Dzieci, które przeżyły Auschwitz /42

Dariusz Jarosiński
Niezwykłość życia /48

Jerzy Niezbrzycki
Pomost bałtycko-czarnomorski. Szansa dla Europy i świata /54

Łukasz Czarnecki
Kobiety „Księcia Ciemności" /56

KULTURA

Krzysztof Karnkowski
Maryja. Bohaterka, która jest /66

Z Antonim Liberą rozmawia Jakub Maciejewski
Czy polską kulturę należy tłumaczyć z języka polskiego.... na polski? /70

Jan Przemyłski
Prezydent Andrzej Duda uhonorowany przez „Nowe Państwo" /74

ŚWIAT

Hanna Shen
Trump rozmontowuje Nowy Jedwabny Szlak /78

oprac. Antoni Rybczyński
Dziki putinizm. Jak wojna zmieniła Rosję /83

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji /88

Antoni Rybczyński
Pożegnanie z Afryką Francuską /90

Stefan Czerniecki
„Trzeci Watykan" od środka /94

Stałe rubryki



Katarzyna Gójska
Treser bestii
NA POCZĄTEK 3



Marcin Wolski
Brzydka agonia Zachodu
PAPKULTURA 29



Rozmowa Krzysztofa Wołodźki
Zdrowie – niedoceniony wymiar polityki
PRZYSPOSOBIENIE OBRONNE] 30



Małgorzata Matuszak
Czym jest... nieuniknione
KATECHIZM INTELIGENTA 61



Krzysztof Wołodźko
Nauczyciele w czasach II RP. Idee i proza życia
DZIENNIK LEKTUR 62



Marek Kalinowski
Midas z Notting Hill
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 77



Tomasz Sakiewicz
Katastrofa dla Polski, katastrofa dla Europy, katastrofa dla USA
OSTATNIE SŁOWO 99

OD GRUDNIA 2024
„NOWE PAŃSTWO"
DOSTĘPNE WYŁĄCZNIE W PRENUMERACIE!
Zamów na prenumerata.swsmedia.pl i zyskaj dostęp do treści, które mają znaczenie!

miesięcznik
WYDAWCA
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.
REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
NOWE PAŃSTWO

ZESPÓŁ
Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Bogusław Dopart, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Marek Kalinowski, Krzysztof Karnkowski, Agnieszka Kowalczyk, Piotr Lisiewicz, Ewa Polak-Pałkiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski, Krzysztof Wołodźko

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński

DTP
Aleksander Razcwarkow

KOREKTA
Maria Fijołek, Irena Bińta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
www.prenumerata.swsmedia.pl
prenumerata@swsmedia.pl
tel. 605 900 002
NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

NIEZALEŻNE WYDAWNICTWO SP. Z O.O.
BANK PEKAO SA
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelew z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960

eprasa.pl 628fb90d81



Katarzyna Gójska

Treser bestii

Giertych to mroczna postać polskiej polityki, obsadzona w nieformalnej roli organizatora przemocy państwa wobec opozycji.

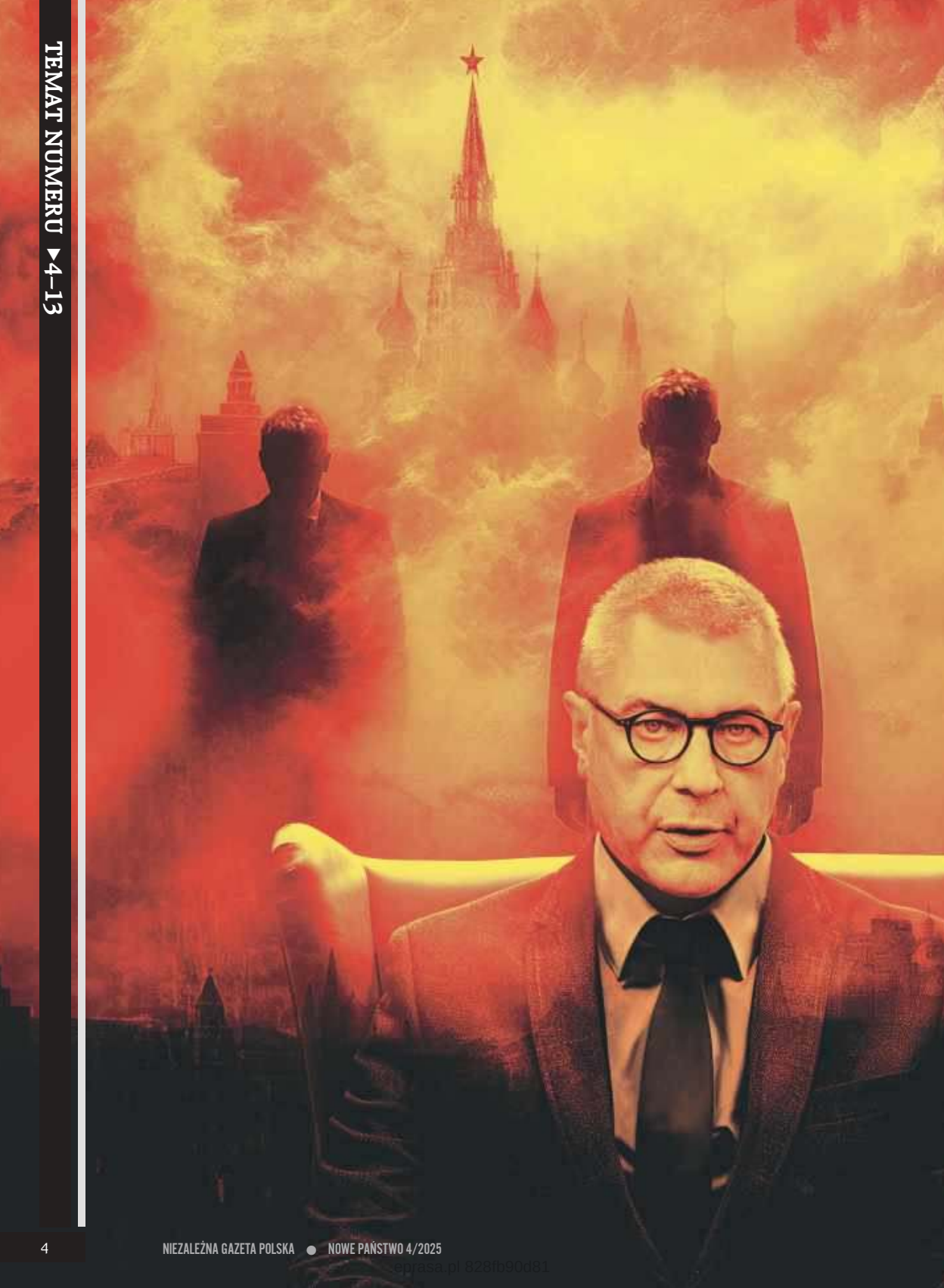
13-letni chłopiec, zmagający się od urodzenia z bardzo poważnymi problemami psychologicznymi, chwyta za nóż i grozi samobójstwem. Wszystko to dzieje się na oczach przerażonej babci, która na szczęście opanowuje jego emocje i uspokaja. Tym razem nie doszło do tragedii. Ale czy na pewno sytuacja się nie powtórzy? Ta dramatyczna historia wydarzyła się naprawdę. Pod koniec marca. Mama chłopca od ponad dwóch miesięcy przebywa w areszcie tymczasowym. Była bliską współpracowniczką premiera Mateusza Morawieckiego. Nielegalna prokuratura kierowana przez dekretowego Korneluka zarzuca jej udział w korupcji. I choć każdy zarzut dotyczący urzędników naszego państwa należy sprawdzać, kontrolować sposób wydatkowania środków publicznych, to jednak nie sposób dowiedzieć się od śledczych, jakie argumenty – merytoryczne, a nie polityczne – przemawiają za tym, by mamę chorego dziecka więzić, zamiast pozwolić jej uczestniczyć w śledztwie z wolnej stopy. I choć w tej sprawie wydano wiele opinii medycznych, opisano dokładnie wagę jej obecności dla stabilności psychicznej syna, instytucje ścigania reprezentujące demokrację walczącą realizują swój cel – stosowanie przemocy.

Bo w ich świecie – wedle opisu prokurator Wrzosek – jesteśmy dopiero co po wojnie, a po lesie grasują bandy. Zatem nowe UB ma pełne ręce roboty. Ten porażający bezprawiem przykład nie jest wyjątkiem. Upokorzenie księdza Michała Olszewskiego, którego zatrzymaniu towarzyszyła propagandowa ofensywa wtłaczająca w przestrzeń publiczną historię o romansie i pobycie w SPA, umożliwienie aresztowanym urzędniczkom korzystania z łazienki tylko pod nadzorem obserwującego je mężczyzny. Przymusowe dokarmianie posła Mariusza Kamińskiego dosłownie chwilę przed wyjściem z więzienia. Czy wykorzystanie fobii Pawła Szopy do wymuszenia złożenia zeznań, o czym triumfalnie powiadomił jeden z dziennikarzy wpływowego niemieckiego portalu. Zupełnie niedawno: drastyczne przesłuchanie śp. Barbary Skrzypek, która kilkadziesiąt godzin później doznała rozległego zawału i zmarła. To naprawdę tylko niewielki wycinek aktywności polskich organów ścigania i służb. Sprawy różne, ale łączy je wspólny mianownik – polityczne tło i łamanie praw człowieka. Brutalne traktowanie nie jest specjalnie ukrywane, bo władza liczy również na wywołanie efektu mrożącego w społeczeństwie. Ludzie mają się bać. Rząd Donalda Tuska jest pierwszym po 1989 roku, który manifestuje siłę wobec obywateli i nieliczenie się z obowiązującym prawem, usprawiedliwiając swe niedemokratyczne działania potrzebą polityczną. Tego w III RP nie było, choć – powiedzmy delikatnie – nie była ona państwem modelowo demokratycznym. Każda władza autorytarna potrzebuje trybunów domagających

Rząd Donalda Tuska jest pierwszym po 1989 roku, który manifestuje siłę wobec obywateli i nieliczenie się z obowiązującym prawem, usprawiedliwiając swe niedemokratyczne działania potrzebą polityczną.

się kolejnych seansów bezprawia. To oni – przebrani za wyrazicieli oczekiwania ludu – nawołują do przekraczania granic, do pójścia dalej w tzw. rozliczeniach. W pierwszych latach komunizmu takich delikwentów wręcz wożono po miastach i wsiach, by tam żądali od rządu ostrzejszych działań. Dziś czasy się zmieniły. Nie trzeba wozić – wystarczy zbudować farmę internetowych trolli z masową produkcją nieprawdopodobnej agresji i odczłowieczania. Jednym z treserów tych stad bestii (w Apokalipsie św. Jana bestia otwierała paszczę po to, by bluźnić) jest poseł Platformy, Giertych. To mroczna postać polskiej polityki, obsadzona w nieformalnej roli organizatora przemocy państwa wobec opozycji. Jego przeszłość i współczesną rolę opisujemy w najnowszym numerze naszego miesięcznika „Nowe Państwo”.

eprasa.pl 828fb90d81



eprasa.pl 828fb90d81

Tajemnica Giertycha

Piotr Lisiewicz



Mówił o „parchach” i „wstrętnych pederastach”. Jaka potęga stoi za nim, że mimo to został gwiazdą salonów? „Zostaniecie, dranie, rozliczeni co do grosza. Nie będzie to akt zemsty, ale sprawiedliwości” – napisał Roman Giertych. Pomyślałby ktoś, że to kolejny atak Giertycha na PiS. No to teraz ciąg dalszy zdania: „Nasza Ojczyzna dźwiga na swoim grzbiecie takie parchy, jak wy. Przyjdzie jednak chwila, gdy Naród zrozumie, kto na nim żeruje”. Tak, tym samym językiem co dziś o PiS, pisał niegdyś Roman Giertych o Żydach.

OKŁADKA. FOT. MARCIN OBARA/PAP, ADOBE STOCK (3)

eprasa.pl 828fb90d81

Roman Giertych to jedyny liczący się polski polityk, który głosił koncepcję „ścisłego sojuszu z Rosją". Nie ukrywał swego entuzjazmu dla putinowskiego patriarchy Cyryla i chciał, by z nim sprzymierzył się polski Kościół. Dziwne interesy w Rosji robiła firma Polnord. Dziś Giertych chce budowy Imperium Europejskiego, w teorii antyrosyjskiego. W praktyce oznaczałoby to wyparcie Stanów Zjednoczonych z kontynentu i uczynienie z Polski łatwej ofiary rosyjskiej agresji.

W wywiadzie dla „Gazety Polskiej" Leszek Kraskowski, dziennikarz śledczy zajmujący się aferą Polnordu, zapytany został przez Grzegorza Wszołka, jak to się stało, że Giertych, po latach funkcjonowania w polityce z łatką „faszysty" czy ostrych atakach na niego jako ministra edukacji, nagle odrodził się jako adwokat rodziny Donalda Tuska, Radosława Sikorskiego i dziesiątków innych wpływowych postaci w III RP? Jaki mógł być powód, że sądy i środowiska prawnicze przychylnie zaczęły patrzeć na adwokata, który jeszcze niedawno opisywany był przez media jako patron młodzieży wykonującej nazistowskie gesty? „Wszyscy zainteresowani postacią Giertycha stawiają to pytanie i do tej pory nikt nie znalazł na to żadnej sensownej odpowiedzi" – oświadczył Kraskowski. Spróbujmy więc my jej poszukać.

„Parchy", „wstrętni pederaści", czyli język Giertycha, który ani trochę mu nie zaszkodził

„Zostaniecie, dranie, rozliczeni co do grosza. Nie będzie to akt zemsty, ale sprawiedliwości" – napisał Roman Giertych. Pomyślałby ktoś, że to kolejny atak Giertycha na PiS. No to teraz ciąg dalszy zdania: „Nasza Ojczyzna dźwiga na swoim grzbiecie takie parchy, jak wy. Przyjdzie jednak chwila, gdy Naród zrozumie, kto na nim żeruje". Tak, tym samym językiem co dziś o PiS, pisał niegdyś Roman Giertych o Żydach.

„Jestem tu po to, by przeciwstawić się wstrętnym pederastom" – mówił Giertych jeszcze w 2007 roku podczas Marszu dla Życia i Rodziny. „To była prywatna wypowiedź. Publicznie bym tego nie powiedział" – tłumaczył potem.

Wcześniej, w książce „Kontrrewolucja młodych", Giertych głosił poglądy, w myśl których Donald Tusk bezspornie powinien znaleźć się w więzieniu: „Jeżeli ktoś jest politykiem polskim, a działa na korzyść np. Niemiec, powinien być ujęty i sądzony za zdradę. Ma on święte prawo wyjechać do Niemiec i tam działać w interesie Niemiec, ale w Polsce polityk polski MUSI działać na rzecz interesów Polski".

Co sądził o środowisku Adama Michnika? „Istnieją dwa poglądy co do źródeł tego braku suwerenności. Jedni uważają, że źródłem tym są agenci powiązani z dawnym KGB, którzy realizują politykę rosyjską. Drudzy uważają (ja do nich się zaliczam), że prawdziwym ograniczeniem naszej wolności są agenci KGB sprzedani wywiadom zachodnim oraz ludzie (dysydenci z PZPR w roku 1968), którzy za pieniądze rządów zachodnich uprawiają od dwudziestu lat politykę w Polsce".

„Ścisły sojusz z Rosją"

Książka „Kontrrewolucja młodych" ukazała się w 1994 roku. Roman Giertych przedstawił w niej swoją koncepcję „ścisłego sojuszu z Rosją". Jak pisał, wśród naszych sąsiadów są trzy państwa, które są w stanie zagrozić nam militarnie: Rosja, Niemcy i Ukraina. „Spośród tej trójki tylko Rosja nie ma do nas pretensji terytorialnych. Już sam ten fakt wskazuje na to, że o rzeczywistym i trwałym sojuszu, który gwarantowałby naszą integralność terytorialną, możemy rozmawiać tylko z Rosją. Wzajemne wsparcie polityczne pomiędzy Rosją a Polską przyniosłoby obydwu krajom wiele dobrego".

Jakie zyski miałaby odnieść Polska? „Polska uzyskałaby w ten sposób bezpieczeństwo militarne, łatwy dostęp do wszystkich surowców, olbrzymi rynek zbytu, możliwości ekspansji ekonomicznej w oparciu o Rosję na kraje azjatyckie" – wyjaśniał przyszły poseł KO. Natomiast Rosja „uzyskałaby tak bardzo jej potrzebnego sojusznika w Europie". Tym bardziej potrzebnego, że zagrażają jej Chiny i muzułmanie. Słabego punktu tego wywodu, a mianowicie faktu, że Rosja ma w planach podbój właśnie Polski, Giertych wówczas zdawał się nie dostrzegać.

Twierdził natomiast, że sojusz z Rosją pomógłby nam w oddziaływaniu na Europę Środkową: „Żebyśmy mieli szansę zbudować Europę Środkową, musimy mieć poparcie Rosji. Tak samo jak Europy Zachodniej nie zbudowano by bez poparcia USA, tak samo Europy Środkowej nie zbuduje się bez poparcia Rosji". Zaś ta Europa ma „stać się kręgosłupem walki, wokół którego skupią się wszystkie państwa wykorzystywane gospodarczo przez finansjerę zachodnią".

Bardziej prorosyjski od Kiszczaka i Siwickiego

Giertych dowodził też, że słabym pomysłem jest nasze staranie się o członkostwo w NATO: „Jedyną koncepcją, jaką zdołano się w ostatnich latach popisać, jest nachalne wpraszanie się do NATO, gdzie z uporem powtarza się, że nie mogą nas przyjąć, że nie mogą nam dać żadnych gwarancji bezpieczeństwa itp. Można uważać, że dla Polski wejście do NATO mogłoby być korzystne. Dawałoby bowiem gwarancje bezpieczeństwa ze strony Stanów Zjednoczonych i Anglii. Po pierwsze jednak nikt nam takich gwarancji dać nie chce. Po dru-

eprasa.pl 828fb90d81

gie natomiast istnieje pytanie, czy takie nawet już dane gwarancje gwarantowałyby cokolwiek w wypadku konieczności poniesienia wysiłku ze strony Zachodu w obronie Polski. Historia na tak postawione pytanie odpowiada jednoznacznie: Nie!".

Namawiał też, by Polska „nie pchała się na Zachód": „W chwili obecnej rządy nad Rosją sprawują ludzie powiązani z bankami zachodnimi. Koncepcja realizowanych przez nich przemian gospodarczych zmierza, tak jak w Polsce, do podporządkowania ekonomicznego Rosji państwom zachodnim. My dobrze znamy Rosjan i wiemy, że nie wytrzymają długo takiego poniżenia, w jakim znalazła się dzisiaj ich ojczyzna. Przyjdzie moment, gdy zapanują tam rządy jakiegoś generała, który będzie starał się przywrócić Rosji mocarstwową rolę. Gdyby do tego czasu w Polsce nadal panowały rządy ulegle służące zachodnim panom, to najprawdopodobniej w takiej sytuacji grozi nam ponowne wejście w skład imperium rosyjskiego. (…) Wyjście jest tylko jedno – musimy zmienić koncepcję polityczną. Nie pchajmy się na Zachód, gdzie nas nie chcą (…), nie starajmy się jednak odcinać od państw byłego Związku Radzieckiego".

Według Romana Giertycha zbyt antyrosyjski, a właściwie antysowiecki, był rząd Tadeusza Mazowieckiego, w którym ministrem spraw wewnętrznych był Czesław Kiszczak, a ministrem obrony narodowej Florian Siwicki, czyli najważniejsi komunistyczni generałowie. Pisał: „W Polsce od wielu lat przyjęło się, że wiele rzeczy ocenia się uczuciami. Z ocen takich wynika bardzo często nasze działanie. Jeszcze nie tak dawno panowała powszechnie opinia, że »Ruskie są złe i dlatego ich nie lubimy«. Na dobrą sprawę opinia taka nie byłaby wcale tak bardzo szkodliwa, gdybyśmy nie działali według niej. A co robi pierwszy niekomunistyczny rząd w Polsce? Zrywa wszelkie umowy i porozumienia z ZSRR, co przynosi w rezultacie olbrzymie straty, ale za to nie handlujemy już z tymi »złymi Ruskami«. Czysta głupota! Ludzie, którzy podejmują takie decyzje, są albo dywersantami, albo reagują emocjonalnie jak dwunastoletnie dziewczynki, tylko że z emocji małych dzieci najczęściej nic nie wynika, a z decyzji politycznych podjętych wbrew rozumowi mogą wynikać, jak w powyższym przykładzie, olbrzymie straty dla całego społeczeństwa".

Jaruzelski na straży sojuszu z Moskwą

Gdy ktoś z publicystów przypomina Giertychowi książkę „Kontrrewolucja młodych", ten bagatelizuje sprawę, odpowiadając, że pisząc ją, był bardzo młody. Nie jest jednak w tym konsekwentny, bo kiedy indziej z aprobatą przytacza głoszone tam przez siebie poglądy. Że nie były to hasełka głoszone przez młodego człowieka, który plecie, co mu ślina na język przyniesie, a poważnie traktowany polityczny plan, dowodzi fakt, że to samo mówił jego ojciec Maciej Giertych, i to w bardzo poważnym gronie. W stenogramie z posiedzenia Rady Konsultacyjnej przy przewodniczącym Rady Państwa z 17 lipca 1989 czytamy, że zwrócił się on do Wojciecha Jaruzelskiego, człowieka Moskwy w Polsce: „Związek Radziecki nas militarnie ochrania, jest też wypróbowanym partnerem gospodarczym. Potrzebny nam u steru ktoś, kto zapewni trwałość sojuszu ze wschodnim sąsiadem. (...) Tylko Pan, Panie Przewodniczący, może nam to zagwarantować".

Gdy Wojciech Jaruzelski wprowadził stan wojenny, dziadek Romana, emigrant Jędrzej Giertych, w przeciwieństwie do wnuka poważany do dziś przez niektóre środowiska narodowe, głosił: „Nie mogę się zgodzić z poglądem, że przewrót 13 grudnia był posunięciem politycznym sowieckim. Wszystko wskazuje na to, że było to posunięcie polskie. Grupa wojskowa polska uznała za potrzebne położyć tamę rozwijającej się anarchii i szykującej się rewolucji i dokonała przewrotu siłami polskimi i w interesie polskim. Nawet gdyby się interes sowiecki tutaj z interesem polskim zbiegał, nie oznaczało by to jeszcze zależności przewrotu polskiego od interesów sowieckich" („Opoka", grudzień 1982).

O Jaruzelskim dziadek Romana pisał: „Więcej zaufania budzą we mnie rządy komunistów-generałów niż wszystkich Gierków, Gomułków i Bierutów, już nie mówiąc o Bermanach, a także o Michnikach i Kuroniach". Co pomyślałby Jędrzej Giertych, czytając wywiad wnuka w gazecie Michnika i jej pochwały na jego temat? Tego już dziś się nie dowiemy.

„Terrorysta Dudajew", czyli język Kremla

Roman Giertych przez kolejne 20 lat nie krył się specjalnie ze swoimi koncepcjami współpracy z Rosją, ale też za często się z nimi nie afiszował, gdy nie dawało to politycznych zysków. Ale gdy polscy politycy przynajmniej w deklaracjach bronili napadniętej przez Rosję Czeczenii, jako jeden z nielicznych zaczął mówić językiem Kremla. Gdy warszawscy radni podjęli uchwałę, by rondo w Warszawie nazwać imieniem bohaterskiego prezydenta Czeczenii Dżochara Dudajewa, Giertych mówił o tym w wyjątkowo obrzydliwym stylu. Postkomunistyczny „Przegląd" pisał, iż Giertych „kpi, że skoro w Warszawie rządzonej przez Lecha Kaczyńskiego powstało rondo imienia terrorysty Dudajewa, to można oczekiwać, że PiS będzie też chciało posłać Polaków na wojnę do Czeczenii". „Terrorysta Dudajew" to był właśnie język Kremla.

Obsesję Giertycha na punkcie tej sprawy pokazuje fakt, że pytał o nią nawet w czasie obrad… Komisji Śledczej ds. Orlenu, gdy stanął przed nią 20 kwietnia

eprasa.pl 828fb90d81

2005 roku ambasador Polski w Moskwie Stanisław Ciosek. Ni z gruszki, ni z pietruszki Giertych pytał: „Proszę pana, jak pan sądzi, jak nadanie imienia jednemu z rond warszawskich… nadanie imienia Dudajewa może mieć wpływ na stosunki polsko-rosyjskie? Jak zostało to odebrane w Rosji?". Ciosek odpowiadał: „Źle, fatalnie. My się rozmijamy w Polsce w ocenie spraw Czeczenii z ocenami rosyjskimi, nie tylko Kremla, ale opinii publicznej. To są wyraźne zderzenia jakby. I to nie jest kwestia, które jest złe, a które jest dobre. My uważamy, że nasz punkt widzenia jest dobry i potępiamy itd. Natomiast, czy musimy aż tak manifestować?".

27 czerwca 2005 roku Witold Gadomski z „Gazety Wyborczej" napisał artykuł „Giertych chce jak w Rosji". „Chce rządzić podobnie jak prezydent Rosji Putin. To nie dziwi, gdyż sentyment Giertycha do Rosji jest znany" – wyjaśniał.

Świadomość, że z Giertychem jest coś nie tak, była wśród polskich narodowców dość powszechna. Jak opowiadał mi pewien kolega, był na pewnej imprezie tego środowiska, na której panowały szampańskie nastroje, toasty, dowcipy, śpiewy. W pewnym momencie wieczoru dołączył do niej Roman Giertych. W efekcie jej uczestnicy po kolei zaczęli opuszczać ją po angielsku, przypominając sobie o rzekomych ważnych obowiązkach lub potrzebie rannego wstawania.

▶ Jak Giertych liczył, że patriarcha Cyryl pokona Kaczyńskiego

Gdyby ktoś miał wątpliwości co do tego, czy poglądy Giertycha z 1994 roku się nie zmieniły, powinien je stracić w czasie resetu w relacjach z Rosją, który wzbudził w Giertychu entuzjazm, szczególnie gdy reset objął także działania polskiego Kościoła. Po nieszczęsnym wspólnym liście patriarchy Cyryla z KGB, później wychwalającego rosyjskie zbrodnie na Ukrainie, z abp. Józefem Michalikiem z 2012 roku Giertych nie ukrywał zachwytu: „Szczekający piesek pisowski, który szarpał za nogawkę polski Kościół i trzymał, żeby noga nie poszła za bardzo na wschód, został z kawałkiem szmaty w zębach. To jest początek końca PiS". Uznawał, że jest to wydarzenie przełomowe, bo polscy księża będą musieli teraz odciąć się od PiS. „Odciął on Kościół katolicki od całej tej propagandy antymoskiewskiej i budowania quasi-religijnego mitu wokół smoleńska. To będzie miało gigantyczne konsekwencje" – chwalił abp. Michalika.

Wstydliwy, całkowicie zapomniany incydent w historii polskiego Kościoła jawił mu się jako dziejowe wydarzenie, spełnienie jego marzeń o pragnącej sojuszu z Rosją prawicy, które głosił 18 lat wcześniej: „Jarosław Kaczyński z chwilą, gdy zakwestionował nową linię Kościoła wobec Cerkwi, stracił legitymację do tego, aby mieć głosy katolickie. Dzień przyjazdu Cyryla zmienił fundamentalnie rzeczywistość na prawicy".

Dodajmy, że reset był możliwy dzięki temu, że to Giertych obalił rząd PiS w 2007 roku. I jak się potem chwalił, zrobił to z premedytacją, będąc w nim obcą wtyką. „My się przyjaźniliśmy z Donaldem Tuskiem, Rokitą, Schetyną, grywaliśmy z nimi po cichu w piłkę, koszykówkę. Gdyby wówczas dowiedział się o tym nasz elektorat, toby nas rozszarpał" – mówił w 2014 roku w „Newsweeku". Powiedział też wtedy: „Rozwaliłem rząd PiS. (…) Skoro pan chciał Konrada Wallenroda, to proszę bardzo".

▶ Już nie „faszysta i sadysta"

„Roman Giertych, faszysta i sadysta" – mówiła o nim śp. prof. Barbara Świda-Ziemba w „Gazecie Wyborczej". Ale wkrótce zadziałała jakaś przepotężna siła i okazało się, że ktoś mówiący o „parchach" i „wstrętnych pederastach", może być uznany przez salony i sądy za wybitnego prawnika i polityka. Dawny śmiertelny wróg Jacka Kuronia i Adama Michnika zaczął udzielać wywiadów „Gazecie Wyborczej", zaś sam Michnik po 11 listopada napisał o Romanie i Macieju Giertychach, którzy 11 listopada składali kwiaty pod pomnikiem Dmowskiego: „Tym ludziom o tożsamości endeckiej ich długoletni przeciwnik i krytyk składa dziś pokłon".

Akcja zmiany wizerunku Giertycha ruszyła z przytupem. W lutym 2012 roku został on pełnomocnikiem czarnoskórego posła PO Killiona Munyamy, nękanego przez rasistów. „Rasizm to bardzo groźne zjawisko" – stwierdził. W lipcu 2013 roku został pełnomocnikiem mało znanego Europejskiego Związku Żydów, z nadania którego miał lobbować na rzecz Żydów i innych mniejszości w sprawie wprowadzenia zakazu uboju rytualnego. To była jasna demonstracja: zobaczcie, jaki jestem silny i wpływowy, skoro mogę robić takie numery!

▶ Pieniądze Polnordu transferowane do Rosji

Wśród licznych interesów bogacza, jakim stał się Giertych, były te związane z Polnordem, które opisał dziennikarz śledczy Leszek Kraskowski z kanału Reporterzy Online. I tam pojawia się znowu wątek rosyjski. „Byli prezesi Polnordu opowiadali w rozmowach ze mną, że Krauze dosłownie przyprowadził Giertycha do firmy i kazał mu wypłacać wielomilionowe kwoty. Nie było wiadomo, dlaczego on ma tymi milionami złotych dysponować. Oczywiście, był jakiś pretekst, ze dwie sprawy, które prowadził Giertych jako pełnomocnik miliardera, ale wynagrodzenie za obsługę prawną było absolutnie niewspółmierne do wypłacanych kwot" –

eprasa.pl 828fb90d81

mówił w wywiadzie dla „GP" Kraskowski. Na czym polegała afera? „Ryszard Krauze kontrolował spółkę Polnord, miał w niej 21 proc. akcji. Ponieważ wiedział, że te akcje zostaną niebawem przejęte przez PZU, PKO BP i Bank Gospodarstwa Krajowego, postanowił »ewakuować« się z Polnordu, czyli wyciągnąć z tej firmy maksymalnie dużo pieniędzy, ile się tylko dało. I wymyślono operację, by sprzedawać Polnordowi różne aktywa za znacznie zawyżoną cenę. Przykład? Grunty w Dopiewcu pod Poznaniem. Było pole, które zostało oficjalnie nabyte przez spółkę założoną przez żonę ochroniarza Romana Giertycha. Firma – z kapitałem założycielskim 5 tys. złotych – kupiła wspomniane grunty za 7 mln złotych, po czym po ośmiu dniach sprzedała je aż o 20 mln drożej Polnordowi, czyli za 27 mln złotych".

Według dziennikarza śledczego, z Polnordu „spore pieniądze transferowano do Rosji. Istniały budowy, na których kompletnie nic się nie działo, a nadal krążyły grube miliony dolarów. Środki były wyprowadzane do spółek rosyjskich, a te rzekomo miały stawiać bloki wraz z Polnordem".

Krauze miał związki także z rosyjskimi politykami: „Wizyty Krauzego w stolicy Rosji odbywały się jesienią 2016 roku, czyli dwa lata po inwazji Kremla na Krym. Natomiast inwestycje w Rosji były przez niego podejmowane wcześniej, ale podejrzewam, że te biznesy stanowiły tylko przykrywkę do zupełnie innych interesów. Postawiono nieruchomość w Nowosybirsku, ale dlaczego w 2016 roku Krauze leciał do Moskwy razem z nowym prezesem Polnordu, Dariuszem Krawczykiem, i spotykał się z szefem Dumy Państwowej, Wieczysławem Wołodinem? Umówmy się: nie chodziło jedynie o wybudowanie jakiegoś bloku w Saratowie".

Co o aferach gospodarczych twierdził młody Roman Giertych w 1994 roku? „Dzisiaj w Polsce nikt nie jest za nic odpowiedzialny. Jeżeli jest jakaś afera gospodarcza, jakiś błąd, niedociągnięcie itd., nie ma człowieka, który by za to odpowiadał. Odpowiedzialność rozmywa się na jakąś Radę lub inne ciało kolegialne, jakąś spółkę itp. Nigdy nie ujawnia się takiego a takiego człowieka, który ponosi taką a taką odpowiedzialność i karę. Nasze pokolenie musi żądać tego, o czym już wspomniałem – prawdy. Jeżeli była afera gospodarcza, oznacza to, że ktoś ukradł. Nie ukradła Rada czy spółka, ale bardzo konkretnie – ktoś zagarnął pieniądze. Musi być więc wyjaśnione, kto i ile. Skandale, które robią obecne elity polityczne, polegają nie tylko na tym, że ktoś kradnie, ale przede wszystkim na tym, że cały układ ukrywa złodzieja". Aha.

▶ Wielka Polska Tuska, który jest jak Bolesław Chrobry

W ostatnich tygodniach, gdy w Niemczech, we Francji, a także w Parlamencie Europejskim pojawiły się koncepcje, by Europa tworzyła konkurencyjny do NATO układ obronny, Giertych wyszedł przed szereg i w swoich wpisach zaczął snuć koncepcje powołania „Imperium Europejskiego". Oczywiście oficjalnie Giertych mówił o tym, że taka Europa będzie wspierać Ukrainę. Były (?) narodowiec ogłosił: „W Europie ma miejsce jednak również drugi proces: pogłębiająca się chęć integracji w imperium. Zaczynamy zdawać sobie sprawę, że jako pojedynczy kraje nie jesteśmy w stanie odgrywać w światowej grze roli partnera".

Dlatego pora, by „Europa wygenerowała dodatkowy, obok NATO, układ obronny. Osią tego układu musiałaby być: Polska, Niemcy, Francja i Wielka Brytania, Hiszpania i Włochy (jeśli Meloni zechce)". Powinniśmy też kupować w Ameryce mniej broni: „Musimy konsekwentnie rozwijać polską armię i ćwiczyć założenia operacyjne bez uwzględniania amerykańskiego wsparcia. To oznaczać może konieczność przekierowania, przynajmniej częściowo pieniędzy na sprzęt wojskowy z kierunku amerykańskiego na europejski".

Co mocno zaskakujące, Giertych wykrył w Europie chęć… walki z nielegalną imigracją pod duchowym przewodnictwem Donalda Tuska: „Europejczycy zauważyli ostatnio, że różnią się od migrantów z kultury islamu, którzy masowo chcieliby w Europie zamieszkać. I generalnie Europejczykom milej się żyje wśród ludzi, którzy podzielają ich wartości, niż wśród tych, których podejście na przykład do kobiet jest diametralnie różne. Stąd następuje w całej Europie przyspieszona walka z nielegalną emigracją, a ostatnio nawet zaczyna się mówić o natychmiastowych deportacjach tych, którzy popełniają przestępstwa. Myślę, że za chwilę te deportacje staną się codziennością. Nie da się budować sprawnego kraju w sytuacji, w której pewna część ludności uważa, że musi narzucić większości prawo koraniczne. (…) Pierwszym, który zauważył konieczność nowej polityki migracyjnej jest D. Tusk".

Poparcie dla imperium europejskiego to według Giertycha powstawanie… Wielkiej Polski: „Polska zaczyna dzięki duetowi Tusk-Sikorski odgrywać coraz ważniejszą rolę w UE. W niektórych sprawach zaczynamy wręcz przewodzić. To przekładać się będzie na dalsze transfery pieniędzy i inwestycji. Po milenium od koronacji Chrobrego znowu stajemy się jednym z głównych krajów kontynentu. Wielka Polska staje się faktem!".

Wielka Polska, wyzwolona od amerykańskich uwikłań, na wypadek ataku Rosji mogąca liczyć na pomoc Niemiec i Francji, to spełnienie marzeń Putina dalej nawet idące, niż koncepcja sojuszu polsko-rosyjskiego opisana przez Giertycha 31 lat wcześniej w „Kontrrewolucji młodych". ■

eprasa.pl 828fb90d81



Dawid Wildstein

Giertych, czyli prawdziwa morda polskiego liberalizmu

prasa.pl 828fb90d81



Kim jest właściwie Roman Giertych, prawa ręka Tuska, a jeśli chodzi o internet – jeden z jego najważniejszych współpracowników, kreator najgorszego i najbardziej prymitywnego hejtu, płynącego z obozu uśmiechniętej Polski?

FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/GAZETA POLSKA

Jedna z pierwszych odpowiedzi, jaka się nasuwa, brzmi: Giertych to nowy Palikot Tuska, zaś jego Silni Razem i inne aktywizowane przez niego farmy trolli to kolejna odsłona motłochu szczającego na znicze. Tę tożsamość widać najmocniej podczas obrzydliwych, cyklicznych hucp, jakie to bydło (mam świadomość ostrości tego sformułowania, ale nie da się inaczej określić tej patologii), reprezentowane przez Arkadiusza Szczurka i jego bandę, urządza każdego 10. dnia miesiąca pod pomnikiem Smoleńskim czy Wawelem. Warto przy okazji zauważyć, że za każdym razem wspomniane spędy okazują się istnym festiwalem rosyjskiej propagandy. Oczywiście cel tej zbieraniny nie sprowadza się tylko do tego typu prowokacji. Dokładnie jak w wypadku Palikota, jej zadaniem jest niszczenie debaty publicznej, osuwanie jej w prymitywizm, chamstwo i histerię. Robi co może, by możliwie pogłębić chaos informacyjny, poprzez ciągłą produkcję najróżniejszych fejków. W ostatnim czasie rola tej patologii była szczególnie widoczna przy okazji aresztowania Dariusza Mateckiego i śmierci Barbary Skrzypek. Silni Razem całodobowo wrzucali w internet kolejne fantazje o tym, jak poseł opozycji będzie gwałcony bądź mordowany w areszcie, jak cierpieć będzie jego rodzina. W wypadku Pani Basi mieliśmy zaś do czynienia z wyrażaniem radości z jej śmierci oraz snuciem paranoidalnym kretynizmów o Jarosławie Kaczyńskim, który własnoręcznie dosypywał arszenik do jej herbatki. Analogiczną rolę odgrywali podczas bezprawia, jakie spotkało ks. Olszewskiego czy dwie urzędniczki Ministerstwa Sprawiedliwości. Jednocześnie, podobnie jak Palikot i jego motłoch, Giertych oraz Silni Razem i podobne im grupy hejterów są ludźmi od „czarnej roboty". Tymi, którzy dla władzy zrobią każde świństwo, jednocześnie pozwalając innym, związanym z nią środowiskom, nie zniżać się do tego poziomu. Oczywiście ta różnica jest czysto iluzoryczna, bowiem kolejne akcje Giertycha i Silnych Razem pokazują intencjonalną synergię między tymi przestrzeniami, to, że media PO świadomie z tymi grupami współpracują, w celu kreowania optymalnej dla Tuska narracji.

Palikot wielofunkcyjny

Jednocześnie Giertych jest pod wieloma względami ulepszoną wersją Palikota, przeznaczoną do większej liczby zadań niż bydlak z gumowym penisem. Jednym z nich jest, prowadzone w sposób ciągły, terroryzowanie dziennikarzy. Każdy, kto ośmiela się krytykować władzę bądź poruszyć niewygodny dla niej temat, natychmiast znajduje się na celowniku setek internetowych trolli. Atakowany jest nie tylko on sam (a standardem tej agresji są groźby karalne, sugerowa-

eprasa.pl 8fb90d81

nie przemocy, więzienia, nawet życzenia śmierci). Celem są także rodziny ofiar, zostaje na nich wylana podobna nienawiść, stają się obiektem tych samych pogróżek. Myli się ten, kto sądzi, że w ten sposób „obrywa się" głównie dziennikarzom związanym z obecną opozycją. Okazuje się, że najważniejszym celem trolli aktywizowanych przez Giertycha są pracownicy mediów... sympatyzujących z obecną władzą. Atak następuje wtedy, kiedy zaczynają mieć wątpliwości, przestają być odpowiednio „zaangażowani". Obiektem takiej zmasowanej, prowadzonej przez Giertycha nagonki trolli stał się nawet Jadczak, który musiał zrezygnować z aktywności na platformie X z powodu skierowanych gróźb wobec niego i jego rodziny. Ofiarą stał się więc skrajnie niechętny opozycji, sympatyzujący z władzą pracownik portalu WP, tylko dlatego, że ośmielił się zadać kilka niewygodnych pytań. To pokazuje, że jedną z najważniejszych ról obecnej palikociarni jest dyscyplinowanie i terroryzowanie własnego środowiska.

Co ciekawe, nowa palikociarnia używa metod, na które nawet Palikot by się nie zdecydował. W ich arsenale znajduje się, jako ich „standardowa broń", rasizm oraz antysemityzm. Sam codziennie dostaję wiadomości o moim żydowskim pochodzeniu i o tym, że mam się natychmiast wynosić z Polski. Czy jednak może nas to dziwić? Primo, w najbliższym otoczeniu Giertycha brylują ludzie tworzący niegdyś ruch neonazistowski w Polsce. Secundo, tajemnicą poliszynela są bardzo dobre relacje Grzegorza Brauna z Pińskim, prawą ręką Giertycha. W końcu Silni Razem i tego typu oddziały hejterów uwielbiają rekrutować swoich członków z pogrobowców najgorszej, moczarowskiej komuny. Wśród nich znajdziemy też ludzi pokroju Mazguły, tępych, agresywnych, peerelowskich trepów, wśród których postawy antysemickie i rasistowskie dominują. Okazuje się więc, że w dzisiejszej Polsce władza używa, w sposób stały, jako konstytutywny element swoich rządów, rasistowskich i antysemickich grup hejterów, atakujących opozycję i dziennikarzy oraz szerzących dezinformację, także za pomocą masowej produkcji fejków. Jest to degeneracja niespotykana w żadnym innym państwie UE. Co więcej, w ten sposób, na koniec dnia, okazuje się, że w Polsce najbardziej antysemicką i rasistowską partią nie jest wcale ta straszna Konfederacja, a „liberalna" PO.

Jeszcze głębsza patologia

Casus Giertycha i jego trolli jest jednak istotny nie tylko jako obraz nędzy i rozpaczy, jaka stała się udziałem naszego państwa, odkąd rządzi nim uśmiechnięta koalicja. Jest on wyrazem dużo głębszej patologii. Giertych pokazuje bowiem prawdziwą twarz współczesnego liberalizmu peryferii, jego ostateczną ewolucję. Tego, jak upadła ta myśl, zamieniając się we własną karykaturę. Jak głęboko skorumpowane zostały środowiska przyznające się do tego prądu intelektualnego. Dziś, w państwach takich jak Polska, tzw. liberalizm partii politycznych oraz zblatowanych z nimi środowisk medialnych, intelektualnych, NGO-ów etc. nie jest już niczym więcej jak ideologią czystej władzy. Absolutnie bezideowej, cynicznej, której cele są tylko merkantylne, związane z możliwym rozszerzeniem wpływów i zwiększeniem kapitału „swoich". Następuje absolutny prymat partii, będącej celem i dobrem ostatecznym, nad państwem. W tym cynicznym, pozbawionym idei i właściwości konglomeracie obok siebie działać będą ludzie udający najróżniejsze poglądy, tożsamości.

Przypomina to rodzaj politycznej hydry – z jednego cielska wyrasta łeb o mordzie Giertycha, a obok taki z gębą Biedronia. W jednym szeregu stać będzie „liberał" opłacany niemieckimi i bidenowskimi pieniędzmi oraz skrajnie prorosyjski antysemita, pompowany przez prawą rękę Giertycha, Pińskiego. Reprezentanci tego liberalizmu noszą więc najróżniejszych maski, ale za każdym razem zakrywają one dokładnie tę samą nicość. Łączy ich za to gotowość do zaakceptowania każdej „idei", każdego narzędzia politycznego, nieważne jak populistyczne, obrzydliwe, agresywne i przestępcze by ono było, byle zachować i rozszerzać swój stan posiadania. Polski „liberalizm" zresztą specjalnie tego nie ukrywa. Sama biografia Giertycha jest jednocześnie jasnym komunikatem, wysłanym przez związane z nim dziś środowisko do każdego zainteresowanego, o treści: „Nie obchodzi nas, kim jesteś, jakie deklarujesz poglądy, jakie oskarżenia się za tobą ciągną, przyjmiemy cię, jeśli będziesz nam służył. Więcej, pozwolimy Ci nadal udawać kogo chcesz – katolika, prawicowca, lewicowca, nawet endeka – bo nam się to opłaca. W zamian nawet możemy skręcić Ci sprawę Polnordu, jeśli okażesz się użyteczny". Aż ma się ochotę zadać pytanie, czy, na przykład, niedawny pierwszy bojownik walki z homo-tęczową apokalipsą (to jego własne słowa), Terlikowski, byłby tak skłonny do nagłego nawrócenia się na Tuska, gdyby wcześniej przykład Giertycha nie upewnił go, że będzie to i bezpieczne, i opłacalne?

Pralnie brudnych idei

W tej amorficznej brei mamy więc Pińskiego z Braunem, analizujących wpływy złych żydów i USA na wybuch wojny w Ukrainie, oraz obwiązującego się tęczową flagą funkcjonariusza „GW". Mamy Wigurę, która kiedy akurat nie postuluje, by ograniczyć pomoc NATO

eprasa.pl 828fb90d81

dla Polski, obnosi się ze swoim „liberalnym backgroundem" i świeckim ateizmem. A tuż za nią zobaczymy „żarliwie modlących się» Giertycha i Terlikowskiego, z tym że ten pierwszy w Opus Dei, ten drugi w „Kościele otwartym". Nie można nie wspomnieć o rozmaitych „obywatelskich" organizacjach czy NGO-sach. Gdy przychodzi do wspierania Tuska, ramię w ramię idzie ze sobą Amnesty International i rasistowska farma trolli lub pseudoekologiczna grupa aktywistów. Oni wszyscy grają w to samo, co zresztą potwierdza dzisiejsze milczenie znacznej części tych, którzy tak niedawno wręcz codziennie wołali o kolejnej apokalipsie (z winy PiS oczywiście). To struktura mafijna, której jedynym celem jest biznes, jak najbardziej swobodny przepływ środków. To zaś, czy swoje brudne „pieniądze" będą prać w instytucji kościelnej, w ekologicznym NGO-sie, liberalnym think tanku czy endeckiej młodzieżówce – jest drugorzędne.

Od czasu do czasu w wyżej wymienionych grupach dochodzi do „konfliktów", jednak są one czysto pozorowane. Gdy przychodzi co do czego, wiedzą, że czas być cicho albo wręcz należy wychwalać to, z czym dotychczas deklaratywnie się walczyło.

Przykładów na to mamy aż nadto. Przypomnijmy „Wyborczą", której, w teorii, rdzeniem tożsamości jest nienawiść do endecji, postrzeganej przez nią jako największe zło w polskiej historii. Gdy trzeba było, drukowała list ojca Giertycha, jednego z najbardziej paskudnych, antysemickich reprezentantów tej myśli (dodatkowo kolaborujących z komuną), tłumaczącego, dlaczego prawdziwy polski nacjonalista musi głosować na PO. Autora zaś organ Michnika opisywał wtedy jako czołowego polskiego intelektualistę (człowieka, który sądzi, że dinozaury żyły z ludźmi. Inna sprawa, że to typowe dla PO, dowodem Kopacz). Tego typu przykłady można mnożyć, jednym z bardziej „uroczych" był Kołodziejczak, określany przez media Tuska, z „GW" i TVN-em, skądinąd słusznie, jako niebezpieczny, skrajnie prorosyjski zadymiarz i prawdopodobnie agent. Gdy tylko okazało się, że może odebrać część głosów PiS-owi, natychmiast stał się bohaterem polskiej wsi, dziko pompowanym przez dokładnie te same media, które wcześniej mieszały go z błotem. Warto zauważyć, że opisywane tu zmiany narracyjne następowały błyskawicznie, bez żadnego przygotowania, z dnia na dzień. W tym kontekście czy powinno dziwić nas to, co stało się z opowieścią o granicy polsko-białoruskiej, gdy, w ciągu tygodnia, ludobójstwo i nowy holocaust zostały zastąpione wspaniałą i skuteczną obroną polskich granic przez Tuska i jego partię? Jak widać, sprzedający polityczną narrację PO (lub nagle w sprawach jej dotyczących milczący) funkcjonariusze medialni, organizacje „pozarządowe", think tanki etc. grają w tę grę w pełni świadomie.

Populistyczna mafia

Warto na koniec zauważyć jeszcze jedną rzecz. Otóż opisywana chybotliwość narracji, ciągle wolty ideowe, są konsekwencją peryferyjności naszego „liberalizmu". Jego najbardziej konstytutywną cechą jest absolutna niesamodzielność. Musi być gotowy do natychmiastowej zmiany legitymizacji ideowej, w zależności od tego, kto akurat rządzi w kraju jego patronów, oraz jakie ma na ten moment interesy. Jest to istotne zwłaszcza teraz, przy tak znacznej dynamice geopolitycznej, każącej raz po raz Berlinowi czy Brukseli na nowo określać swoją międzynarodową pozycję (dlatego ostatnimi czasy ideowe wolty PO nabrały przyspieszenia). Poza tym, jak pokazuje casus Bułgarii, zagranicznym mocodawcom PO nie musi się wcale opłacać stabilna sytuacja w Polsce, nawet kiedy rządzi lokajski względem nich rząd. Chaos może być nawet lepszym sposobem na zabezpieczenie interesów eurokratów. Ciągły zamęt ideowy, absurd i sprzeczność jako dominanty debaty publicznej idealnie realizują ten cel. Zauważmy zresztą, że Polska jest jedynym krajem UE, gdzie tę samą partię polityczną, słynne osiem gwiazdek, finansowali jednocześnie: Putin, Biden, niemiecki kanclerz i brukselscy eurokraci. Widać, mimo tylu pól konfliktu, wszystkim tym siłom opłacało się jedno – inwestować w „polski liberalizm". W to, żeby państwo peryferii pozostało peryferyjne z powodu pasożytującej na nim populistycznej mafii. ■

GIERTYCH POKAZUJE PRAWDZIWĄ TWARZ WSPÓŁCZESNEGO LIBERALIZMU PERYFERII, JEGO OSTATECZNĄ EWOLUCJĘ. TEGO, JAK UPADŁA TA MYŚL, ZAMIENIAJĄC SIĘ WE WŁASNĄ KARYKATURĘ. JAK GŁĘBOKO SKORUMPOWANE ZOSTAŁY ŚRODOWISKA PRZYZNAJĄCE SIĘ DO TEGO PRĄDU INTELEKTUALNEGO.

eprasa.pl 828fb90d81



Br. Rychter-Janowska mal.

WESOŁEGO ALLELUJA!

eprasa.pl 828fb90d81

Ewa Polak-Pałkiewicz



„Jelenie nadziewane, ciasta sążniste, okrutne baby...", czyli kwestia nie tylko smaku

Jeśli komuś wydaje się, że pomiędzy posiłkiem a sprawami religii nie ma związku, jest w błędzie. Polacy w swojej kulturze i obyczajach potrafili ten związek ujawnić, celebrując zjawisko kulturowe, które określamy mianem świątecznego stołu.

Szczodrość i artystyczna malowniczość wielkanocnego stołu oraz wielka logistyczna operacja, jaką w tradycyjnych domach polskich było zawsze sprzątanie przed Świętami Zmartwychwstania Pańskiego, bywały dostatecznie często w różnych współczesnych publikacjach wyśmiewane, by nie zastanowić się nad tą nutą owej wystawności czy nawet estetycznej przesady, a w istocie przekory polskiego katolickiego żywiołu wobec kultury protestanckiej. Kultury, która nawet świętować Wielkanoc i Boże Narodzenie nakazywała oschle i bojaźliwie. Jakby tylko jednym rąbkiem umysłu i serca, ukradkiem. W Polakach zaś dochodziły do głosu hojność, żar, fantazja i polot; świętowaliśmy zawsze całym sercem.

„Wojewoda Sapieha w Dereczynie* wspaniałe wyprawiał Święcone, na które zjechało się co niemiara panów z Litwy i Korony. Na samym środku był baranek z chorągiewką, wyobrażający »Agnus Dei«; ten dawano tylko damom, senatorom, dygnitarzom i duchownym. Stały cztery ogromne dziki, to jest tyle, ile części roku. Każdy dzik miał w sobie szynki, kiełbasy, prosiątka. Kuchmistrz wielką pokazał sztukę w upieczeniu całkowitem tych odyńców. Stało dwanaście jeleni, także całkowicie pieczonych, ze złocistymi rogami, nadziane były rozmaitą zwierzyną. Te jelenie wyobrażały dwanaście miesięcy. Naokoło były ciasta sążniste, tyle, ile tygodni w roku, to jest cudne placki, mazurki, żmudzkie pierogi, a wszystko wysadzane bakalią. Za niemi było 365 babek, to jest tyle, ile jest dni w roku. Te były przyozdobione napisami, floresami, że nie jeden tylko czytał, a nie jadł. Cztery puchary były napełnione winem jeszcze od króla Stefana, 12 konewek srebrnych winem po królu Zygmuncie; dalej 52 baryłek także srebrnych, było w nich wino cypryjskie, hiszpańskie i włoskie".

Spisujący to wszystko kronikarz Łukasz Gołębiowski przypomina, że i czeladź była tu nakarmiona, przypadło jej 8760 kwart miodu, „tyle, ile godzin w roku", a wylicza to wszystko, by uprzytomnić, jak nasi przodkowie potrafili podziw dla Pana Czasu wpleść w uroczyste świętowanie Zmartwychwstania Chrystusa. Symbole, wymowa liczb miały uczynić świąteczną gościnę w magnackim pałacu – tak jak i w każdym dworku szlacheckim – wielowymiarową, poważniejszą, skłaniającą do refleksji; nie było to tylko przeganianie potężnego głodu równie potężną ucztą, po zmaganiach w Wielkim Poście.

Higieniczny pasztet jarski

Gilbert K. Chesterton lubił jeść, ale jeszcze bardziej lubił, by środowiska „nowoczesne i postępowe" nie wywierały presji na ludzi gustujących w tradycyjnej kuchni, w tym, co ludziom najbardziej smakuje, co na-

FOT. MUZEUM W PRZEWORSKU

eprasa.pl 828fb90d81

leży do dziedzictwa kulturowego kraju. Dlatego zżymał się na pomysły, by odebrać ludziom przyjemność smakowania tego, co jadali zawsze, i „nauczać" ich, co powinni jeść jako rzekomo nowocześni i odpowiedzialni obywatele. „Mam przed sobą broszurę o Zdrowym Odżywianiu – pisał jeszcze w latach 30. ubiegłego wieku – która podaje szczegółowe przepisy kulinarne na wegetariańskiego indyka, wegeteriański kotlet i w pełni higieniczny jarski pasztet. […] Nigdy nie zdołam pojąć, dlaczego życie zgodne z naturą ma polegać na spożywaniu posiłków tak zakłamanych, omalże konspiracyjnych, jak imitacja indyka. Jest to zresztą imitacja, która graniczy z parodią. W dawnych czasach podczas grubiańskich zabaw jakiś nieokrzesany, komiczny wieśniak mógł, owszem, parodiować indyka, ale dziś robi to subtelny, pełen powagi humorysta" – dodawał szyderczo pisarz.

Nie mógł przeoczyć faktu, jak do „prozdrowotnej" argumentacji wegetarian wkrada się ideologia. „Niezupełnie też rozumiem jak imitacja kotletów ma się do wegetariańskiego ideału. Ktoś kto uważa jedzenie mięsa za zwykły kanibalizm nie powinien przecież przyrządzać warzyw na podobieństwo martwego zwierzęcia. […] Autorzy broszury poświęcają przy tym całe stronice powszechnemu braterstwu, poczuciu wspólnoty, szczęściu i uzdrawianiu. […] dwadzieścia cztery wskazówki brzmią następująco: »Opróżnij umysł«, »Myśl o tym, co najlepsze«, »Doceniaj«, »Analizuj«, »Przygotuj się fizycznie«, »Przygotuj się psychicznie« – i tak dalej".

Odkrycie profesora Moulin, czyli pochwała rozrzutności

Tymczasem charakterystyczna dla naszej kultury rozrzutność podczas świętowania – w oczach „kalwinów" i „lutrów", jak zauważa polski autor „Roku Bożego" (wydanego przed wojną zbioru tradycji i obyczajów związanych z rokiem) – niezmordowane trwonienie wysiłku, czasu i pieniędzy na okazałość zewnętrznej formy święta religijnego przy stole, jest także przejawem specyficznie polskiej otwartości wobec ludzi. Gościnności, radości z powodu spotykania się z bliźnimi pod rodzinnym dachem. Cecha ta jest coraz mniej dziś w świecie popularna i doceniana. A jest to coś arcychrześcijańskiego. Coś subtelnie duchowego.

Dzień Wielkanocy jest wciąż w Polsce dniem „wesołym", czyli rzeczywiście najradośniejszym w roku, bo ludzie wierzący w Chrystusa uświadamiają sobie, że oto dokonało się coś przejmującego do szpiku kości niewysłowioną głębią i tajemnicą: odkupienie świata przez samego Boga. Grób Zbawiciela w kościołach tonie w nieprzebranym morzu kwiatów. „Gdzie kamień, gdzie straż, gdzie pieczęć, gdzie śmierć?". Wszystko pierzchło! „Niechaj drżą i rozpaczają ci, którzy nie wierzą w Chrystusa!".

Belgijski mediewista i socjolog Léo Moulin – autor pracy poświęconej historii europejskiej gastronomii – wykazał, że najlepsza kuchnia w Europie jest kuchnią katolickiej Polski. Czymś w tej dziedzinie bezapelacyjnie najgorszym jest natomiast „kuchnia luterańskich Niemiec Wschodnich" – pisał jeszcze przed zjednoczeniem Niemiec, w 1990 roku.

„Jak to możliwe – dziwił się, cytujący go w jednym ze swoich esejów Vittorio Messori – zważywszy, że klimat i surowce są jednakowe u Polaków i Niemców? Zresztą wszędzie w świecie kuchnia katolików jest lepsza od kuchni protestantów, i nawet ważniejszą rolę odgrywa w ich życiu…". Brzmieć to może trochę jak przechwałka. Ale Messori dorzuca jeszcze powiedzenie popularne we Włoszech: „Piekło to miejsce, gdzie kucharzem jest Anglik". Sprawa nie jest wcale płytka ani banalna. Profesor Léo Moulin następująco wyjaśnia tę zagadkę: „Faktem jest, że protestantyzm stłumił w człowieku radość życia: wierzący jest sam przed Bogiem, musi ponosić pełną odpowiedzialność za swoje czyny, włącznie z wyrzeczeniem się grzesznego »pożądania« pożywienia. Katolik jest bardziej wolny i mniej zakompleksiony, wie bowiem, że do pomocy ma całą gamę czynników mediacyjnych, kulturalnych i eklezjalnych. Przede wszystkim spowiedź, w jej wyzwalającym przebaczeniem. Tragedia protestantyzmu polega na tym, że zrzuca on na człowieka nieznośny ciężar. Mówiąc mu: »Twoje zbawienie jest tylko twoją sprawą, załatwiaj je sobie sam z Bogiem«, dopuszcza, że człowiek ugina się pod straszliwym ciężarem albo też zmuszony jest udawać, nawet wobec samego siebie, cnotę, której nie może już praktykować. Stąd słynna hipokryzja".

Dziękując za dar

Niektórzy znani w świecie ludzie zwykli gromko pokrzykiwać, że i Polska, i Włochy są do dziś nędznym zaściankiem, bo nie poznały uroków reformacji. Nieszczęściem naszych krajów miałby być fakt, że nauki Lutra i Kalwina nie przeniknęły poza nasze granice. „Ubolewają nad tym, lecz wiedzą, że zasiadając do stołu, aby smakować obiadek po włosku [lub śniadanie wielkanocne czy wieczerzę wigilijną po polsku – przyp. E.P.P.], zaciągają dług wobec katolicyzmu. Inaczej mówiąc – jedliby pudding lub hamburgery, albo największy przysmak – w dni świąteczne – kurczaka z frytkami". Taka jest opinia cenionego historyka sztuki kulinarnej.

Jeżeli więc świętowanie Wielkanocy tak często przebiega u nas „wokół stołu", nie znaczy, że jesteśmy tacy

eprasa.pl 828fb90d81

przyziemni i zmysłowi, lecz że dajemy naszej wewnętrznej radości także wyraz zwyczajnie ludzki, materialny, nie zapominając Kto jest Dawcą wszystkich tych dóbr, które układamy kunsztownie na stołach. Jest to także hołd złożony Bogu za Jego dary, zwłaszcza gdy świątecznemu posiłkowi towarzyszy modlitwa przed i po jedzeniu, wbrew pozorom, niezwykle doniosła. „[…] oto w samym założeniu świata widzialnego jest jakby pewien układ między człowiekiem a resztą stworzenia nie obdarzoną rozumem. »Wszystko poddane jest pod stopy człowieka« (Ps 8,7), cały świat mu służy i jest do jego dyspozycji, ale za to on ma temu światu pomagać wracać do Boga i szerzyć Jego chwałę. On ma w imieniu świata wypełniać to, czego wszystkie stworzenia świata nie są w stanie uczynić… Na tym polega głęboki symbolizm modlitwy przed i po jedzeniu. W czasie posiłku całe stworzenie, przedstawione przez trzy królestwa: mineralne, roślinne i zwierzęce, staje do usług człowieka, aby go utrzymać przy życiu, człowiek zaś przed i po spożyciu pokarmu już nie tylko w swym imieniu, ale i w imieniu całego stworzenia składa hołd i dzięki Bogu i Stwórcy wszechrzeczy" (o. Jacek Woroniecki OP).

Z pewnością także sprzątanie domów „od piwnic po strychy", czyszczenie, pranie i wietrzenie wszystkiego, co zalega w najciemniejszych kątach, w kufrach i szafach, jest także wyrazem religijnego zapału, jaki ogarnia nas przed Wielkanocą. Podobnie wielodniowe przygotowywanie świątecznego stołu, by było na nim naprawdę „bogato", a przynajmniej artystycznie i kolorowo.

Święcone, czyli wielki spektakl

„Na obu końcach stołu siadły szerokie, przysadziste, jakby tej spiżarni gospodynie, dwie okrutne baby. Ach! bez nich cóżby całe Święcone znaczyło? Na ich ogorzałych obliczach gęsto wysypane czerwone garby, a ze środka czerniawa, lepka wysączona masa upewniała wprawne znawcy oko, że mimo straszne pozory, wewnątrz i zewnątrz smacznymi były. Garnitur pierogów i placków rozmaitego kształtu i nazwania zapełniał zdarzane między półmiskami przerwy, a wszystko razem gajem zielonego bluszczu zarosłe, troje razem zmysłów, widzenia, smakowania i powonienia, nęciło" (Ignacy Chodźko, „Dworek mojego dziadka").

„»Święcone« Wielkanoce jest rdzennie polskim zwyczajem, nigdzie w innych krajach nie spotykanym" – dodaje autor „Roku Bożego". I kontynuuje: „jest dowodem bezgranicznej gościnności Polaków, którzy w dawnych czasach nieraz setki gości spraszali, przygotowując dla nich wymyślne, zbytkowne potrawy wielkanocne, tak mięsne jak i mączne, często artystycznie udekorowane".

Dworzanin hetmana Tarnowskiego, Mikołaj Pszonka, w XVI wieku tak opisał swojej żonie Święcone w zamożnym mieszczańskim domu krakowskim, na które przybył osobiście wraz z hetmanem:

„Na stole okrągłym, u którego i sto osób pomieścić się mogło, przykrytym w krzyż zszywanym obrusem, na sześciu misach srebrnych leżały mięsiwa wędzone wieprzowe, na drugich sześciu po dwoje prosiąt, kiełbasy dziwnie pachnące, ustrojone rzędami jaj święconych, pomalowanych w przeróżnej barwie, a najwięcej na rakowo. Stały figury z ciasta przedniego, wyobrażające dziwnie zabawne historyjki. Kajfasz wyjmował kiełbasę z kieszeni Mahometa, a wiadomo, że Turcy i Izraelici nie jedzą mięsa wieprzowego. Na środku stołu stał dziwnie piękny baranek z masła, wielkości naturalnej owieczki, oczy jego to były dwa brylanty w czarnej oprawie… Dalej srebrne łódeczki z konfektami wszelkich owoców, jakie Pan Bóg w kraju dał. Pan Hetman zaproszony przez pana Chroberskiego na to Święcone, przybywszy wraz z dworem, długo mu się przypatrywał".

Czy można się dziwić, że tego rodzaju obyczaje, gdzie urokom stołu towarzyszyły powściągliwość i wykwintna kultura, wywoływały niekiedy zazdrość i furię złości u naszych sąsiadów, gdzie barbarzyństwo wkraczało także w progi domów rodzinnych, dworzyszczów i siedzib bojarskich, i nie oszczędzało czasu świątecznego? Że Rzeczpospolita Obojga Narodów, gdzie dostatkowi, potędze, sile wtórowały: rozum, wiara, honor, męstwo, była bolesną drzazgą w ich oku? Nie chcieli takie-

Dzień Wielkanocy jest wciąż w Polsce dniem „wesołym", czyli najradośniejszym w roku, bo ludzie wierzący w Chrystusa uświadamiają sobie, że oto dokonało się coś przejmującego do szpiku kości niewysłowioną głębią i tajemnicą: odkupienie świata przez samego Boga.

eprasa.pl 828fb90d81

go sąsiedztwa, bali się takiej kultury. Wielu jednak było i takich, którzy pod wpływem polskich obyczajów przechodzili na katolicyzm i się polonizowali.

„Czas przystąpić do najważniejszych rzeczy, do kołaczów, placków, jajeczników, makowników i Bóg spamięta ich miana, które okrążyły jeden najpoważniejszy kołacz" – ciągnie dworzanin hetmana. „Kołacz ten miał w obwodzie z ośm łokci, gruby na dwie piędzi, a jakieśmy tylko weszli do izby, to nam zapachniał swojemi przyprawami. Po brzegach wokoło niego stały różne figurki: świeci apostołowie, udani jak żywo, a to wszystko z ciasta. Ubawił mnie bardzo Judasz rudowłosy i brzydki. Po zmówieniu zwyczajnych modlitw zaczęło się spożywanie daru Bożego".

Głęboki sceptycyzm wobec zwykłego człowieka

Tak było kiedyś, ale przecież mamy wiek XXI! Jesteśmy z konieczności pragmatyczni, oszczędni, powściągliwi, bowiem jesteśmy zapracowani, ambitni, aktywni, dbamy o dietę, uprawiamy sporty, łykamy witaminy. Zamiast pracochłonnych dań przyrządzanych w domu i spraszania tłumu gości wybieramy coraz częściej wizytę z przyjaciółmi w przytulnej knajpce. Niewątpliwie, świąteczne ucztowanie, także świąteczne tradycje – pisanki wytwarzane w domu, śmigus-dyngus (niegdyś praktykowany żywiołowo bez obawy o uszczerbek na zdrowiu), odwiedzanie Grobów Pańskich w Wielką Sobotę zamiast joggingu i rowerów w lasku podmiejskim, mają mało wspólnego z pragmatyzmem, higieną, oszczędnością i zdrowym trybem życia. Katolicy jednak przez wieki rozumieli, że praktykowanie wiary w Chrystusa musi mieć także fizyczne, materialne przełożenie na ich życie – dokąd rzeczywiście panowały w ich umysłach prawdy naszej katolickiej religii, a nie mętna „religijność". Ta ostatnia jest tylko, jak mawiał Chesterton, nieuświadomionym zabobonem i opiera się na dwóch dogmatach; po pierwsze, że ludzkość z biegiem czasu staje się bezustannie coraz lepsza (po co więc na przykład się spowiadać?); po drugie, owo ulepszenie polegać ma na coraz większej obojętności i niewierze wobec świata nadprzyrodzonego. „[…] nowe światopoglądy odnoszą się do ludzi ze skrajną nieufnością. Twierdzą, że tylko wyjątkowym osobom można dać jakieś prawa w takich kwestiach [jak własność, dieta, zdrowie, wychowanie dzieci – przyp. E.P.P.], a kiedy już się trafi taka wyjątkowa osoba, ma ona jeszcze większe prawo rządzić innymi niż sobą. Ten głęboki sceptycyzm wobec zwykłego człowieka jest wspólnym elementem, łączącym najbardziej nawet sprzeczne prądy nowoczesnej myśli. […] Tacy myśliciele nie buntują się przeciw anormalnej tyranii, lecz przeciw temu, co uważają za tyranię normalności. Nie podnoszą rebelii przeciw królom, lecz przeciw obywatelom". Jak bowiem celnie zauważył pisarz w innym miejscu: „Zlikwidujcie to co nadnaturalne, to co naturalne przekształci się szybko w to co nienaturalne".

Ale jest i trzeci czynnik. Dociekliwy Chesterton dochodzi do wniosku, w analizie pomysłów propagatorów i zwolenników „zdrowego odżywiania", że przyjmują oni naczelną zasadę, iż ciało należy traktować bardzo serio, jako coś nadrzędnego. Zaczyna stanowić ono coś w rodzaju pogańskiego boga. Staje się „jeśli nie stwórcą duszy w niebie, to przynajmniej producentem duszy na ziemi. […] ich ascetyzm został zbudowany na materializmie. Ciało, ich zdaniem, to coś w rodzaju magicznej fabryki, przerabiającej warzywa na cnoty". A jeśli trawienie jest prawidłowe, to inne sprawy stają się nieistotne, „a w każdym razie drugorzędne".

Pieczone prosię na półmisku z jabłkiem w pysku, w otoczeniu połaci jarmużu i setek malowanych jaj na polskich półmiskach, nie jest wcale przykładem festiwalu obżarstwa w wielkanocny poranek, typowej rzekomo dla sarmatów „przesady", lecz nieumiarkowania w nadziei, dziecięcego wprost zachwytu, jaki przystoi katolikom.

Jeśli chce się przenieść ascezę z życia jednostkowego, zauważa pisarz, „gdzie bywa szlachetna i piękna", do życia zbiorowego, do obyczaju powszechnego, „to jest ona po prostu wandalizmem i barbarzyńską destrukcją". Polacy przerabiali to w czasach PRL-u, zwłaszcza zaś stanu wojennego. Na gruncie amerykańskim był to wymysł purytanów, krzewicieli prohibicji (która przyjęła się także w Kanadzie i w niektórych krajach skandynawskich). „W średniowiecznej Europie ludzie odprawiali surowe posty, to fakt, ale do głowy im nie przyszło zadekretować najzupełniej serio, że odtąd nikt już nie może pić wina. Tymczasem tak właśnie zrobił ruch prohibicjonistów przy aprobacie potężnej nowoczesnej cywilizacji. […] Niektórzy pogańscy mędrcy i chrześcijańscy święci byli wegeterianami, lecz w starożytnym świecie nikt nie wieścił, że stada krów i dro-

eprasa.pl 828fb90d81

biu mają zniknąć z powierzchni ziemi. Gdyby zaprowadzić współczesną wegeteriańską utopię, po krowach nie zostałoby dymku ni popiołu. […] Nowoczesne idee w takich sprawach są gorzej niż negacją – są nihilizmem. Zawsze domagają się całkowitego zlikwidowania, totalnej prohibicji, chcą czegoś kompletnie i bezwarunkowo zakazać". To, czego domagali się w istocie kalwiniści i purytanie – rezygnacji z własnej kultury – później usiłowali wprowadzić w życie komuniści. Zawsze powód był jeden i ten sam – przeszkadzała im ludzka wolność.

„Nikt nie przebrał miary"

W katolicyzmie, zwłaszcza tym ludowym, tradycyjnym, pojawiał się tymczasem zdrowy instynkt „stawiający opór pogańskiej powadze otaczającej sprawy zmysłowe i cielesne", zaznacza Chesterton. „Jedząc pieczone prosię z jabłkiem w pysku, człowiek z samego założenia miał zdawać sobie sprawę, że i on jest stworzony z tego, co prosię budulca".

Ów instynkt nie pozwalał jednak nade wszystko, by mieszać jedno z drugim – porządku natury z porządkiem łaski, bo one są czymś całkiem różnym i oddzielnym od siebie. W Polsce to rozróżnienie było niegdyś dobrze rozumiane.

„Pan Hetman ochoczo prosił, aby mu wolno było gospodarzyć sobie podług woli. Jadł wszystkiego potroszę, napił się miodu, wina nie chciał. Podał Imć Pan Hetman święconego jajka każdemu. My czekaliśmy z wielkim uszanowaniem, aż Pan Hetman pozwoli nam przysunąć się bliżej stołu. Po niedługim czasie rzekł: Używajcie Waszmości Panowie hojności gospodarza, a skromnie i honeste [(łac.) – uczciwie, godziwie, sprawiedliwie – przyp. E.P.P.]. Sam pokłoniwszy się, pożegnał wszystkich łaskawie i odjechał na zamek. Tu my dopiero zaczęliśmy reperować, co daj Boże; miód i kołacz najgorzej trzeszczał, bo był dziwnie smaczny. W otwartości i ochocie staropolskiej odbyliśmy tę biesiadę. Każdy położył, co chciał, nikt nie przebrał miary. Po wesołym »alleluja« rozeszliśmy się wszyscy i dosiadłszy konia, ruszyli na zamek, gdzie była radość ze zmartwychwstania Pańskiego. Wszyscy dworzanie J.K. Mości i panów pospołu w dolnych izbach pili i jedli, a pamiętając na uroczystość święta Bożego, zbytku się strzegli".

Malownicze i bogate, a nawet wymyślne tradycje polskiej Wielkanocy potwierdzają, że w umysłach Polaków przez wieki królowały prawdy po stokroć przekraczające możliwości ogarnięcia ich myślą do końca, ale za to jakże inspirujące i jak wiele pola do popisu dające ludzkiej wyobraźni! Bo odwołujące się do tego, co całkowicie przekracza ludzkie doświadczenie, zaprzecza pospolitej logice doczesności – jak to Wydarzenie, które jest głównym dogmatem naszej wiary: że prawdziwy Bóg zstąpił na ziemię, stał się Człowiekiem, umarł na Krzyżu, by odkupić nasze grzechy. I choć umarł w okrutnej męce, na oczach świadków – po trzech dniach zmartwychwstał! Czy można nie szaleć wprost z radości, gdy pojęło się – choćby w niewielkiej tylko części – ów zamysł Stwórcy co do człowieka? I jego skutki sięgające wieczności, dla każdego z wierzących w Boga?

Jak słusznie zauważył Chesterton, ludzie wróciliby do tradycyjnej religii i moralności, gdyby tylko umieli wystarczająco poszerzyć swoje umysłowe horyzonty.

Dlatego pieczone prosię na półmisku z jabłkiem w pysku, w otoczeniu połaci jarmużu i setek malowanych jaj na polskich półmiskach, nie jest wcale przykładem festiwalu obżarstwa w wielkanocny poranek, typowej rzekomo dla sarmatów „przesady" w dogadzaniu sobie i imponowaniu zaproszonym gościom wystawnością i fantazją, lecz czegoś zgoła odmiennego: nieumiarkowania w nadziei, dziecięcego wprost zachwytu, jaki przystoi katolikom.

Zachwytu dla hojności, z jaką obdarował Bóg człowieka dobrami doczesnymi i wiecznymi. Odrywania się myślą i czynem od siermiężności i szarzyzny powszedniego dnia, by okazać Bogu – ale i objawić ludziom obok żyjącym – podczas wielkiego święta, swoje oczarowanie, olśnienie, pokorę i wdzięczność.

---

* Dereczyn – wieś (niegdyś miasteczko, a wcześniej miasto magnackie) w rejonie zelwieńskim obwodu grodzieńskiego Białorusi, położona na północ od Różany nad rzeką Zelwą w powiecie słonimskim województwa nowogródzkiego. Niegdyś własność Kopoczewiczów, Połubińskich oraz Sapiehów, którzy mieli tutaj swój pałac zbudowany w 1786 roku. W 1629 roku Konstanty Połubiński i jego żona Zofia z Sapiehów ufundowali w Dereczynie kościół i klasztor dominikanów. Po upadku powstania listopadowego wyposażenie pałacu, łącznie ze wspaniałymi obrazami, bogatą biblioteką i obszernym archiwum zostały wywiezione przez Rosjan do Petersburga, skąd już, jak większość zrabowanego Polsce dziedzictwa kultury, nigdy nie powróciły. Podobnie poczyniono ze zbiorami w pobliskiej Różanie, gdzie straty dla kultury polskiej były jeszcze większe [za Wikipedia.org]). ■

Źródła:
Wszystkie cytaty dotyczące opisu Święconego za: „Rok Boży", Katowice 1932.
Cytaty G.K. Chestertona z esejów: „Państwo wie lepiej", „W zdrowym ciele zdrowe ciele", „Ascetyzm rozpasany" pochodzą z tomów „Obrona wiary" i „Źródło i mielizny". Przekład Jaga Rydzewska, Fronda, Warszawa 2018.
o. Jacek Woroniecki OP, „Pełnia modlitwy", Warszawa 2018.

eprasa.pl 828fb90d81



Jacek Rutkowski

Liberalny koniec historii

eprasa.pl 828fb90d81



Jeśliby ktoś zaproponował mi wyrzeczenie się tysiącletniej polskiej tradycji, kultury, historii, mazurków Chopina, pięknych wierszy Mickiewicza, powieści Sienkiewicza, mądrych bajek Krasickiego i poematów Słowackiego – jeśliby ktoś mi zaproponował porzucenie tego całego skarbca na rzecz unijnego „bezimiennego kraju", rzekłbym jak niegdyś Ateńczycy na Areopagu: „Posłucham cię o tym innym razem".

FOT. Tomasz Hamrat/Gazeta Polska

W poprzednim artykule („Nowe Państwo" nr 2/2025) omówiłem zagadnienie heglowskiej walki o uznanie, rozumianej jako dążenie każdego człowieka do uzyskania akceptacji i szacunku przez innych ludzi. W tym artykule chciałbym pokazać, że heglizm – odpowiednio zmodyfikowany i uproszczony – dzieci wysysają z mlekiem matek. Nie twierdzę bynajmniej, że bobasy głoszą z zadowoleniem, że walka o uznanie jest momentem w dialektycznym rozwoju ducha absolutnego, dzięki któremu rozumny podmiot uświadamia sobie, że jest momentem w życiu nieskończonego ducha. Moja mała córeczka chrzestna z pewnością nigdy by tego nie powiedziała (jej gaworzenie jest po wielokroć mądrzejsze)! Chodzi o wynikające z heglizmu powszechne podskórne przekonanie, że nowoczesność jest czymś istotowo lepszym od przeszłości i że w demokracji liberalnej w sposób najdoskonalszy i jedyny w swoim rodzaju i realizuje się rozumne uporządkowanie społeczeństwa.

Doskonałe Królestwo Prus

Co ma z tym wspólnego Hegel? Otóż według jego koncepcji skończyła się już walka o uznanie, nasze czasy są zatem najdoskonalsze. Owa walka stanowi bowiem oś rozwojową procesu historycznego, postrzeganego jako linearne dążenie świadomości do wiedzy absolutnej. Dzięki temu dążeniu urzeczywistnia się w świecie Absolut, czyli filozoficzny Bóg. O ile według chrześcijaństwa Bóg przez swą opatrzność czuwa nad światem i historią, o tyle w heglizmie Bóg staje się w historii oraz stanowi immanentną zasadę rozwoju rzeczywistości. Ten rozwój dokonuje się właśnie za sprawą walki o uznanie. Absolut poszerza się i realizuje dzięki poszerzaniu zakresu rozumności. Natomiast rozumność urzeczywistnia się dzięki wzajemnemu uznaniu. Krótko mówiąc, dzięki upowszechnieniu wzajemnego uznania, staje się Bóg, a proces historyczny dochodzi do swego spełnienia. Tak zwany późny Hegel pisał, że spełnienie dokonało się już w państwie pruskim, które postrzegał jako doskonały wzorzec wolności (sic!) i rozumności. Na ten pogląd wpłynęła być może okoliczność, że Hegel, jako profesor uniwersytetu w Berlinie, był de facto urzędnikiem państwowym. Złośliwi komentatorzy twierdzą, że pisał usłużne peany na cześć władzy po prostu po to, by utrzymać się na tak znakomitej posadzie. Niezależnie od ewentualnych osobistych motywacji Hegla, warto postarać się zrozumieć, na czym mogłaby polegać doskonałość Królestwa Prus.

Trochę przed czasami Hegla Wolter wyśmiewał teodyceę Leibniza, czyli próby uzasadnienia, że żyjemy w najdoskonalszym z możliwych światów. We-

eprasa.pl 838fb90d81

dług intencji Leibniza, teodycea ma być usprawiedliwieniem Boga z mającego miejsce w świecie zła. Posługując się tomistycznym rozróżnieniem na przejawy woli Bożej poprzez działanie (operatio) i dopust (permissio) można powiedzieć, że Leibniz w całym świecie dostrzegał działanie Boga, a nigdzie nie widział dopustu Bożego. Wolter miał aż nazbyt łatwe zadanie, gdy chciał wyszydzić taką koncepcję. Posłużył się przykładem mającego miejsce w XVIII wieku trzęsienia ziemi w Lizbonie i kazał Panglossowi opiewać wspaniałość kosmosu, w którym wszystko jest dobrze, a zatem również trzęsienie ziemi jest dobre.

Wydaje się, że Heglowi nie przyświecała taka koncepcja doskonałości jako „braku braków". Można domniemywać, że w swojej wizji spełnionego procesu dziejowego dopuszczał w „najlepszym świecie" pewne mankamenty. Nie chodzi o to, żeby nie było braków, tylko o to, żeby nie było braków naprawdę istotnych. Wyrażając to w terminach filozofii Hegla, u kresu dziejów nie będzie już sprzeczności, które mogłyby się wzajemnie znieść (aufheben), wznosząc tezę i antytezę na nowy poziom syntezy. Heglowski doskonały świat może zawierać pewne usterki, niedociągnięcia, jednak tylko usterki niezbyt ważne. Na czym więc polega najlepszy świat Hegla?

Uniwersalna godność uprawniająca

Gdyby ziściły się marzenia transhumanistów o wskrzeszaniu z pomocą technologii i jakaś poczciwa kobiecina z czasów Hegla mogła zobaczyć, jak w centrum Krakowa panowie przebrani za panie nawołują do wręczenia jałmużny, z pewnością by zawołała: „Olaboga! Toż to koniec świata!" (nie ujawniam, jaka organizacja miałaby pośredniczyć w przekazaniu [części] tej jałmużny chorym z obawy o własną wolność). W ten sposób, trochę niechcący, ujawniłaby sedno heglowskiej filozofii! Oto mądrość ludów! Pełne zaskoczenia słowa poczciwej kobieciny można by sformułować w języku Hegla mniej więcej w taki sposób: „Historia stanowi sensowną, ukierunkowaną całość, w której dokonują się różne próby zaprowadzenia sprawiedliwego porządku społeczno-politycznego. Doskonały porządek to taki, który zapewnia bezwarunkowe i powszechne wzajemne uznanie godności. Skoro takie rzeczy odbywają się publicznie, no to chyba już wszyscy uzyskali bezwarunkową godność. Także trzeba przyznać, że l'ordre règne à Cracovie (porządek panuje w Krakowie) i historia osiągnęła swój cel".

Godność – to pojęcie wytrych, które spopularyzował Immanuel Kant, a które przed uchwaleniem Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka w 1948 roku stanowiło swoisty ekwiwalent tych praw. Jak godność może stanowić ekwiwalent praw? Rzecz w tym, że o ile dawniej godność miała sens obligujący, o tyle nabrała z czasem sensu uprawniającego. Święty Tomasz z Akwinu pisał, że nieumiarkowanie jest najbardziej naganną wadą, bo uleganie żądzom sprowadza nas do poziomu zwierząt – zatem ulegając żądzom, tracimy swą godność. Człowiek pełen godności nie ulega żądzom, lecz kieruje się rozumem – do tego jest zobligowany jako człowiek. Mężczyzna, który ma godność, nie będzie udawał, że jest kobietą, gdyż wówczas sprzeciwiłby się prawdzie i światłu rozumu. Uleganie żądzom i udawanie jest niegodne człowieka, gdyż jest nierozumne.

Gdyby Orwell pisał dzisiaj swoją utopię, nie omieszkałby zapewne zamieścić w świecie przedstawionym Ministerstwa Godności, które trudniłoby się wywracaniem na nice dawnego pojęcia godności. Zgodnie z tym dawnym pojęciem święty Tomasz mógłby powiedzieć: „Człowieku! Skoro jesteś człowiekiem, to masz przyrodzoną godność, więc zachowuj się tak, jak przystało temu, kto posiadł boski dar światła rozumu!". Natomiast minister godności u Orwella (albo w Polsce) powiedziałby: „Skoro jesteś człowiekiem, to masz przyrodzoną godność, więc róbta co chceta!". Od tego nowego pojęcia godności jest już bardzo niedaleko do praw człowieka. Prawa człowieka są bezwarunkowe, podobnie jak godność w takim rozumieniu. Prawa człowieka wynikają z przyrodzonej godności. Ich powszechne stosowanie to warunek wzajemnego uznania godności. Gdy jednak godność przestała mieć konotacje obligujące i pozostał jedynie jej aspekt uprawniający, również prawa człowieka straciły jakiekolwiek oparcie. Skoro prawa człowieka wynikają z godności, a godność polega wyłącznie na posiadaniu uprawnień, powstaje z tego jakiś upiorny wąż, który zjada własny ogon. Zupełnie nie wiadomo, jakie by nam miały przysługiwać prawa – wobec tego można tworzyć kolejne ich wersje w postaci kolejnych „generacji" praw człowieka.

Nie tylko można, ale wręcz trzeba. Skoro celem historii jest powszechne wzajemne uznanie, nie można nikogo pozostawiać bez uznania. Jeśli pojawi się jakakolwiek grupa roszczeniowa, życząca sobie uznania – należy go udzielić. Inaczej przeczy się godności tej grupy, a to przeczy prawom człowieka i postępowi. Postęp polega bowiem na poszerzaniu uznania, wszelkie odmawianie uznania bądź tolerancji świadczy o wstecznictwie.

Można by pokusić się o zarzut, że w tej koncepcji czyni się ze wzajemnego uznania bożka, wręcz Absolut, oraz abstrahuje się od wymiaru moralnego samego uznawania. Jednak na terenie heglizmu nie

eprasa.pl 828fb90d81

jest to w gruncie rzeczy zarzut, gdyż Absolut właśnie polega na wzajemnym uznaniu. Najwyższe dobro to w heglizmie osiągnięcie przez świadomość wiedzy absolutnej, a to się dokonuje przez wzajemne uznanie. Nie ma mowy o żadnej „zwykłej" moralności.

Liberalny koniec świata

Gdyby istniał jakiś porządek społeczno-polityczny, w ramach którego mogłoby się zrealizować bezwarunkowe uznanie godności wszystkich ludzi i zapewnienie wobec nich stosowania praw człowieka wobec wszystkich – gdyby istniał taki porządek, wtedy moglibyśmy powiedzieć, że wprowadzenie go oznaczałoby koniec historii, przynajmniej według koncepcji Hegla. Francis Fukuyama stwierdził w swojej słynnej książce „Koniec historii i ostatni człowiek", że taki porządek istnieje i jest nim demokracja liberalna. Ten prowokacyjny tytuł rodzi natychmiastowy opór i potencjalne drwiny – wszak historia dalej trwa, wcale się nie skończyła. Fukuyama zastrzegł, że miał na myśli „koniec" w sensie łacińskiego „finis", które oznacza zarówno kres, jak i cel. Historia dobiegła końca, czyli swojego celu – demokracji liberalnej. Dalej niemożliwy jest żaden istotny rozwój – niepodobna się rozwinąć powyżej najwyższego możliwego rozwoju. Wyrażając to w terminach filozofii Hegla, można powiedzieć, że skoro świadomość osiągnęła poziom wiedzy absolutnej, to nie może już osiągnąć poziomu wiedzy „bardziej" absolutnej. Nie ma nic bardziej absolutnego od tego, co absolutne. Absolutność jest jak dokładność – gdy mówi się o czymś, że jest „bardziej dokładne", to znaczy, że tak naprawdę nie jest dokładne. Dokładność to stopień najwyższy – na podobnej zasadzie nie można przekroczyć Absolutu.

Fukuyama nie sądził bynajmniej, że nastąpi jakiś utopijny stan idealny, w którym wszyscy osiągną ostateczne szczęście. Na świecie dalej będą występować różne problemy i kataklizmy. Te problemy będą jednak miały charakter marginalny, nie będą dotyczyły głównego nurtu historii. Coraz więcej krajów będzie przyjmowało demokrację liberalną i wtedy nie będzie już dalszego rozwoju społecznych instytucji. Wszystkie istotne problemy ludzkości znajdą w demokracji liberalnej swe ostateczne rozwiązanie. Jeśli nie miałoby sensu przechodzenie od czegoś, co doskonałe, do czegoś niedoskonałego, przeto historia dobiegłaby kresu wraz z wprowadzeniem we wszystkich krajach demokracji liberalnej.

Można by uśmiechnąć się szyderczo i stwierdzić, że w różnych krajach ludzie mają już dość demokracji liberalnej i wprowadzają coś, co Viktor Orbán w swoim słynnym exposé z 2014 roku nazwał demokracją nieliberalną (chociaż przede wszystkim chodziło o demokrację chrześcijańską). Podobne fakty nie stanowią jednak bardzo istotnego argumentu przeciwko tezie Fukuyamy, która dotyczy procesu historycznego w potencjalnie bardzo odległej perspektywie. Chodzi o długi rozwój ludzkości, trwający być może stulecia. Koniec historii niekoniecznie musi się zrealizować tu i teraz, być może będzie potrzeba jeszcze kilku większych lub mniejszych tąpnięć. Skoro zatem fakty empiryczne są tu w pewnym sensie drugorzędne, warto tezie Fukuyamy przyjrzeć się bliżej z teoretycznego punktu widzenia.

Demokracja walcząca

Teza Fukuyamy ma dwa aspekty. Z jednej strony stwierdzający, a z drugiej strony wartościujący. Z jednej strony Fukuyama głosi, że za sprawą wprowadzenia demokracji liberalnej nastąpi(ł) koniec historii, z drugiej strony – że jest to godne pożądania i wartościowe. Biorąc pod uwagę ten drugi aspekt, należy postawić pytanie: dla kogo koniec historii w postaci powszechnej demokracji liberalnej jest godny pożądania? Oczywiście dla owego ulubionego przez rewolucjonistów wszelkiej maści i nie tylko, aczkolwiek nigdy niewidzianego bytu – ludzkości. Ludzkość już od swych początków dąży nieubłaganie do swego ostatecznego spełnienia – demokracji liberalnej.

Niestety nie wszyscy są w stanie to zrozumieć. Są takie gnuśne ludy (jak Węgrzy, Włosi czy Amerykanie), które w swoim zaślepieniu i zaściankowości po prostu nie pojęli, że wynikającym z samej logiki procesu historycznego celem ludzkości jest wprowadzenie i zachowanie demokracji liberalnej. Ci pariasi świata mieli dosyć liberalnego komponentu demokracji, opowiadając się za demokracją „bezprzymiotnikową" bądź chrześcijańską. Aż do połowy XIX wieku liberałowie zgodnie twierdzili, że między liberalizmem a demokracją jest przepaść, że są nie do pogodzenia. Później, gdy lud zaczął domagać się prawa głosu, rozmaici liberałowie zaczęli się głowić, co mogliby zrobić, żeby demokracja nie naruszyła liberalnych praw jednostek i własności najbogatszych. Owa troska o liberalne prawa jednostek i własność najbogatszych kryje się pod hasłem praw człowieka. Mający status quasi-oficjalnego filozofa politycznego współczesnej Republiki Federalnej Niemiec, Jürgen Habermas, twierdzi, że społeczeństwa zachodnie wyznają dwie wartości absolutne: opartą na kantowskiej idei godności doktrynę praw człowieka i demokrację jako jedyną prawowitą formę ustroju. Krótko mówiąc, demokracja liberalna to ustrój oparty na tych „wartościach absolutnych": głosowanie większościowe, prawa człowieka, a dodatkowo instytucje

eprasa.pl 828fb90d81

mające zapewnić funkcjonowanie liberalnych zasad. Ostatnio jedną z tych instytucji stała się Unia Europejska, czuwająca troskliwie nad „prawomyślnością" demokracji w krajach stowarzyszonych.

Co jednak, gdy (jakoby) suwerenny naród w ramach głosowania powszechnego nie zechce poprzeć ustanowionych przez liberalne elity praw człowieka? Wtedy, jak wiadomo, mamy do czynienia z „naruszeniem praworządności". Demokracja liberalna nie polega na władzy większości. Jest ona podporządkowana liberalnym metazasadom instytucjonalno-politycznym. Wobec tego ów ustrój należałoby nazywać liberalizmem demokratycznym albo liberalizmem z elementami demokracji. Mówienie o demokracji liberalnej to pięknie brzmiąca fasada, za którą stoją nowe elity – liberalna arystokracja: Ursula von der Leyen, Emmanuel Macron czy nasz rodzimy Donald Tusk. Jako że mówienie o demokracji brzmi lepiej niż mówienie o liberalizmie, ilekroć zostaje naruszony liberalny komponent demokracji liberalnej, nawołuje się do obrony „demokracji". Skuteczna obrona „demokracji" wymaga czasem nie lada wysiłku – w takich wypadkach nazywa się ją „demokracją walczącą", jak to ujął kilka miesięcy temu premier Donald Tusk.

Pojęcie demokracji walczącej wprowadził w latach 30. XX wieku niemiecki politolog Karl Loewenstein. Proponował on „opancerzenie" demokracji w taki sposób, aby liberalny komponent nie mógł zostać naruszony nawet w wyniku wyborów. Na ów liberalny „pancerz" miały się składać takie elementy jak: penalizacja nieliberalnych doktryn, cenzura, zwalnianie z urzędów przeciwników demokracji liberalnej oraz internowanie osób zagrażających demokracji liberalnej. Brzmi znajomo? Nie powinno nas specjalnie dziwić, że Herr Tusk stosuje stare zasady niemieckiej myśli politycznej. Nawiasem mówiąc, Karl Loewenstein snuł swoje rozważania w obliczu grozy narodowego socjalizmu – wybranego przecież w głosowaniu demokratycznym. Skoro nawiązał do nich Donald Tusk w kontekście rozprawy z opozycją, czyni tak, jakby należało tę opozycję zrównać z NSDAP. Być może chciał w ten sposób nawiązać do tezy innego „politologa" pierwszej połowy XX wieku, Józefa Stalina, który dzielił wszystkie partie polityczne na komunistyczne i faszystowskie. Nie ulega wątpliwości, że partie opozycyjne w Polsce nie są komunistyczne, a zatem…

W „demokracji walczącej" wybory są oczywiście wolne, jednak głosować można tylko na odpowiednich kandydatów – takich, którzy spełniają liberalne normy. Wyborcy mogą sobie oczywiście wybierać, ale tylko między kandydatami uznanymi przez liberalne elity za odpowiednich. Chesterton postanowił w pewnym eseju zakpić z takiego pozornego wyboru, jaki oferują wybory. Przedstawił wyimaginowaną sytuację, w której różne stronnictwa polityczne pragnęłyby namalować premiera Wielkiej Brytanii na różne kolory. Jedno ugrupowanie optowałoby za kolorem zielonym, zaś ugrupowanie przeciwne nawoływałoby do zastosowania czerwieni. Rozpoczęłaby się wielka krajowa debata, w której strony prześcigałyby się elokwencją i argumentami – aż w końcu powołano by się na najwyższą instancję – lud. Tenże miałby w krajowym referendum zadecydować: zieleń czy czerwień. A tymczasem lud mógłby chcieć premiera w kratkę. Albo w kropki. A może nie chciałby w ogóle malować premiera. Niestety, nie byłoby żadnej partii, która przedstawiłaby podobne projekty. Byłyby one źle widziane w kręgach politycznych elit. Zresztą nikt, komu nie są obce demokratyczne ideały wolności i praw człowieka, nie mógłby nawet sugerować, że premier Wielkiej Brytanii powinien być namalowany w kratkę czy w kropki!

Państwo bez tożsamości

Te gnuśne i opieszałe ludy, które nie nadążają za awangardą postępu i bezmyślnie obrały sobie za przywódców nieliberalnych polityków, wydają się być zatem niezadowolone z demokracji liberalnej. Koniec historii w wersji Fukuyamy zdaje się im nie służyć. Dlaczego? Oto za sprawą najnowszego i najgroźniejszego wroga globalizmu i postępu – tożsamości, szczególnie tożsamości narodowej. Według Fukuyamy – a zdają się z nim zgadzać współcześni propagatorzy multikulturalizmu – jedyna racjonalna forma uznania polega na uznaniu uniwersalnym. Jeśli jakieś państwo przyznaje obywatelstwo tylko członkom określonej grupy narodowej, oznacza to, że nie uznaje członków innych grup. To zaś jest nieracjonalne, gdyż rozróżnienie między człowiekiem i nieczłowiekiem jest w pełni racjonalne, natomiast rozróżnienie między jedną grupą ludzką a drugą – już nie, gdyż jest „przypadkowym i arbitralnym produktem ubocznym ludzkiej historii".

To rozumowanie wydaje się bezbłędne. Jego uderzająca prostota wprost onieśmiela. Przeprowadźmy je dla kategorii nieco bliższych i może mniej abstrakcyjnych niż „naród" i „państwo", żeby zobaczyć, czy na pewno wnioski wynikają z przesłanek. Załóżmy, że Józio (mały chłopiec) chce zapisać się do klubu szachowego dla zaawansowanych. Co prawda nie umie grać w szachy, ale słyszał od kolegi, że na zajęciach klubu szachowego jest bardzo dobra pizza (czytaj: świadczenia socjalne). Józio to bardzo inteligentny chłopiec i czytał już „Koniec historii i ostatniego człowieka", więc pomyślał sobie tak: „Jeśli jakiś klub

eprasa.pl 828fb90d81

szachowy przyznaje członkostwo tylko osobom o zaawansowanych umiejętnościach szachowych, oznacza to, że nie uznaje osób o niższych umiejętnościach. To zaś jest nieracjonalne, gdyż rozróżnienie między człowiekiem i nieczłowiekiem jest w pełni racjonalne, natomiast rozróżnienie między jedną grupą ludzką (dobrze grający w szachy) a drugą (nieumiejący grać w szachy) – już nie, gdyż jest przypadkowym i arbitralnym produktem ubocznym ludzkiej historii".

Niestety – klub szachowy kieruje się innymi zasadami niż europejska polityka migracyjna. Józio nie dostałby się do klubu szachowego. Prezes klubu powiedziałby do niego zapewne: „Józiu! Nie mam nic przeciwko, żebyś wstąpił do naszego klubu, ale musisz najpierw dobrze poznać grę w szachy!". To jest zupełnie w porządku, nawet dla współczesnego zwolennika multikulturalizmu i równości. Jeśli jednak premier jakiegoś państwa powie: „Nie mam nic przeciwko, żeby cudzoziemcy otrzymywali obywatelstwo, ale muszą najpierw poznać dobrze nasz kraj, język, kulturę, muszą pokochać naszą ojczyznę i stać się z nią głęboko związani" – to czysty nacjonalizm i faszyzm.

To doprawdy nie do zniesienia. Można używać rozsądku, gdy przyjmuje się członków do klubu szachowego, jest to natomiast surowo zabronione, gdy idzie o przyjmowanie członków do wspólnoty państwowej. Można czynić rozróżnienia w kwestii umiejętności szachowych, jednak lepiej się od tego powstrzymać, gdy mamy do czynienia z duchowym podglebiem człowieka, jakim jest narodowość. Jeśli ktoś nie widzi różnicy między członkami jednej grupy ludzkiej a członkami innej grupy ludzkiej, nie świadczy to o wielkiej błyskotliwości ani spostrzegawczości. Jeśli ktoś nie widzi różnicy między koniem a krową, pasącymi się po drugiej stronie pola, to nie nazywamy go człowiekiem błyskotliwym, tylko krótkowidzem. Natomiast jeśli ktoś nie widzi różnicy między Francuzem a muzułmańskim mieszkańcem Maghrebu, to nie nazywamy go człowiekiem ograniczonym, tylko zwolennikiem europejskiej polityki migracyjnej.

Polityka tożsamościowa to według Fukuyamy zagrożenie dla demokracji liberalnej. Cóż, w takim razie tym gorzej dla demokracji liberalnej. Jeśliby ktoś zaproponował mi wyrzeczenie się tysiącletniej polskiej tradycji, kultury, historii, mazurków Chopina, pięknych wierszy Mickiewicza, powieści Sienkiewicza, mądrych bajek Krasickiego i poematów Słowackiego – jeśliby ktoś mi zaproponował porzucenie tego całego skarbca na rzecz unijnego „bezimiennego kraju", rzekłbym jak niegdyś Ateńczycy na Areopagu: „Posłucham cię o tym innym razem". Jeśli zachowanie tożsamości narodowej stanowi problem dla demokracji liberalnej, to znaczy, że coś jest nie tak z demokracją liberalną. Jeśli mamy znaleźć równowagę między polskością a demokracją liberalną, to powinniśmy jakoś dostosować demokrację liberalną do polskości. Jeśli chcemy uformować Polskę przez jakiś ustrój polityczny, powinniśmy go dostosować do Polski. Jeśli chcemy chodzić po górach, powinniśmy dostosować obuwie do trasy. Europejska elita władzy sugeruje nam zaniechanie pomysłu chodzenia po górach i chodzenie w japonkach, bo chodzenie po górach to zagrożenie dla noszenia japonek.

Demokracja liberalna a sprawa polska

Na przykładzie Polski doskonale widać jeszcze jeden ważny problem związany z demokracją liberalną. Chodzi o uniwersalność uznania, mającą rzekomo miejsce w demokracji liberalnej.

Słynny Komitet Obrony Demokracji, powołany m.in. w celu kontestowania wyników wyborów, to chodząca sprzeczność. Należy dopowiedzieć, że chodzi tu o obronę „prawdziwej" demokracji. Skoro wybory wygrała nieodpowiednia partia, przecząca liberalnym wartościom – to znaczy, że nie były to „prawdziwe" wybory. Dlaczego? Bo prawdziwe wybory są liberalne. Wyborca, który głosuje na partię nieliberalną, to żaden wyborca. To uzurpator. Jeśli ktoś nie głosuje na partię opowiadającą się za szeroko rozumianym liberalizmem, to znaczy, że nie rozpoznał celu procesu historycznego, jakim jest powszechne zwycięstwo demokracji liberalnej. A skoro nie rozpoznał tego celu, to znaczy, że szwankuje mu rozum. Podobne rozumowanie przeprowadził Maksymilian Robespierre w odniesieniu do Ludwika XVI. Dziwiono się, czemu głosował za zabójstwem króla, mimo że zawsze opowiadał się przeciwko karze śmierci. Odpowiedział, że jest przeciwko karze śmierci dla ludzi – a Ludwik XVI był tyranem, a zatem nie był człowiekiem. Demokracja liberalna oznacza prawo głosu dla wszystkich ludzi – a ci, którzy głosują na partie nieliberalne, nie mają rozumu, a zatem być może nie są ludźmi.

Jak należy postąpić z takimi osobnikami? Należy przyznać, że dokonał się od XVIII wieku pewien postęp i już nie głosuje się dla nich za karą śmierci. Otóż w nowoczesnej, postępowej i uśmiechniętej Polsce należy takie osoby, za przeproszeniem, *****. Według Francisa Fukuyamy najwyższą zaletą demokracji liberalnej jest to, że zapewnia ona uznanie godności dla każdego człowieka. Jeśli uznanie godności polega na tym, żeby kogoś *****, to uprzejmie dziękuję, ale wolałbym chyba inną formę uznania. ■

eprasa.pl 828fb90d81



Małgorzata Matuszak



W PUŁAPCE TOŻSAMOŚCI.

Poppsychologia a nasza wiedza o sobie

Współczesny człowiek żyje szybko, daje się bombardować różnymi bodźcami z każdej strony, trudno mu znaleźć czas i przestrzeń na głębsze zastanowienie się, kim jest, czego chce i jakim hołduje wartościom. Nie wiedząc, kim jest, czując pustkę, łatwo i szybko przystaje na rozwiązania, które podsuwa mu poppsychologia. Ona podpowie mu, co ma robić, kim ma się stać, w dodatku na efekty nie trzeba będzie długo czekać. Są to jednak podpowiedzi złudne.

eprasa.pl 828fb90d81

Internet w dużym stopniu upowszechnił wiedzę z różnych dziedzin życia, w tym z psychologii. Jest to zjawisko najogólniej mówiąc korzystne, ale ma ono również swoje cienie. Psychologia w dobie Internetu zmienia się na forach i kanałach YouTuba najczęściej w poppsychologię, a ta zakłamuje nasz obraz ludzkiego świata i nas samych. Najbardziej niepokojące jest to, że często bezmyślnie posługujemy się modnymi w poppsychologii określeniami do nadawania sobie i innym pewnych tożsamości – myślimy i utwierdzamy się w swym przekonaniu, że jesteśmy tymi, kim w istocie nie jesteśmy. W nabywaniu fałszywej tożsamości poppsychologia odgrywa niestety niepoślednią rolę.

„Gnothi seauton" jako zadanie ludzkiego życia

Jedna z największych mądrości zachodniej cywilizacji, wyryta na portyku świątyni Apollina w Delfach, brzmi: „Gnothi seauton", czyli „Poznaj (samego) siebie". Przykazanie to było jednym z kluczowych zadań, przed jakimi stawiali zarówno siebie, jak i innych filozofowie antyczni. Jednak wezwanie „poznaj siebie" wydaje się ponadczasowe w tym sensie, że człowiek bez względu na czasy, w których żyje, odczuwa potrzebę budowania swojej tożsamości, określania tego, kim jest. Nie wystarczy w tym procesie nadawania tożsamości wiedza zaczerpnięta od innych, choć wiedzy na temat tego, kim jesteśmy, często dostarczają nam inni ludzie, będąc niejako lustrem dla nas samych. Prawdziwa znajomość siebie opiera się jednak na naszym kontakcie ze sobą i świadomości własnych motywów, przeżyć, myśli i intencji oraz całości tego, co składa się na nasz mentalny świat. Ludzie z naszego otoczenia mogą mieć wiedzę o nas jedynie pośrednią. Widząc nasze zachowanie, mogą się domyślać tego, jakie są nasze intencje, ale to my mamy bezpośrednią wiedzę o sobie, gdyż mamy, czy też mieć winniśmy, kontakt z samym sobą.

Człowiek ma nieustanną potrzebę nadawania sensu i znaczenia nie tylko własnemu życiu, lecz także rozumienia, interpretowania oraz określania samego siebie. Mówiąc najprościej: lubimy wiedzieć, kim i jacy jesteśmy. Już od dzieciństwa pyta się nas, kim chcemy być, gdy dorośniemy, mając na myśli nasz zawód, jesteśmy pytani o to, jak się nazywamy, czym się zajmujemy, jacy jesteśmy. Nasza tożsamość kształtuje się od najwcześniejszych lat aż do późnej starości, gdyż w trakcie życia zmienia się zarówno nasza tożsamość indywidualna, jak i społeczna, zmienia się nasz zakres ról społecznych (na przykład córki, żony, matki) czy zawodowych. Jako że czasem jednak tracimy kontakt ze sobą, odcinamy się od siebie na skutek negatywnych przeżyć czy też nasza rzeczywistość zmienia się szybko i tracimy orientację co do samych siebie, a jednocześnie wymagania społeczne narzucają nam konieczność udawania kogoś, kim się nie czujemy, może pojawić się u nas problem z budowaniem autentycznej tożsamości.

W takiej sytuacji nie wiemy, kim jesteśmy, czy też nie umiemy być sobą, żyjąc jednak wśród ludzi, musimy się jakoś wobec nich określać. Budujemy więc naszą fałszywą tożsamość, która przypomina maskę, którą nosimy, aby być rozpoznawalnymi dla innych. I tu przechodzimy do sedna naszego problemu. W sytuacji, gdy gubimy nasze poczucie prawdziwego ja, w sukurs przychodzi nam właśnie poppsychologia.

Fałszywa tożsamość

Psychologia jako nauka, mając za zadanie również diagnozowanie różnego typu osobowości, podsuwa nam poręczne kategorie do diagnozowania i określania siebie. „Szufladkowanie", z którym mamy do czynienia w diagnostyce psychologicznej, niesie z sobą wiele niebezpieczeństw, wymaga czasu i ogromnego wyczucia, nie jest więc procesem łatwym. Psycholog musi być gotowy na ciągłą naukę i doskonalenie warsztatu, szukanie nowych rozwiązań i rozumienia na coraz głębszym poziomie. Poppsychologia idzie w tym względzie na skróty, podsuwa odpowiedzi szybkie i poprzez to satysfakcjonujące. Wystarczy przejść kilka testów, odpowiedzieć na listę pytań, by znaleźć diagnozę swoich problemów. W wydaniu poppsychologii otrzymujemy stąd niepotwierdzone badaniami i rzeczywistością różne typy osobowości i różne zaburzenia, których używamy zależnie od aktualnej mody, aby podkreślić swoją odrębność, określić tożsamość, a czasem wyróżnić się na tle innych.

Psychologia, a szczególnie poppsychologia, nadąża za tą naszą potrzebą budowania tożsamości, nadając żywym ludziom pewne etykiety, które nie zawsze służą, w wydaniu poppsychologii, diagnozie i leczeniu. Czasem są to określania stygmatyzujące, jak chociażby określenie „narcyz", które stało się ostatnio modne w Internecie, często nadużywane wobec ludzi, którzy mają na nas negatywny wpływ. Mówi się również o „toksycznej osobowości", która – jako pojęcie – w naukowej psychologii nie występuje, czy o syndromie DDA czy DDD, który choć mniej nadużywany i być może prawdopodobny, często również służy nam za rodzaj etykiety, która stała się słowem-wytrychem, służącym do objaśniania nam wszystkiego, co nas dotyczy i co robimy. Dość niedawno pojawiło się też określenie „osobowość wysoko wrażliwa", nazwa, która tylko w przybliżeniu opisać może ludzką osobowość, a stosowana przez niektórych ludzi jako rodzaj

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 828fb90d81

etykiety, czasem nawet etykiety bardzo użytecznej, gdyż stawiającej w centrum wrażliwość jej użytkownika i dającej mu w domyśle specjalne prawa, zawiesza tym samym wrażliwość innych ludzi, którzy przecież też nią dysponują.

Te wszystkie modne w poppsychologii określenia, które czasem przejmujemy, są wygodne i po części zwalniają nas z trudu poznania na własną rękę tego, kim jesteśmy my sami, i tego, kim są inni ludzie. Musimy jednak pamiętać zawsze, gdy ich używamy, że są to w psychologii zaledwie pewne schematy diagnostyczne, które nie wyczerpują całości i bogactwa ludzkiej osobowości. Nie powinniśmy więc sobie nadawać za ich pomocą pewnej fałszywej tożsamości, która choć może wydawać się wygodna z poznawczego punktu widzenia i rozpoznawalna dla innych, to nie stanowi całej prawdy ani o nas samych, ani o innych ludziach, wobec których stosujemy te schematy. Nie powinniśmy więc pozwolić dać się formatować jednowymiarowo przez określenia poppsychologii, ale sami szukać prawdy o sobie i nie zasłaniać się przed wiedzą o sobie parawanem pojęć psychologicznych, które choć użyteczne, są mimo wszystko tylko pewnymi przybliżeniami rzeczywistości ludzkiej.

Pułapki poppsychologii

Mają się te etykiety do nas samych tak, jak rodzaj mapy do prawdziwego terytorium – pozwalają czasem nam samym lepiej zrozumieć siebie i innych, ale nie oddają całej prawdy o rzeczywistym krajobrazie. Są to raczej tylko punkty orientacyjne, które możemy przyjąć, aby w dalszej kolejności sami już orientować się na temat tego, kim jesteśmy, a odpowiedź na to pytanie jest zadaniem być może całego naszego życia. Prawdziwa tożsamość daje nam bowiem możliwość bycia sobą, a fałszywa nas tylko formatuje pod jednym względem, usuwając w cień inne aspekty nas samych i innych ludzi, nie pozwalając nam dostrzec w pełni rzeczywistości.

Z pewnością jest właściwe, abyśmy czerpali ze zdobyczy nauki, w tym psychologii, wiedzę na temat ludzkiego świata i nas samych. Są to wspaniałe osiągnięcia ludzkości. Ważne jest również to, że zaburzenia i choroby mentalne coraz częściej pojawiają się – dzięki popularyzacji psychologii właśnie – w polu debat publicznych, tak jak to na przykład stało się z depresją. Jednak musimy pamiętać, aby nie nadużywać pojęć i mieć najpierw na tyle gruntowną wiedzę o tym, co mówimy, abyśmy mogli adekwatnie używać nazewnictwa naukowego, w szczególności wtedy, gdy określamy nimi siebie i innych ludzi. Odnosi się to choćby do wspomnianej już depresji. Jest ona niezwykle poważną chorobą, wymagającą konkretnej pomocy. Niestety, bywa trywializowana, ale również nadużywana jako pojęcie w określaniu stanu człowieka, który doświadcza po prostu obniżonego nastroju.

Poppsychologia podsuwa diagnozy łatwo i szybko, tak naprawdę zakłamując psychologię. Można bowiem za jej sprawą odnieść wrażenie, że psychologia to zestaw prostych tricków czy też technik, które szybko można wdrożyć w życie i osiągnąć sukces. A przecież to nieprawda. Praca nad sobą i poznawanie siebie to procesy żmudne i wymagające ogromnego niekiedy wysiłku. Poza tym ten sam problem może u każdego człowieka wynikać z różnych czynników, nie istnieją zatem właściwie w psychologii rozwiązania uniwersalne, działające na każdego. Nie istnieją także rozwiązania „na już", magiczne niejako, jeśli zaś ktoś nam je podsuwa, to po prostu wprowadza nas w błąd. Jeśli nawet jakieś efekty się pojawią, to jedynie korzyści krótkotrwałe lub efekt placebo, który nie rozwiąże rzeczywistych problemów, zwykle głęboko zakorzenionych w ludzkiej psychice.

Współczesny człowiek łatwo daje się omamić poppsychologii. Żyje szybko, zbyt szybko, daje się bombardować różnymi bodźcami z każdej strony, czuje się zagubiony, trudno mu znaleźć czas i przestrzeń na głębsze zastanowienie się, kim jest, czego chce i jakim hołduje wartościom. Nie wiedząc, kim jest, czując pustkę, łatwo i szybko przystaje na rozwiązania, które podsuwa mu poppsychologia. Ona podpowie mu, co ma robić, kim ma się stać, w dodatku na efekty nie trzeba będzie długo czekać. Zawsze też pomogą mu celebryci ze swoją gotową receptą, kim trzeba być i jak kimś takim się stać. To jednak zaprzeczenie idei, która przyświecała wezwaniu „poznaj siebie".

Wyzwanie współczesności

Delfickie przykazanie „gnothi seauton" ostrzega przed fałszem subiektywnej świadomości i poucza, że najważniejsze dla każdego człowieka jest zdobycie obiektywnej wiedzy na temat samego siebie, wiedzy Apollińskiej, która stanowi o szczęściu człowieka i jego powodzeniu w życiu. Minęły wieki, ale przykazanie to nie straciło na znaczeniu. Wręcz przeciwnie, w czasach dzisiejszych, w których często mówi się wręcz o kryzysie ludzkiej tożsamości, w obliczu różnorodności lansowanych obecnie stylów życia, norm etycznych, światopoglądów, jak również wielorakość wizji człowieka, jest wciąż aktualne, i jego głęboki sens winien znajdować zrozumienie i uznanie. Można jednak zasadnie wątpić w to, czy poppsychologia jest najwłaściwszym narzędziem, które może nam pomóc w poznaniu siebie. ■

eprasa.pl 828fb90d81



Marcin Wolski

Brzydka agonia Zachodu

Wyobrażam sobie, że za jakieś tysiąc lat odwiedzi nas grupa turystów z innej cywilizacji kosmicznej i oprowadzana przez gospodarzy, beżowych Afro-azjatów, zawita do wyludnionej Europy, gdzie badania archeologiczne ujawniły właśnie ruiny Berlina, Paryża, Londynu, zniszczonych przez wielkie wędrówki ludów i zapomniane na wiele stuleci. A gdy padnie pytanie, dlaczego te kultury upadły, usłyszy zdawkową odpowiedź: „Na własną prośbę".

Czy u nas ktoś zajmuje się tematem przyczyn upadku cywilizacji Zachodu poza fantastami – literatami i nawiedzonymi blogerami? Nie wiem. Oficjalnie cywilizacja europejska nieustannie się rozwija. A że kiedyś zniknie? Przypomina się porównanie z rolką papieru toaletowego – im bardziej się rozwija, tym jest go mniej.

Kiedy się to zaczęło, kiedy dumnego dziedzica europejskiej fortuny zastąpił dureń utracjusz, w dodatku z głową przepojoną idiotycznymi hasłami i pomysłami, których nie da się zrealizować?

W mojej niewydanej dotąd powieści „Zapasowa kopia wszystkiego", będącej ciągiem dalszym „Wariantu lotaryńskiego", opisuję alternatywną rzeczywistość powstałą wskutek sukcesów Stanisława Leszczyńskiego, dzięki któremu po degradacji Prus i Rosji oraz obsadzeniu tronów Anglii i Francji wiek XVIII obywa się bez koślawego oświecenia i jego bękarta – rewolucji francuskiej. Jak wiemy, w realu stało się inaczej.

Wszystko zaczęło się od eliminacji Boga. Fundamentem Zachodu była prawda zawarta w Dekalogu, w Ewangeliach, w rzymskim prawie, prawda oparta na edukacji i poszanowaniu autorytetów, na wielowiekowym obyczaju, na kulturze, której nie musiała wspomagać żadna poprawność polityczna. Istotna była kompleksowość pojmowania świata, wszystkie elementy pasowały do siebie, a każda próba wyjęcia jakiegoś fragmentu, który mógł się nie podobać, groziła katastrofą całości. Zwyciężyło przecenianie szczegółów.

Tymczasem nawet rozwiązania na pierwszy rzut oka dobre, jak praca dla kobiet czy emerytury dla seniorów, niosły ze sobą zagrożenia. Kobiety traciły z oczu wychowanie potomstwa, a emerytury zrywały więź pokoleniową, znosząc przymus troski pokoleń wschodzących za schodzące. Prawdziwą tragedią okazała się przymusowa świeckość szkoły. Wyrzucenie z niej religii miało dać młodzieży swobodę wyboru, gdy dorośnie, tylko z czego miała wybierać, kiedy pozbawiono ją możliwości poznania podstawowych opcji? W dodatku uczynienie podmiotowości dzieci dobrem bezdyskusyjnym wraz z zakazem stosowanie kar wobec nich, skutecznie załatwiło autorytet rodzica i nauczyciela. Wiem, o czym mówię, chodziłem do klasztornej szkoły. Wprawdzie w którymś momencie zbuntowałem się, ale dzięki zaszczepionym podstawom miałem dokąd po latach wrócić. Dzisiejszy bezideowy, egoistyczny, kiepsko wykształcony i zadufany w swoje prawa młodziak takich możliwości nie ma.

Obrazowo można stwierdzić, że na naszych oczach cywilizacja już stojąca z pętlą na szyi, własnoręcznie kopnęła stołek, na którym stała.

Część winy za obecny stan ponosi wszechogarniająca nas wolność, pozbawiona siostry bliźniaczki – odpowiedzialności. W dodatku piekielnie zabójczy okazuje się dobrobyt, o który tak zabiegała ludzkość, tyle że gdy w końcu go osiągnęła, stał się powodem wszelkich chorób i patologii.

„Zabrania się zabraniać" – wpisali na swych sztandarach rewolucjoniści z roku 1968. I w dużym stopniu postulat zrealizowali – zabrali możliwość kontroli rodzicom, szkole, Kościołowi, środowisku, a przede wszystkim konkretnym osobom, a oddali ją w ręce anonimowych molochów – państw, korporacji, sił specjalnych. No i jesteśmy coraz bardziej precyzyjnie kontrolowani i sterowani, tylko nie wiemy już przez kogo.

Od czasu kiedy wyszliśmy z jaskiń, wierzenia, zwyczaje wreszcie prawa ograniczały nasze żądze, popędy wtłaczały w schemat norm postępowania – staliśmy się istotami społecznymi, empatycznymi, dzięki kulturze – wysublimowanymi. Ale to się właśnie skończyło. Znajdźcie sublimację w dzisiejszym języku, smak w masowej rozrywce, zasady w wyścigu szczurów czy umiar w polityce… Na krótką metę niektórym jednostkom może to się opłacać. Ale to przecież jest jak walka o lepszą kabinę na tonącym Titanicu, z którego pierwsza zwieje medialna orkiestra. ■

eprasa.pl 828fb90d81





Maria Libura jest doktorem nauk medycznych i nauk o zdrowiu, przewodniczącą Zespołu Studiów Strategicznych Okręgowej Izby Lekarskiej w Warszawie, adiunktem w Zakładzie Zdrowia Publicznego i Medycyny Społecznej Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego. Jest też związana z Uniwersytetem Warmińsko-Mazurskim w Olsztynie. Współpracuje z Polską Siecią Ekonomii i Klubem Jagiellońskim.

Zdrowie – niedoceniony wymiar polityki

Krzysztof Wołodźko



Mimo wszystko nie zdajemy sobie sprawy, narzekając na publiczną ochronę zdrowia, jak kosztowny byłby zakup tych wszystkich świadczeń na rynku komercyjnym. To system, który nie odpowiada wszystkim naszym potrzebom jako pacjentom, jest nierówny jakościowo, ma wyspy dostępności i białe plamy, ale – przy wciąż zbyt niskich nakładach – sporo daje – z **dr. n. med. Marią Liburą** rozmawia **Krzysztof Wołodźko**.

eprasa.pl 828fb90d81

▶ Czy dobra polityka zdrowotna może być gwarantem większej spójności społecznej? Pytam w kontekście wojennym, który właściwie nie istniał, gdy rozmawialiśmy przed laty.

Nierówności w zdrowiu to potężny cios w spójność społeczną. Także w kapitał ludzki, od którego coraz bardziej zależy współczesna gospodarka oparta na wiedzy. Obniżanie składki zdrowotnej, brak płynności finansowej NFZ to zjawiska budzące duży niepokój zarówno wśród pacjentów, jak i świadczeniodawców, podważające zaufanie do państwa. Niestety, politycy różnych formacji nie doceniają tego. Opieka medyczna to polityka uprawiana na największą możliwą skalę – parafrazując Rudolfa Virchowa, XIX-wiecznego niemieckiego higienistę i polityka. To genialne spostrzeżenie: nie ma nic bardziej budującego politycznie niż zapewnianie zdrowia wspólnocie.

Weźmy system ratownictwa medycznego. Jeszcze decyzją poprzedniego rządu został wrzucony do finansowania przez NFZ. A w sytuacji zagrożenia konfliktem zbrojnym powinien być finansowany osobno, bo to coś więcej niż narzędzie realizacji świadczeń. To krytyczna infrastruktura; co więcej, powinien być rozwijany w stronę dobrej współpracy z obroną cywilną i przygotowywany nie tylko na czas ewentualnej wojny, lecz także katastrof wynikających z gwałtownych zjawisk pogodowych. Mamy też ogromne zagrożenia związane z nowymi i starymi patogenami. Niedofinansowanie służb takich jak ratownictwo medyczne, sanepid, sieć publicznych szpitali to kompletny brak świadomości sytuacyjnej, żeby użyć modnego żargonu.

▶ Tymczasem władza skupia się na flircie z wielkim biznesem, obiecując mu deregulacje.

Mówimy o deregulacji, choć czas się brać za zwieranie szeregów, konsolidowanie i wzmacnianie instytucji publicznych. Deregulacja zresztą niejedno ma imię. Czym innym jest logiczne i przejrzyste ułożenie procesów, a czym innych – ich anarchizacja i osłabienie służb publicznych.

Cyfryzacja, o której warto rozmawiać w kontekście nowoczesnej ochrony zdrowia, umożliwia choćby lepsze zarządzanie przez analizę spływających do systemu danych. Ale w tym celu trzeba te dane systematycznie zbierać w spójnych formatach i zapewnić zasoby instytucjom na ich przetwarzanie. Zdrowe dane NFZ wypuściły właśnie superciekawą „porównywarkę placówek", w której znajdują się informacje o funkcjonowaniu świadczeniodawców w zakresie wybranych chorób. Jeśli NFZ potrafi za śmieszne pieniądze wytwarzać takie narzędzia, może warto go dofinansować, zamiast trąbić o tym, by te dane oddać do analizy bigtechom?

▶ Wystarczy nam personelu medycznego na wojnę?

Może zacznijmy od kwestii podstawowych – przecież brak przygotowania polskiego społeczeństwa do udzielania pierwszej pomocy, nawet w zwykłym wypadku.

▶ Pierwsza pomoc na kursach na prawo jazdy przez Skype'a…

Ten przykład jest znakomitą ilustracją tego, jak traktuje się w Polsce – choćby w odróżnieniu od krajów skandynawskich – kwestię udzielania pierwszej pomocy i obrony cywilnej. To są rzeczy do odbębnienia, tak jak niegdyś BHP na studiach. A przecież umiejętności dotyczące udzielenia pierwszej pomocy i zachowania w sytuacjach kryzysowych będą coraz bardziej potrzebne. One ratują życie, zwiększają szanse na uniknięcie niepełnosprawności. Powtórzę: rzecz nie tylko w zagrożeniu wojną, lecz także we wzroście niebezpiecznych zjawisk klimatycznych, a nawet w zwykłych, codziennych zagrożeniach. Spójrzmy na ubiegłoroczną powódź: przecież często akcje ratunkowe zależały od tego, czy lokalna społeczność potrafiła skupić się wokół miejscowych, rozgarniętych liderów.

Żyjemy w fałszywym poczuciu bezpieczeństwa, w przekonaniu, że sytuacje zagrożenia to melodia przeszłości. Jednak mamy dostateczną liczbę sygnałów, że jest dokładnie odwrotnie, że każdy obywatel powinien zostać przeszkolony w tamowaniu krwotoków, udrażnianiu dróg oddechowych, pierwszej pomocy w przypadku oparzeń, upadków etc.

▶ Jak się zapłaci, to się zrobi taki kurs.

Wciąż jesteśmy na etapie skrajnej prywatyzacji odpowiedzialności. A przecież w kryzysach musimy działać razem. No i nie ma gotowości nieprzećwiczonej.

▶ Zmienia się polskie społeczeństwo, w pewnych sprawach niepokojąco. Brutalne ataki na ratowników medycznych, czyli jedną z najbardziej sprekaryzowanych grup zawodowych w ochronie zdrowia, to temat na dzień lub dwa dni w socialmedialnych trendach. Co rządzący powinni zrobić w tej sprawie – poza strojeniem dzielnych min na filmikach albo skandalicznym tłumaczeniem, że ratownik był już w wieku emerytalnym?

Takie zdarzenia, jak morderstwo ratownika, mają wiele przyczyn, ale warto podkreślić, że mamy ogromny problem z uzależnieniami. Kiedy zespół ratowników jedzie do osób pod wpływem różnego rodzaju substancji psychoaktywnych, wystawia się na ogromne ryzyko. Tymczasem jak się pogada z załogami, to często wysyłane są one pod te same adresy z regularnością zegarka. Nie leczymy

FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/GAZETA POLSKA, ARCH. MARII LIBURY

eprasa.pl 828fb90d81

chorych – narażamy medyków. Państwo polskie udaje, że coś z tym robi, w Sejmie odbywają się takie i siakie konferencje, ale w praktyce nawet postulat zakazu sprzedaży alkoholu na stacjach benzynowych okazuje się zbyt dużym wyzwaniem.

▶ Usłyszymy w odpowiedzi, że to kosztowne fanaberie.

Doskonale wiadomo od dekad, że w bogatych krajach wysokorozwiniętych zdrowie ludzi zaczyna zależeć nie tyle od różnic poziomu PKB, ile od poziomu nierówności społeczno-ekonomicznych. Wszystkim żyje się lepiej, gdy nierówności są mniejsze. Niestety, w Polsce wciąż popularny jest zabobon zwany teorią skapywania (od bogatych do biednych). Jeżeli Polak z wyższej klasy średniej naprawdę chce poprawić swoją sytuację, powinien postulować wyższe opodatkowanie samego siebie, zamiast akcji charytatywnych dla biednych. I to z czysto egoistycznych pobudek [śmiech].

▶ Wspomniała Pani wyżej o cyfryzacji w medycynie. Korzysta Pani z pomocy doktora Google?

Doktor Google to przeżytek. Dziś rządzi doktor AI, który jest naprawdę niezły w dobrze przetrenowanych przypadkach. W niektórych systemach już używa się takich narzędzi, by wesprzeć lekarzy i pielęgniarki, a nawet samych pacjentów.

▶ Tym sposobem będziemy jeszcze zdrowsi...

[śmiech] Na pewno dojdzie do ogromnej zmiany w zawodach medycznych. I w tym, czego będziemy po nich oczekiwać. Wszystko wskazuje na to, że kluczowa będzie ludzka zdolność do połączenia wiedzy i empatii: dobre przeprowadzenie wywiadu lekarskiego i pozyskanie zaufania pacjentów i pacjentek.

Pewnych rzeczy AI nie jest w stanie zrobić: zdobyć bardziej wnikliwe informacje, obserwując także niewerbalne reakcje pacjenta. Dziś wielu absolwentów medycyny uważa ludzką, empatyczną stronę kontaktu z osobą chorą jako drugorzędną wobec twardej wiedzy. W niedalekiej przyszłości w medycynie okaże się to najważniejszą przewagą człowieka nad AI. Wielu studentów medycyny – nie tylko w Polsce – nie zdaje sobie sprawy, że wkrótce będzie pracowało w zupełnie innym środowisku technologicznym.

▶ Wielu z nas wybiera dziś „poradę lekarską" w sieci zamiast wizyty u doktora.

To nie jest wyłącznie polski trend. Samoopieka i narzędzia samoopieki, zrewolucjonizowane przez AI, są promowane w wielu publicznych systemach opieki zdrowotnej na świecie. To niekoniecznie wybór pacjentów.

▶ Dlaczego?

Wyzwaniem są znaczne koszta opieki medycznej i szukanie sposobów na zwiększenie jej efektywności. W krajach wysokorozwiniętych wydajemy coraz więcej na zdrowie. Za wydatkami nie idą tak duże wzrosty efektywności leczenia, jakich można by oczekiwać.

Kraje skandynawskie od dawna postawiły na ograniczanie liczby wizyt pacjentów u lekarza, bo lekarzy brakuje; zaangażowano pielęgniarki, postawiono na opiekę farmaceutyczną.

Sztuczna inteligencja to kolejny instrument, który może wesprzeć kadry medyczne, a nawet potencjalnie częściowo je zastąpić, uwalniając do sensowniejszych zadań. Nasz system nie jest na to gotowy, wciąż działa wedle logiki: co zrobić, żeby skrócić czas oczekiwania na specjalistę, zamiast skupić się na tym, jak ograniczyć nieefektywne wizyty w poradniach.

▶ Jesteśmy ponad 30 lat po transformacji, przed nami rysuje się nowy przełom historyczny. Jakie są plusy i minusy publicznej ochrony zdrowia w III RP? Co się udało, a co jest poważnym problemem?

Jak na zatrważająco niskie finansowanie nasz system ochrony zdrowia jest naprawdę efektywny. Za tak małe pieniądze dostajemy całkiem dużo.

▶ Słyszę, jak pacjenci zgrzytają zębami. Politycy też, ale z innych powodów.

Bo nie dostajemy tego, co moglibyśmy dostać, gdybyśmy dokładali proporcjonalnie do stanu naszej gospodarki. Jesteśmy bogatym krajem, a zdrowie traktujemy tak, jak byśmy wciąż byli biednym krajem wychodzącym z realnego socjalizmu. Mimo wszystko nie zdajemy sobie sprawy, narzekając na publiczną ochronę zdrowia, jak kosztowny byłby zakup tych wszystkich świadczeń na rynku komercyjnym. To system, który nie odpowiada wszystkim naszym potrzebom jako pacjentom, jest nierówny jakościowo, ma wyspy dostępności i białe plamy, ale – przy wciąż zbyt niskich nakładach – sporo daje.

▶ Największe plusy, największe minusy?

Powiem o kwestiach, których często w ogóle nie widać w debacie publicznej. Ogromnym plusem jest to, że dopracowaliśmy się Agencji Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji, czyli bardzo wysokiej jakości instytucji publicznej, która na świecie uważana jest w wielu aspektach za wzorcową. Mało się o niej mówi, ale jest bardzo ważna

eprasa.pl 828fb90d81

dla systemu, ponieważ analizuje nowe technologie, na które ogromne sumy łoży państwo.

Druga rzecz to całkiem dobrze funkcjonująca podstawowa opieka zdrowotna, która stała się motorem wielu pozytywnych zmian w całym systemie. POZ nie zawsze i nie wszędzie działa optymalnie, ale – poza nielicznymi przypadkami – zapewnia pacjentom rozsądny czas oczekiwania i gwarantuje opiekę koordynowaną. Lubimy narzekać, ale warto pamiętać, że w Wielkiej Brytanii, kraju o wiele bogatszym od Polski, na podstawową wizytę w niektórych „peozetach" czeka się pół roku.

I trzecia sprawa – wbrew obiegowym opiniom – jesteśmy w niezłej sytuacji, jeśli chodzi o wdrażanie cyfrowych rozwiązań, takich jak e-zwolnienia czy e-recepty. Europa nas ściga, w niektórych aspektach prześciga, ale warto pamiętać, że nasz system w trakcie pandemii był w stanie dość szybko przystosować się do cyfrowych narzędzi.

▶ Afery z e-receptami pokazują rzecz inaczej.

Każdy kij ma dwa końce. Szybkie wdrożenie ułatwiło dostęp do leków, w tym o potencjale uzależniającym. Rozwiązaniem nie jest jednak zwiększenie biurokratycznego nadzoru nad lekarzami i farmaceutami, ręczne sterowanie narzucane z przyczyn politycznych. Odpowiedzią powinno być wykorzystanie możliwości narzędzi cyfrowych, które sygnalizowałyby, gdzie generowanych jest zbyt wiele określonych e-recept.

▶ A minusy?

Dwa problemy są ściśle ze sobą związane. Jeden już zasygnalizowałam. To niedofinansowanie. Drugi – za późno przechodzimy na opiekę koordynowaną, i to w wąskich zakresach. To pokłosie decyzji, które zapadły pod koniec lat 90. Pierwsza była związana z tym, żeby ograniczyć koszty pracy, czyli utrzymać składkę zdrowotną na niskim poziomie. Druga była związana z kompletnie szaloną koncepcją, nawet w stosunku do tego, co wówczas wiedziano o specyfice rynku zdrowia, że podmioty medyczne mają ze sobą konkurować o pacjenta i środki. A przecież wiedziano doskonale, że popyt na usługi medyczne rośnie, a dostępność do lekarzy to słaby punkt. Jak miała zadziałać ta konkurencja? Wykorzystano fakt, że zwykli ludzie nie zdawali sobie sprawy z realnych mechanizmów, jakie rządzą rynkiem zdrowia, i posłużono się chwytliwymi sloganami, by wprowadzić bieda-system.

▶ Co nie zadziałało w tej logice?

Obniżono stopień współpracy podmiotów medycznych między sobą. PRL-owski system miał mnóstwo wad, ale zawierał zalążek opieki zintegrowanej. Zamiast unowocześnić i wzmocnić ten element systemu, zniszczono go. Opieka zdrowotna stała się rozproszona, na barki pacjentów przerzucono koordynację. Chorzy ludzie zaczęli gubić się w labiryncie świadczeń, gonić za kolejnymi skierowaniami na badanie i konsultacje. Gdy bolą mnie plecy, odbijam się od gabinetu neurologa do gabinetu ortopedy. To nie tylko ma dramatyczne konsekwencje dla zdrowia ludzi, lecz także poważnie finansowo obciąża system, bo wywołuje nadprodukcję świadczeń.

▶ Pacjent odbija się od ściany, a kasa nabija rachunek. Co powinniśmy dostać w zamian?

Zintegrowaną ścieżkę pacjenta, która gwarantowałaby spójną opiekę. I pakiety świadczeń, za które płatnik publiczny powinien płacić, wymuszając współpracę pomiędzy poszczególnymi podmiotami w systemie.

▶ Na przykład?

Dobrym przykładem opamiętania się jest koordynacja w kardiologii, opieka nad pacjentem po zawale. Zorientowano się, że gdy pacjent po zawale nie dostaje w pakiecie rehabilitacji, to pomimo szybkiej i skutecznej interwencji w stanie nagłym i tak szybko umiera.

▶ W Polsce wciąż pokutują głosy, że publiczna ochrona zdrowia to socjalistyczny wynalazek, nieszczęsne utrapienie przedsiębiorców płacących składki na ZUS. Niektórzy politycy najpierw obiecują, że specjaliści sami do nas będą dzwonić z pytaniem co słychać, a później walczą o obniżenie składek zdrowotnych.

Deprecjonowanie publicznej ochrony zdrowia i oszczędzanie na niej wynika z kompletnego niezrozumienia jej podstaw. Współczesne systemy ochrony zdrowia powstały, ponieważ medycyna oparta na nauce i technologii naprawdę zaczęła wydłużać ludziom życie i przywracać zdrowie.

Ważnym motywem były też racje etyczne, prawno-człowiecze. Uznano, że skoro to działa, to nie tylko bogaci mają prawo do dobrego zdrowia i dłuższego życia.

Nie mniej ważna była kolejna kwestia. Dobrze rozumiał ją kanclerz Niemiec Otto von Bismarck, ale wciąż nie są w stanie zrozumieć jej niektórzy polscy politycy: istnieje bardzo duże przełożenie zdrowia społeczeństwa na sytuację społeczno-gospodarczą. To ściśle wiąże się z rozwojem nowoczesnego państwa, ze wszystkimi tego blaskami i cieniami. Gdy państwa zaczęły traktować obywateli jako zasób, zainteresowały się także ich zdrowiem; radykalnie słabsze zdrowie obywateli oznacza znacznie mniejsze szanse na sukces narodowej gospodarki. Długoterminowo wygrały państwa, które postawiły na zdrowie i dobrostan ludzi.

eprasa.pl 828fb90d81

▶ Dla części opinii publicznej komercyjna ochrona zdrowia jest fetyszem i jedynym gwarantem dobrych usług medycznych. Kto jest jej beneficjentem, a kto traci? I jaka jest realna relacja tych dwóch systemów?

Podkreślmy, że prywatny to nie zawsze komercyjny. Tak jest w przypadku dużej części POZ-ów, które pracują dla Narodowego Funduszu Zdrowia. Niebezpieczny jest trend rosnącej komercjalizacji, bo to grozi ogromną inflacją kosztów i powstaniem podmiotów leczniczych, które działają dla zysku, zdrowie pacjenta stawiając na drugim planie.

Dobrze to widać po USA, gdy ludzie z podejrzeniem zawału serca – ryzykując zdrowie i życie – wolą wezwać taksówkę niż karetkę, żeby pojechać do szpitala. Boją się kosztów, których nie obejmie ich ubezpieczenie. Problemem w Stanach jest także źle uregulowany rynek ubezpieczycieli prywatnych, który promuje maksymalizację zysków. Możesz być ubezpieczony, a nie dostać świadczenia, bo popularne jest odrzucanie wniosków o pokrycie świadczeń. Zaprzęgnięto w ten proceder nawet sztuczną inteligencję. W ostatnim czasie było o tym głośno, gdy zabity został Brian Thompson, dyrektor UnitedHealthcare, największej w USA prywatnej firmy sprzedającej ubezpieczenia zdrowotne. Amerykańskie media zaskoczyło, że zabójca zyskał sobie spory poklask. Ludzie są aż tak zniechęceni tamtejszym rynkiem zdrowia. Niedawno wiralem stała się także rolka chirurżki i onkolożki, która musiała przerwać operację guza piersi u pacjentki, ponieważ ubezpieczyciel zażądał rozmowy, czy ta operacja naprawdę jest potrzebna, grożąc wycofaniem autoryzacji na leczenie.

W Europie takie rzeczy są nie do pomyślenia, ponieważ nasze systemy zdrowia – ze swoimi zaletami i wadami – uznajemy za usługi publiczne. Opieramy się na przekonaniu, że system ochrony zdrowia musi być powszechny.

▶ Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy wróciła do łask nowej ekipy rządzącej. W TOK FM dość krytycznie oceniła Pani udział minister Izabeli Leszczyny w ostatnim finale WOŚP. Ale zwróciła też uwagę, że działalność charytatywna ma swoją niszę w systemie ochrony zdrowia. Kłopot w tym, że u nas – przynajmniej medialnie – ogon kręci psem.

Idea WOŚP, czyli zbiórki na sprzęt medyczny, miała najmocniejsze uzasadnienie, gdy jako biedne państwo wychodziliśmy z PRL i nie mieliśmy ogromnych unijnych środków na infrastrukturę. Politycy nie powinni stawiać się w roli petentów takiej akcji, szczególnie jeśli odpowiadają za sektor. Nie pomaga też, że w czasach tak silnej polaryzacji jej organizatorzy zdecydowali, że wezmą udział w politycznej grze.

Natomiast organizacje charytatywne (czy szerzej: organizacje pozarządowe) choć nie są lekiem na całe zło, mogą pełnić rolę pomocniczą w systemie ochrony zdrowia. Mamy ogromne niezaspokojone potrzeby – choćby pomoc w łataniu luk z dojazdem, bo nie mamy rozbudowanej sieci transportu medycznego. Ale to jest mniej atrakcyjne, bo zakłada mniejszą akcyjność, mniej dostrzegalne medialnie działania wymagające większej logistyki. Warto jednak pamiętać, że historycznie WOŚP odegrał ważną rolę, jak choćby z akcją badań słuchu noworodków.

W Polsce bardzo by się też przydało uporządkowanie zbiórek na leczenie innowacyjne. Ten mechanizm jest wykorzystywany na zbieranie środków na metody, które nie mają jakichkolwiek podstaw naukowych.

▶ Jerzy Owsiak mówił swego czasu, że ochrona zdrowia potrzebuje w Polsce planu Balcerowicza. Jednych takie pomysły zachwycają, u drugich jeżą włos na głowie.

Ostatniej rzeczy, jakiej potrzebuje publiczna ochrona zdrowia, jest plan Balcerowicza. To on – między innymi – był pomysłodawcą koncepcji, by obniżyć koszty pracy, ograniczając wysokość składki zdrowotnej.

▶ Kilka miesięcy temu zrobiło się głośno o możliwym zamykaniu porodówek w wielu polskich szpitalach. Rodzi się coraz mniej dzieci – słyszymy argument. Pani zdaniem jest on racjonalny?

W Polsce jest problem z liczbą oddziałów porodowych, w których przyjmuje się niewiele porodów. To obiektywny problem – chodzi nie tylko o rachunek ekonomiczny, lecz także to, że w szpitalach, w których rodzi się mało dzieci, kadra traci doświadczenie lub nie ma go jak uzyskać. Ale diabeł tkwi w szczegółach, szczególnie gdy przychodzi do wdrażania konkretnych rozwiązań. Na ten problem natknęła się minister Izabela Leszczyna: trudno ustalić czysto obiektywne kryteria tego, poniżej ilu porodów zamykamy porodówkę.

▶ Dlaczego?

Nie można dopuścić do tego, by pojawiły się miejscowości, z których dojazd do najbliższego szpitala z porodówką to 100 kilometrów. Jeżeli chcemy, żeby Polki rodziły więcej dzieci, to pomysł, by akcja porodowa odbywała się w przystosowanych do tego ambulansach, wizerunkowo jest bardzo słaby. Raczej zniechęca niż zachęca do macierzyństwa.

Potrzebna jest odpolityczniona debata na poziomie samorządowym, jak zapewnić – nie tylko w kwestii porodówek – sprawną, wysokiej jakości, bezpieczną sieć placówek medycznych różnego rodzaju. Kłopot z reformą szpitali bierze się z tego, że nie uzgodniono, jak zapewnić bezpieczeństwo zdrowotne w ramach sieci regionalnych. Napięć jest dużo, bo w grę wchodzą interesy polityczne

eprasa.pl 828fb90d81

samorządowców, do tego każdy szpital to duży lokalny pracodawca. Musimy brać pod uwagę i efektywność ekonomiczną, i bezpieczeństwo pacjentów.

▶ Jak obecnie wygląda dostępność opieki medycznej w mniejszych ośrodkach?

Sytuacja jest dynamiczna, bo zależy choćby od liczby lekarzy. Trwa walka o kadry. Nie tylko w małych ośrodkach oddziały szpitalne się zamykają, bo wszyscy lekarze zmieniają pracę. W Warszawie był przypadek, gdy zespół neurochirurgii dziecięcej przeszedł z jednego szpitala do drugiego. To swoją drogą straszne marnotrawstwo zasobów, bo „stary" szpital był świetnie wyposażony.

W przypadku obszarów o niższej gęstości zaludnienia ogromnym problemem jest brak pomysłu, jak zaradzić wykluczeniu transportowemu. Problemem niekoniecznie muszą być duże odległości, ale zaradzenie sytuacji, w której starsza osoba nie ma jak dojechać do lekarza z powodu „głupich" 15 kilometrów. W takich regionach jak Podlasie to rosnący problem.

▶ Seniorzy u lekarza, czyli starzejące się społeczeństwo. I coraz bardziej wiekowy personel medyczny.

Poprzedni rząd zdecydował się na ogromne zwiększenie naborów na kierunki lekarskie, co częściowo wydrenowało kandydatów z innych zawodów medycznych. A w Polsce obecnie bardzo brakuje pielęgniarek. Ten zawód wymaga większego docenienia, jego prestiż powinien wzrosnąć.

Pielęgniarki są dziś świetnie wykształcone, a traktuje się je tak, jak byśmy wciąż tkwili w PRL-u.

Coraz większe luki występują też w zawodach okołomedycznych, na przykład związanych z pielęgnacją osób w starszym wieku.

▶ Tymczasem Polki wyjeżdżają choćby do Niemiec, by zajmować się pracą opiekuńczą.

Polska kształci bardzo dużo opiekunek medycznych, a później traci je na rzecz krajów na zachód od Odry. Myślę, że sytuacja wynika z bardzo głęboko utrwalonych stereotypów. W Polsce wciąż nie ceni się pracy opiekuńczej, choć jesteśmy drastycznie starzejącym się społeczeństwem. To tkwi głęboko w przeszłości – zawody rozumiane jako kobiece są postrzegane jako nisko prestiżowe.

Paradoks polega na tym, że m.in. za sprawą sztucznej inteligencji będzie coraz mniejsze zapotrzebowanie na zawody, w których wystarczy myśleć odtwórczo. Za to potrzebna będzie praca opiekuńcza, wymagająca połączenia wiedzy i empatii. Niestety, w Polsce tkwimy w koleinach fetyszu posiadania wyższego wykształcenia, nieledwie dla niego samego.

▶ Jest jeszcze jedno rosnące wyzwanie – ruch antyszczepionkowy. Dziś przy świątecznych stołach chyba łatwiej mówić o polityce niż o obowiązkowych szczepieniach i o pandemii, zwanej w pewnych kręgach plandemią. W epoce sondażokracji politycy, czyli część populacji o najmocniej na ogół wyostrzonym instynkcie przetrwania, nie chcą się z tym wyzwaniem mierzyć. Powiem więcej: część klasy politycznej żyruje roszczenia antyszczepionkowców.

Ruch antyszczepionkowy wszedł na polityczne salony. Przed laty zbierał głównie osoby sceptyczne wobec nauk medycznych, osoby ze złymi doświadczeniami z systemem ochrony zdrowia i tych, którzy węszyli w alternatywnej medycynie niezły biznes.

Podczas pandemii, choć zaczęło się to nieco wcześniej, nasiliło się nowe zjawisko – ruch antyszczepionkowy wykorzystano jako paliwo polityczne. W jednych partiach widać to mniej, niektóre zdecydowanie mocniej sięgają po antyszczepionkowy elektorat, ale chyba w każdej znajdziemy frakcje, przychylnym okiem patrzące na ruchy alt-medowe.

▶ Ale skąd ich popularność?

Rośnie przekonanie, że bazując na tzw. zdrowym rozsądku, możemy podjąć lepszą decyzję niż lekarz. Często jest to powiązane z odrzuceniem racjonalnych i naukowych podstaw medycyny. Poziom wyszczepienia przez lata zależał raczej od zaufania do autorytetu niż od poziomu wykształcenia. Jaki niespecjalista na serio rozumie immunologię? Teraz dodatkowo rysuje się nowy trend: im gorszy dostęp do publicznej ochrony zdrowia, tym większa popularność ruchów alt-medowych. Jeśli ludzie doświadczają braku pomocy ze strony systemu zdrowia, szukają gdzie indziej.

Alt-med mocno wykorzystuje także inne niedostatki publicznego systemu zdrowia – okazuje ludziom empatię. Nie za darmo – jednocześnie drenuje ich kieszenie. Ale dla cierpiącego człowieka to ostatnie nie jest tak ważne, bo dostaje coś innego niż zimny korytarz i personel medyczny, który każe ustawić się w kolejce i czekać, aż przyjdzie lekarz. A nie wiadomo, kiedy on przyjdzie, bo jest zajęty na oddziale. Alt-medowy pacjent dostaje troskę i dziesięć deko azjatyckich grzybków za tysiąc złotych.

▶ Ironizuje Pani...

Niestety nie. Ruch alt-medowy żywi się dziś nie tylko ogromnym kryzysem autorytetu, niedostatkami publicznej ochrony zdrowia, lecz także ogromną niechęcią do tych partii, które uważa za polityczny establishment. Także politycy w III RP pracowali na jego sukcesy. ■

eprasa.pl 828fb90d81



Piotr Lisiewicz



Szaleniec z Estonii. Jak skoczek narciarski wywołał bunt przeciw sowieckiej okupacji

eprasa.pl 828fb90d81

W przerwie meczu piłkarskiego Estonia-Łotwa Oskar Veldeman wjechał na motocyklu na bieżnię stadionu z narodową flagą, a jego objazd areny kibice przywitali burzą braw. W walizkach, które przywiózł na stadion Kadrioru w Tallinie, było mnóstwo chorągiewek w estońskich barwach, które rozrzucił wśród publiczności. Po meczu kibice ruszyli z nimi na pałac prezydencki. Estonia była od kilku tygodni pod sowiecką okupacją i stacjonowała w niej Armia Czerwona. Veldeman, wielka legenda estońskiego sportu, zapłacił za tę manifestację i swoją szaleńczą odwagę śmiercią w sowieckim łagrze. Zginął w wigilię Bożego Narodzenia 1942 roku.

Oskar Veldeman był dla Estończyków, nie tylko kibiców, wielką legendą. Był twórcą estońskich skoków narciarskich, sześciokrotnie ustanawiał rekord kraju w długości skoku narciarskiego, wiele razy był też mistrzem Estonii. Był także żużlowcem, wygrywał zawody międzynarodowe, jako pierwszy Estończyk przekroczył na torze średnią prędkość 100 km/h. Znano go też w zupełnie innym wydaniu z gazet – jako rysownika satyrycznego, podpisującego się powszechnie znanym pseudonimem Ove.

„Złożę kwiaty tobie, najlepszy synu Estonii"

W dzień po manifestacji na stadionie rozpoczęły się aresztowania, ale przez kilka tygodni Rosjanie obawiali się zamknąć legendarnego sportowca, nie wiedząc, jakie mogą być reakcje Estończyków. Przyjaciele doradzali Oskarowi ucieczkę z Estonii lub przynajmniej ukrycie się, ale on odpowiadał, że sportowiec niczego się nie boi.

Tej odwagi dowiódł już wcześniej. Estonia była niepodległym państwem w latach 1918–1940, jednak po pakcie Ribbentrop–Mołotow i zdławieniu Polski, 28 września 1939 roku Sowieci wymusili powstanie na jej terytorium ich wojskowych baz, w których liczebność wprowadzonych sił Armii Czerwonej przewyższyła siły armii estońskiej. 17 czerwca 1940 roku doszło do zamachu stanu i rozpoczęła się sowietyzacja. 6 sierpnia Moskwa uznała Estonię za część swojego terytorium – republikę związkową, Estońską SRR.

Kiedy 21 czerwca 1940 roku w pobliżu szkoły podstawowej 21. w Tallinie doszło do starcia pomiędzy Estońskimi Siłami Obronnymi a Armią Czerwoną, nazwanego potem bitwą batalionu łączności, w wymianie ognia zginęło dwóch estońskich żołnierzy – podoficer Aleksei Männikus i szeregowiec Johannes Mandre. Oskar Veldeman został jednym z organizatorów pogrzebu Mandrego. „Ten żołnierz poległ w obronie bohaterskiej ojczyzny!" – przemawiał. „Tutaj upamiętniamy naszego zmarłego bohatera, który zginął na służbie. Złożę kwiaty tobie, najlepszy synu Estonii, i nigdy nie zapomnimy naszego najlepszego syna" – mówił też według relacji świadków.

Kontrrewolucjonista i prowokator okradziony z medali

25 sierpnia 1940 roku, kiedy okupanci przyjęli tzw. Konstytucję Estońskiej SRR, Veldeman brał udział zgodnie z wcześniejszymi planami w wyścigach na torze bałtyckim w Rydze. Zdobył pierwsze miejsce, wyprzedając Ericha Tomsona. Nie wiedział, że to był jego

FOT. WIKIMEDIA

eprasa.pl 8fb90d81

ostatni wyścig. 31 sierpnia wydano nakaz jego aresztowania. Do zatrzymania doszło 3 września.

Veldeman został oskarżony o organizowanie buntu młodzieżowych organizacji, walczących z sowiecką okupacją. W jego nakazie aresztowania z 31 sierpnia 1940 roku napisano: „Syn Veldemana Oskara Mihkla jest najwyraźniej jednym z przywódców kontrrewolucyjnej narodowej organizacji młodzieżowej, drukującej i kolportującej antyrewolucyjne gazety. Ponadto Veldeman Oskar jest organizatorem antyradzieckich demonstracji i działań prowokacyjnych skierowanych przeciwko partii komunistycznej i estońskiemu rządowi sowieckiemu".

Nakaz nr 22 dotyczący aresztowania i przeszukania mieszkania wydany 3 września „został podpisany przez takich ponurych ludzi jak Ludowy Komisarz Spraw Wewnętrznych Borys Kumm i szef wydziału Siergiej Kingissepp" – czytamy na stronie Veldemani.ee. Sportowca nie tylko aresztowano, lecz także okradziono. W czasie przeszukania mieszkania zniknęła bogata kolekcja nagród zdobytych przez Veldemana.

„Przez całe życie był szaleńcem"

„Przez całe życie był szaleńcem. To była jego wizytówka" – mówi o nim wybitny motocyklista Ants Promet. Skąd wziął się organizator antysowieckiego buntu? Oskar Veldeman urodził się 8 grudnia 1912 roku w Viljandi, miasteczku na południu Estonii, z historią sięgająca średniowiecza, nazywanym dziś miastem truskawek, muzyki folkowej i drewnianych domów.

Ojciec chciał go wychować na biznesmena, ale się nie udało. Jak się śmiał później Veldeman, do jego jedynego przedsięwzięcia biznesowego doszło, gdy z sukcesem sprzedał cztery motocykle DKW podarowane mu przez ojca i kupił za to piąty, na którym rozpoczął karierę motocyklisty.

Pierwszą wielką pasją Oskara Veldemana w sporcie były jednak skoki narciarskie. Jak opisuje fiński portal maaleht.delfi.ee, śnieżną zimą 1928 roku 15-letni Oskar był jednym z młodych ludzi z Viljandi, którzy zbudowali pierwszą śnieżną trampolinę na Närskiej Mäe. Z tej trampoliny młodzi narciarze z Viljandi oddali pierwszy skok narciarski na Närskiej Mäe. „Nikt z nas nie widział ani skoków narciarskich, ani skoczni narciarskiej, działaliśmy zgodnie z nasza intuicją... I od razu rozpoczęły się zawody. Skoki mierzył V. Adler i to w dość dziwny sposób: przywiózł z domu ojca wóz, postawił go w miejscu lądowania skoczka, a następnie zmierzył odległość od krawędzi trampoliny w linii prostej – poziomej – do tego dziwnego znaku… Mój wynik to 8 metrów, z którym byłem pierwszy" – wspominał Veldeman.

Najpiękniejsze przeżycie

Ten 15-latek w pięć lat później był już mistrzem Finlandii, dzięki skokowi na astronomiczną odległość 21,5 metra. Rok później, w 1934 roku, Veldeman wziął udział w zawodach narciarskich Salpausselkä w Lahti. Nie bał się już skakać na trampolinach dwukrotnie większych. Pierwszy występ zakończył się skokiem na 38 metrów i skręceniem lewego stawu kolanowego, ponieważ narta podczas lądowania wjechała w śnieg.

Veldeman nazywał później swój udział w zawodach w Lahti najwspanialszym doświadczeniem w życiu, gdy chodzi o skoki narciarskie. „Właściwie to piękne przeżycie nadal jest wyraźnie odczuwalne w mojej lewej nodze" – mówił kilka lat później. Mistrzostwo zdobył także w 1936, 1937 i 1940 roku. Sześciokrotnie bił rekord Estonii.

Renoma narciarskiego szaleńca

Już w światowych mediach opisywany był po raz pierwszy, gdy w 1937 roku wziął udział w zawodach w Lahti z udziałem 110 zawodników. Zawody obserwował już nie tylko ojciec kolegi z wozem, lecz świadkami było aż 30 tys. widzów. „Veldeman skoczył na odległość 37,5 i 38,5 m, spotykając się ze stosunkowo ciepłym wsparciem publiczności, ponieważ jego skoki były w dobrym stylu" – relacjonowała gazeta „Rahvaleh", w której zamieszczał swoje karykatury. Zwycięzca tych zawodów skoczył na odległość 44,0 i 51,5 metra. Ale dzień później, podczas pokazu przy świetle, Veldeman zdobył gromkie brawa, skacząc w drugiej serii na odległość 40 metrów. Po raz pierwszy w nowej dziesiątce.

W efekcie w rok później, w 1938 roku, wziął udział w Mistrzostwach Świata w Lahti, wraz z innym zawodnikiem z Viljandi, Eduardem Raidlą. Ten występ budował jego renomę narciarskiego szaleńca. Na treningu skoczył 40 metrów, ale w zawodach postanowił ryzykować. W pierwszej serii przeleciał 50 metrów, ale rękami dotknął ziemi. Przy drugim skoku, który wyniósł aż 52,5 metra, znów nie mógł złapać równowagi i zjechał po zeskoku na własnym siedzeniu. Nie uzyskał więc żadnego oficjalnego wyniku, ale i tak zasłużył na nagrodę specjalną od Finów.

Dramatycznie wyglądał też występ jego kolegi. Gazeta „Rahvaleht" relacjonowała przebieg wydarzeń następująco: „Wydarzenie na początku miało dość przygnębiający efekt – mężczyzna leży na ziemi zakrwawiony i sztywny, jego kolega Veldeman dotyka jego ręki i szepcze: »Nie żyje!«".

Z kolei gazeta „Uus Eesti" pisała: „Estoński skoczek narciarski Eduard Raidla miał poważny wypadek na dużej skoczni narciarskiej w Lahti w środę około 1:30 w nocy. Podczas skoku treningowego stracił równowagę w powie-

eprasa.pl 828fb90d81

trzu i po wylądowaniu upadł głową w dół: toczył się po ziemi przez około 30 metrów, po czym pozostał bez ruchu. Inni skoczkowie i organizatorzy natychmiast podbiegli do niego". Raidla był nieprzytomny, miał zakrwawioną głowę i twarz. Do szpitala zabrał go samochód Czerwonego Krzyża, którym jechał przedstawiciel estońskiej drużyny narciarskiej. A na szczęście w szpitalu okazało się, że Raidla nie ma żadnych złamań.

„Natychmiast wstaje i jedzie dalej"

W 1931 roku, po wspomnianej jedynej transakcji biznesowej w życiu, skutkującej zakupem nowego motocykla, Veldeman rozpoczął starty w zawodach żużlowych, od początku zdradzając w tym kierunku talent. Jego mechanik Johannes Mannert mówił o nim: „Nie denerwuje się przed wyścigami. Nawet jeśli upadnie, natychmiast wstaje i jedzie dalej, jakby nic się nie stało. Ostatnio jednak jego nerwy stały się bardziej wrażliwe".

Trzy lata później, w 1934 roku, po raz pierwszy został mistrzem Estonii w rywalizacji na torze wyścigowym. 16 września tego samego roku odbył się II wielki wyścig Estonii Estonian T.T. Na obwodnicy Pirita-Kose Veldeman pokonał mistrzów Norwegii i Niemiec. Na oczach 20 tys. widzów został zwycięzcą wielkiego wyścigu na swojej husqvarnie, osiągając średnią prędkość 93,04 km/h.

Rok później Veldeman był drugi w Grand Prix Estonii, po legendzie fińskiego sportu motocyklowego Raine'u Lampinenie. Otrzymał także nagrodę głowy państwa. W następnym roku Veldeman ustanowił swój pierwszy rekord prędkości w Estonii w wyścigu drogowym na dystansie 1 km, osiągając prędkość 171,84 km/h.

Pierwszy, który przekroczył setkę

30 sierpnia 1936 roku Veldeman rywalizował z najlepszymi na świecie motocyklistami podczas Grand Prix Sztokholmu w Saxtrop, gdzie w zawodach klasie maszyn 500 cm3 wzięło udział 58 zawodników. Estończyk zajął ósme miejsce. „W estońskim wyścigu TT Veldeman po raz kolejny zasmakował radości ze zwycięstwa w 1938 roku. W sumie trzykrotnie (1934, 1935 i 1938) jako motocyklista otrzymał Państwową Nagrodę" – relacjonuje portal maaleht.delfi.ee.

Podczas szóstego Estońskiego Grand Tour w 1938 roku oprócz pierwszego miejsca Veldeman ustanowił niezwykły rekord: został pierwszym Estończykiem, który osiągnął na tym dystansie średnią prędkość 100 km/h. Rekord wyniósł 100,94.

Brał udział w gwiezdnym wyścigu motocyklistów w Berlinie w 1936 roku. 15 razy występował w reprezentacji Estonii. Był członkiem-założycielem Estońskiego Klubu Sportów Motorowych i wiceprezesem Klubu Narciarskiego ÜENÜTO, działał w Grupie Szybowcowej Harju Maleva Stowarzyszenia Obrony (odznaczony odznaką Kolme Tiva). W latach 1939–1940 pracował jako instruktor w Kadrioru Noortepark. Jako znany rysownik publikujący w gazetach „Uudislehe" i „Rahvaleh" należał też do Tallińskiego Klubu Prasy Sportowej.

Pierwszy raz niepodległa Estonia

Jak doszło do tego, że Veldeman został bohaterem Estończyków, przeciwstawiając się sowietom? Na początku sowieckiej okupacji organizując protesty, starał się jednocześnie normalnie żyć i startować w zawodach. „Nadal odwiedzaliśmy go w Kadriori Youth Park, kiedy organizował kursy sportowe dla młodych ludzi" – wspominała Evi Mardna, jego kuzynka.

Wydarzeń, w których wziął udział w Estonii, nie sposób zrozumieć bez opisu, jak było możliwe, że po I wojnie światowej pierwszy raz w historii zaistniała na mapach niepodległa Republika Estonii. Po rewolucji lutowej w 1917 roku w Estonii powstały rady żołnierskie i robotnicze. Estońscy działacze opracowali wówczas projekt autonomii Estonii, który po manifestacji w Piotrogrodzie, został ratyfikowany przez Rząd Tymczasowy 30 marca. W kwietniu ziemie estońskie połączono w jedną prowincję. Niestety, część rady zaczęła jednak ulegać bolszewizacji, a szczególnie dotyczyło to zdominowanych przez Rosjan garnizonów.

Mimo to 2 lipca 1917 roku zebrał się w Tallinnie autonomiczny parlament estoński, a dwa dni później kongres narodowy, w którym udział wzięli posłowie do parlamentu narodowości estońskiej. Kongres narodowy wystosował wniosek o utworzenie estońskich oddziałów militarnych, estońskojęzycznej części Uniwersytetu w Tartu, wprowadzenia urzędowego języka estońskiego oraz podziału ziemi państwowej i obszarniczej. W kwietniu zaczęto organizować estońskie oddziały wojskowe, na co zgodę wyraził rząd rosyjski. W październiku parlament utworzył rząd, ale bolszewicy dokonali zamachu i przejęli 27 października władzę w Tallinnie, rozpętując terror.

Wojna estońsko-bolszewicka

Po rewolucji październikowej rząd estoński porozumiał się z Niemcami i niemieckimi radami żołnierskimi w sprawie ewakuacji niemieckiej armii z Estonii. W latach 1918–1920 trwała wojna estońsko-bolszewicka. W wyniku ofensywy bolszewicy zdobyli Narwę, gdzie ogłosili powstanie republiki radzieckiej pod nazwą Estońskiej Komuny Ludu Pracującego. Do stycznia 1919 roku bolszewicy zajęli większość kraju.

Ale potem zostali wyparci przez kontrofensywę estońską. Wojna trwała ponad 400 dni. W jej trakcie

eprasa.pl 828fb90d81

po stronie estońskiej życie straciło kilka tysięcy osób. 18 stycznia 1919 roku Estończycy zdobyli Narwę. Wyparli bolszewików także z Łotwy latem 1919 roku, a następnie wzięli udział w nieudanej ofensywie wraz z „Białymi" na Piotrogród. 2 lutego 1920 roku podpisali pokój w Tartu, w którym Rosja Sowiecka uznała niepodległość Estonii. 28 lutego oddziały marynarzy Floty Bałtyckiej i czerwonogwardzistów pod dowództwem Pawła Dybienki bez walki zbiegły z Narwy. W tym momencie bolszewicy stracili kontrolę nad ostatnim ośrodkiem w Estonii.

Polska uznaje Estonię. Ententa też

Polski akt uznania niepodległości Estonii, podpisany przez ministra spraw zagranicznych Eustachego Sapiehę 31 grudnia 1920 roku, został wręczony władzom estońskim przez posła RP Leona Wasilewskiego. 26 stycznia 1921 roku Estonia została uznana przez państwa Ententy. 22 września tego samego roku została przyjęta do Ligi Narodów.

Na mocy traktatu Rosja Sowiecka potwierdziła uznanie niepodległości Estonii, będącej do 1917 roku częścią Imperium Rosyjskiego, i uznała ją za swojego sąsiada po wieczne czasy. W wyniku podpisania traktatu Rosja straciła na rzecz Estonii 41 tysięcy km² terytorium. Traktat określał granicę sowiecko-estońską, stanowił również o zwrocie Estonii dzieł sztuki zrabowanych i wywiezionych do Rosji. W traktacie przewidziano możliwość powrotu do kraju Estończyków, którzy znaleźli się w Rosji Sowieckiej, oraz zapłaty Estonii 15 mln złotych rubli z tytułu udziału w życiu gospodarczym Rosji przedrewolucyjnej.

Od lat 20. XX wieku Polska i Estonia były sojusznikami. Po uzyskaniu niepodległości przez Estonię stosunki polsko-estońskie, jak pisze prof. Piotr Łossowski, „były zdumiewająco żywe i co równie ważne, nacechowane wzajemną życzliwością, a nawet przyjaźnią". Między 8 a 13 sierpnia 1930 roku oficjalną wizytę w Estonii, na pokładzie statku „Polonia", eskortowanego przez polskie okręty, złożył prezydent RP Ignacy Mościcki. W sierpniu 1934 roku odbyła się w Estonii wizyta polskiego plutonu broni pancernej pod dowództwem ppłk. Spałka, która przebiegła w przyjaznej atmosferze i doprowadziła do zakupu w 1935 roku przez Estonię sześciu tankietek TKS, co stanowiło jedyny sukces eksportowy polskich pojazdów wojskowych przed wojną. Duże znaczenie miały kontakty organizacji społecznych, zwłaszcza organizacji paramilitarnych. Jak pisano, odrębnym fenomenem była migracja na tle ekonomicznym, pod koniec lat 30. XX wieku do Estonii przybywało rocznie kilka tysięcy robotników sezonowych z Polski, głównie do pracy w rolnictwie. Ikoniczną postacią tej współpracy jest Polka Maria Kruszewska-Laidoner, małżonka dowódcy Estońskich Sił Zbrojnych, generała Johana Laidonera, de facto Pierwsza Dama Pierwszej Republiki Estońskiej.

Bunt sportowca. „Dowodzenie kontrrewolucją"

Jakie było odczucie Oskara Veldemana po sowieckim zamachu stanu, nietrudno się domyślić. Teraz, po 22 latach niepodległości, Estonia miała przestać istnieć. Po pakcie Ribbentrop–Mołotow i agresji ZSRS na Polskę Estonia została zmuszona do zawarcia 28 września 1939 roku porozumienia z ZSRS, na którego podstawie na terytorium Estonii zostały utworzone sowieckie bazy wojskowe. 17 czerwca 1940 roku po ultimatum skierowanym do rządu Estonii przez ZSRS państwo było okupowane przez Armię Czerwoną, a 6 sierpnia anektowane przez ZSRS.

To z tą sytuacją nie mogli pogodzić się Estończycy, których do buntu porwał Oskar Veldeman, co opisałem na początku tekstu. Ujęty przywódca trafił do aresztu. Przesłuchania, w tym nocne, trwały kilka tygodni. Ostatecznie Oskar Veldeman oskarżony został o dowodzenie kontrrewolucyjnymi organizacjami młodzieżowymi, drukowanie i rozpowszechnianie antysowieckich materiałów oraz udział w antyradzieckich demonstracjach. Trafił do więzienia w Lasnamäe. Materiały zebrane przez śledczych liczyły 208 stron.

„Zaciekły zwolennik starego porządku burżuazyjnego"

Dopiero 16 grudnia 1941 roku decyzją specjalnego zgromadzenia w Kirowie Oskar Veldeman został skazany na 10 lat obozu pracy na podstawie rosyjskiego kodeksu karnego. W podsumowaniu aktu oskarżenia scharakteryzowano go jako „zaciekłego zwolennika starego porządku burżuazyjnego".

Estońskich zesłańców umieszczono w 42 bydlęcych wagonach. Jak opisuje fiński portal maaleht.delfi.ee, zostali oni okrutnie potraktowani przez sowieckich zwyrodnialców. Kiedy w pierwszych dniach nowego roku 1942 dotarli oni do Suchobezwodnej w obwodzie gorskim, tylko 700 z kilku tysięcy skazanych jeszcze żyło! A jesienią 1942 roku żyło już ich zaledwie kilkunastu, w tym niezwykle wytrzymały sportowiec Oskar Veldeman o sportowym usposobieniu. Ale drugiej zimy już nie przeżył.

24 grudnia 1942 roku wigilia Bożego Narodzenia była ostatnim dniem jego życia. Według relacji świadków wyczerpany głodem, stał do pasa w śniegu na leśnym zboczu i nie mógł się ruszyć, gdy spadł na niego duży powalony świerk, który swoim wierzchołkiem zgasił życie legendarnego sportowca. ■

eprasa.pl 828fb90d81

Wspieraj wolne media, które nie boją się mówić prawdy!

Nie pozwól, by niezależne dziennikarstwo zostało zagłuszone. Dzięki Twojej prenumeracie **„Gazeta Polska”**, **„Gazeta Polska Codziennie”** oraz **„Nowe Państwo”** pozostają głosem patriotów i strażnikiem polskich wartości.



DOŁĄCZ DO TYCH, KTÓRZY WALCZĄ O PRAWDĘ!

Wolne Media potrzebują Twojej pomocy >>

Zamów prenumeratę teraz!
prenumerata.swsmedia.pl

NAPISZ **prenumerata@swsmedia.pl** / ZADZWOŃ **605 900 002** / SPRAWDŹ **prenumerata.swsmedia.pl**
DANE DO PRZELEWU **PL 82 1240 5963 1111 0010 3867 3017** / ADRES **ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa**

eprasa.pl 828fb90d81



Dzieci, które przeżyły Auschwitz

Agnieszka Kowalczyk

W czasie II wojny światowej do niemieckiego obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau zostało deportowanych co najmniej 232 tys. dzieci i młodocianych, spośród których około 216 tys. stanowili Żydzi, 11 tys. – Romowie, około 3 tys. – Polacy, ponad tysiąc – Białorusini oraz kilkuset Rosjan, Ukraińców i więźniów innych narodowości. W KL Auschwitz-Birkenau zarejestrowano około 23 tys. niepełnoletnich więźniów, z których w styczniu 1945 roku oswobodzonych zostało ponad 700.



FOT. WIKIPEDIA

Wśród małoletnich znalazły się m.in. dzieci z Zamojszczyzny wysiedlone ze swoich domów wraz z rodzinami i przetransportowane do obozu na przełomie lat 1942 i 1943, w większości w krótkim czasie wymordowane. Za druty trafiły także w 1944 roku dzieci z powstańczej Warszawy. Na masową skalę, począwszy od 1942 roku, deportowane były do KL Auschwitz dzieci żydowskie, które podczas selekcji w przeważającej mierze kierowano do komór gazowych. Wśród „małych więźniów" znalazły się też dzieci z getta Theresienstadt, dzieci Romów uwięzione wraz z rodzicami w tzw. Zigeunerlager oraz małoletni z okupowanych terenów Związku Sowieckiego, w szczególności z Białorusi.

O ogromie zbrodni popełnionych w obozie na dzieciach czytamy na stronie internetowej Muzeum Auschwitz-Birkenau: „Do połowy 1943 r. wszystkie dzieci urodzone w Auschwitz, bez względu na narodowość, były mordowane, najczęściej zastrzykiem fenolu, lub topione. Później przy życiu pozostawiano noworodki nieżydowskie – były one wprowadzane do ewidencji obozowej jako nowo przybyłe, a numery więźniarskie tatuowano im zazwyczaj na udzie lub pośladku. Z powodu fatalnych warunków panujących w obozie większość z nich szybko umierała. Dzieci urodzone przez Żydówki były mordowane do końca października 1944 r., gdy władze SS podjęły decyzję o zaprzestaniu masowego uśmiercania Żydów".

Za każdą dziecięcą ofiarą, a były ich przecież setki tysięcy, zawsze stoi historia pojedynczego człowieka, indywidualny los niewyrażalny w liczbach, sam w sobie będący najwyższą wartością. Trzeba więc nieprzerwanie oddawać głos tym, którzy ocaleli – ostatnim byłym więźniom obozu KL Auschwitz, tym, którzy wciąż dają świadectwo prawdzie. Oto historie, które warto przypomnieć dziś, po 80 latach od wyzwolenia KL Auschwitz, w którego śmiercionośnych trybach znalazły się bezbronne dzieci.

▶ Stefania. Urodzona w obozie zagłady

W maju 1944 roku Anna Piekarz, młoda Polka spod olkuskiej wioski Czubrowice, została zatrzymana przez niemieckich żandarmów w czasie próby przekroczenia zielonej granicy oddzielającej Generalne Gubernatorstwo od Rzeszy. Była to jedna z jej ryzykownych wypraw po żywność, ratująca jej rodzinę od głodu. Tym razem się nie udało i Anna została odstawiona do olkuskiego aresztu na całą noc, a nazajutrz przetransportowana do KL Auschwitz-Birkenau. O jej losach opowiada Jerzy Dąbrowski na łamach „Biuletynu IPN" z 2022 roku (nr 3). Już za bramą z napisem „Arbeit macht frei" usłyszała od kapo: „[…] tu jest łagier śmierci i wyjście stąd jest tylko jedno: przez komin". W jednej chwili

eprasa.pl/...8fb90d81

w pasiakach i drewniakach stała się pozbawionym człowieczej godności numerem 79414, przydzielonym do bloku 11 w KL Birkenau. Jak długo tylko mogła, strzegła swej wielkiej tajemnicy – była w drugim miesiącu ciąży. Pracowała jednak tak samo ciężko jak inne więźniarki, kopała doły, czyściła latryny, nadzorowana przez bezwzględne kryminalistki przysyłane tu z obozu Ravensbrück. W sierpniu przeniesiono ją do bloku nr 15, w którym przebywało około tysiąca kobiet oczekujących dziecka.

Kobietami w połogu opiekowała się wówczas więźniarka, która bezkompromisowo mierzyła się ze złem obozu, stawiając moralny opór zbrodniarzom i opowiadając się po stronie matek i ich dzieci. Była to obozowa akuszerka Stanisława Leszczyńska, która w KL Auschwitz odebrała około 3 tys. porodów. Gdy do obozu w maju 1943 roku przybył morderca dzieci – doktor Josef Mengele, nakazał, by zaraz po urodzeniu uśmiercała niearyjskie noworodki. Ona jednak stanowczo odmówiła, pomna przysięgi, jaką po ukończeniu szkoły pielęgniarskiej złożyła w kościele wizytek w Warszawie, że „jeżeli kiedykolwiek straci choć jedno dziecko przy porodzie, zaprzestanie wykonywania zawodu". W KL Auschwitz wszystkie noworodki, które Stanisława przyjęła, urodziły się żywe. Wszystkie też zostały ochrzczone. Po pewnym czasie te, które przejawiały cechy rasy nordyckiej, odbierane były matkom, wywożone do szpitala w Nakle i tam przekazywane do adopcji małżeństwom niemieckim. Leszczyńska znakowała dzieci niewidocznym tatuażem z myślą, by po wojnie mogły zostać odnalezione przez swoje matki.

Anna urodziła swoje pierwsze dziecko – Stefanię – w listopadzie 1944 roku. Poród trwał trzy dni. Dziewczynce wytatuowano na udzie numer obozowy 89136. Kilka dni później do baraku położnic wkroczył Mengele, w białym kitlu, wypastowanych oficerkach, pachnący wodą kolońską „Anioł Śmierci", wywołując paniczny strach wśród więźniarek. Anna starała się nie patrzeć mu w oczy. Od momentu jego wizyty malutką Stefanię zabierano na wielogodzinne badania, po których wracała cała roztrzęsiona. Miała jednak to szczęście, że znalazła się w gronie dzieci, które urodzone w KL Auschwitz przeżyły obóz zagłady. Z relacji Jerzego Dąbrowskiego wiadomo, że „tylko zaskoczeniu władz obozowych przez nieoczekiwaną ofensywę wojsk sowieckich i chaosowi, jaki powstał w obozie, zawdzięczać można uratowanie od śmierci dzieci urodzonych na kilka tygodni przed wyzwoleniem. Wycofujący się esesmani podpalili część baraków – opowiada dalej. Anna znalazła jakiś taboret, przewróciła go do góry nogami. Położyła w nim opatuloną w koc Stefanię i tak ciągnąc córkę w tych prowizorycznych sankach, doszła do Libiąża, gdzie zaopiekowali się nią obcy ludzie. Udało im się skontaktować z mężem Anny, który przyjechał i zabrał żonę i córkę do domu". Pamięć o obozie Auschwitz ciągle jest żywa w jej rodzinie. Wnuczka Stefanii Katarzyna Hrabia, uczennica 1 LO im. Króla Kazimierza Wielkiego w Olkuszu, została wyróżniona za poświęcone swej prababci opowiadanie, wysłane na konkurs literacki Międzynarodowego Domu Spotkań Młodzieży w Oświęcimiu, które kończy się znamiennymi słowami: „Pamięć o mojej prababci będzie żyć wiecznie i wiem, że z dumą będę opowiadała przyszłym pokoleniom mojej rodziny, jaką była silną, wytrwałą i wspaniałą kobietą. Bo wspomnienia żyją dopóty, dopóki do nich wracamy, a pamięć o bliskich współtworzy naszą tożsamość".

▶ Luda. Trzylatka w więziennym baraku

Luda trafiła do obozu Auschwitz-Birkenau jako niespełna trzyletnia dziewczynka o czarnych, kręconych włosach i wielkich niebieskich oczach. Jej historię poznajemy z książki Aleksandry Wójcik i Macieja Zdziarskiego „Dobranoc, Auschwitz" (wyd. 2 z 2023 roku) – przejmującego zbioru reportaży odkrywających historie ostatnich pozostałych przy życiu więźniów tego obozu. Małą Ludę wywieziono z Białorusi wraz z mamą i dziadkami na początku grudnia 1943 roku. Rodzina Boczarowów trafiła do Auschwitz podejrzana o utrzymywanie kontaktów z partyzantami. W czasie selekcji dziadków od razu skierowano do gazu, a 20-letnia Anna z małą Ludą przeszły na prawo, zyskując życie. Dziecku wytatuowano numer 70 072. „Kiedy po wojnie będzie porównywać tatuaże z innymi dziećmi Auschwitz, zauważy, że jej numer wygląda jak zapisany w zeszycie prymuski. Większość kilkulatków podczas tatuowania nie wytrzymuje bólu". Póki była z mamą, która po ogoleniu głowy nie przypominała już siebie, mogła czuć się w miarę bezpieczna. Wkrótce jednak matka i córka zostały rozdzielone. Annę skierowano na roboty w Harmężach przy przesuwaniu koryta Wisły, a wystraszoną Ludę zamknięto w dziecięcym baraku. Było tam może nawet i kilkaset dzieci, stłoczonych i brudnych – małych Żydów, Rosjan, Romów i Czechów. Leżały na pryczach, zawszone, wśród skaczących szczurów.

Największe zagrożenie dla malców stanowił Mengele, który podczas selekcji na rampie (a tych z jego udziałem udokumentowano 39) wykazywał się ogromną gorliwością, kierując ludzi do gazu. Zimny morderca w błyszczących butach i białych rękawiczkach wskazywał więźniom swą elegancką laseczką dalszy kierunek marszu – na lewo – śmierć, na prawo – życie… Miał obsesję na punkcie bliźniąt, na które polował podczas selekcji, by prowadzić później na nich swe pseudoeksperymenty: „Wybiera grupę dzieci, zakrapia im oczy barwnikami. Przygotowuje preparaty z różnokoloro-

eprasa.pl 828fb90d81

wych tęczówek. Kładzie na stole próbki: niebieskie, zielone, fioletowe, żółte. Według innej relacji – przyczepia gałki oczne szpilkami do ściany, jak kolorowe motyle. Dzieci bez oczu trafiają do gazu. Operacje i zabiegi wykonuje bez znieczulenia. Amputuje kończyny, zakaża rany, zszywa ze sobą ciała bliźniąt". Z jego rozkazu zamordowano 300 dzieci z Dniepropietrowska, poniżej piątego roku życia. Wrzucono je do dużego dołu, oblano benzyną i podpalono.

Tymczasem Anna, ryzykując życie, doczołgiwała się nocami do dziecięcego baraku. Szła do Ludy z kawałkiem chleba albo ziemniaka, przytulała ją i powtarzała, że nazywa się Ludmiła Boczarowa i że pochodzi z Mińska. Dziewczynka cierpiała na biegunkę, głodowała, jej ciało było pokryte bolesnymi wrzodami. Któregoś razu Anna nie mogła jej poznać. Była śmiertelnie blada, aż przezroczysta, po tym jak wytoczono jej krew dla niemieckich żołnierzy… „Luda dostaje rady od starszego żydowskiego chłopca: nie krzycz, nie płacz, nie daj się złapać. Boi się zastrzyków, więc gdy do baraku wchodzi biała postać, siada w kąciku pryczy lub pod nią. Zamyka oczy – i w ten sposób robi się ciemno i ma wrażenie, że jest niewidzialna". Powoli przyzwyczajała się też do wszechobecnej śmierci, do widoku małych trupów układanych obok siebie na długim piecu. Pewnego dnia pokazano jej na stosie ciał kobietę ułożoną twarzą do ziemi, mówiąc: „To twoja mama. Nie żyje". Odtąd Luda została sama. Dane jej jednak było doczekać wyzwolenia obozu. Jej los odmienił się z chwilą, gdy do dziecięcego baraku zawitali Ryszard Radzikowski z żoną Bronisławą. Sami pochodzili z Oświęcimia i teraz chcieli zaopiekować się jednym z obozowych dzieci. Mała Luda „podbiega do Radzikowskich, od razu wtula się w futrzany płaszcz Bronisławy. Futro jest ciepłe i miękkie, dziecko nie może się od niego oderwać". I tak została ich córką Lidią, co w 1947 roku potwierdził Sąd Grodzki w Oświęcimiu.

Symboliczny tort na urodziny córki

Radzikowscy kochali ją jak własne dziecko. Patrząc na zdjęcie Lidii w stroju krakowianki z białą kokardą, w błyszczącej kamizelce i eleganckich pantofelkach, nikt by nie pomyślał, że jest to dziecko, które przeszło przez obozowe piekło. Nikt by się też pewnie nie domyślił, że dziewczynka z fotografii cierpiała po wojnie na skręt kiszek, zapalenie płuc i opon mózgowych, że skóra z odmrożonych nóg schodziła jej siedemnaście razy, a rozcięta warga zabliźniła się dopiero po dwóch latach.

Niemniej obóz na jej dziecięcej psychice pozostawił niezatarte piętno. Zabawy Lidii z rówieśnikami polegały na odtwarzaniu scen obozowych – urządzała im selekcje, ustawiała w szeregu, jednych wysyłała „na rewir", drugich do „pieca", jeszcze innych straszyła, że przyjdzie po nich Mengele. Zmiany zachodzące w psychice takich dzieci, jak podkreślają autorzy „Dobranoc, Auschwitz", są przez lekarzy porównywane „do tych, jakie zachodzą po przejściu ciężkich psychoz, np. schizofrenii. Zarówno w wypadku psychozy, jak i obozu koncentracyjnego przeżycia przekraczają granicę ludzkiej wytrzymałości. Mali więźniowie Auschwitz mają uszkodzony ośrodkowy układ nerwowy, cechy nerwicowe i psychopatyczne, cierpią na niedojrzałość uczuciową. Wiedzą, że są inni niż rówieśnicy".

Gdy Lidia skończyła 18 lat, rozpoczęła poszukiwania swego biologicznego ojca poprzez instytucję Czerwonego Krzyża, najpierw w Polsce, a potem w Niemczech. Po prawie dwóch i pół roku otrzymała wiadomość z Hamburga: „Pani matka […] żyje i obecnie znajduje się na terenie ZSRR". Odnalazły się po 17 latach! W pierwszym otrzymanym od matki liście Lidia przeczytała, że Niemcy wywieźli Annę z Auschwitz do Bergen-Belsen i tam doczekała wyzwolenia obozu. Chciała wtedy wrócić do Oświęcimia po córkę, ale powiedziano jej, że wszystkie rosyjskie dzieci z Auschwitz trafiły do sowieckich sierocińców. Dlatego tam właśnie postanowiła szukać Ludy, a nawet zatrudniła się w jednym z nich. „Tysiące dzieci przeszło przez moje ręce. Ale Ciebie wśród nich nie było" – wyznawała w liście. Choć jej mąż szczęśliwie odnalazł się po wojnie i choć doczekała się jeszcze trzech córek, cały czas czuła się nieszczęśliwa, myślała o Ludzie, świętowała każde jej urodziny, piekąc symboliczny tort.

Powitanie Ludy odbyło się w Moskwie na Dworcu Białoruskim w obiektywach kamer telewizyjnych, blasku fleszy i otoczeniu tłumów. Anna nie zdołała tam dotrzeć, straciła przytomność i przewieziono ją do hotelu, gdzie ostatecznie spotkała się z córką. Lidia poznała również kobietę, która ocaliła ją od śmierci w Auschwitz. Była to doktor Olga Nikiticzna-Klimienko, która ratowała w obozie dzieci z Białorusi. Przed spodziewaną selekcją przychodziła po Ludę do baraku dziecięcego, okręcała ciężko chorą dziewczynkę w szmaty i w tajemnicy przenosiła „na rewir". Wiedziała, że inaczej esesmani każą ją uśmiercić.

Lidia nie myślała ani przez chwilę o pozostaniu w ZSRS, choć kuszono ją obietnicą własnego mieszkania i miejscem na wymarzonych studiach. Czuła się związana z Polską, tam był jej dom, rodzina, praca. Tam też ciągle daje świadectwo prawdzie o zbrodni niemieckiej, odpisując na setki listów, udzielając wywiadów zagranicznej prasie i telewizji, uczęszczając na prelekcje do szkół i zakładów pracy. Każdego roku w dniu Wszystkich Świętych zapala w Auschwitz znicz, chcąc w ten sposób uczcić pamięć swych dziadków i wszystkich tych, którym nie dane było przeżyć.

eprasa.pl 828fb90d81

Anna. Brutalny kres szczęśliwego dzieciństwa

Anna Szałaśna została wywieziona do KL Auschwitz latem 1943 roku. Miała wówczas 17 lat. Jej jedyną winą było to, że napisała list do brata Adama, schwytanego przez Niemców w Krakowie i wysłanego na roboty do Rzeszy. Donosiła mu o tym, co dzieje się w domu, co piszą gazety i pocieszała słowami, że „na szczęście zbliża się już chwila wyzwolenia". To ostatnie zdanie wystarczyło, by trafiła do obozu zagłady, zadenuncjowana przez mściwego agenta tarnowskiego gestapo, któremu wcześniej się naraziła.

Wojna całkowicie zmieniła jej życie, przynosząc kres szczęśliwemu dzieciństwu, jakie wiodła z rodzicami i braćmi najpierw w kresowym Chryplinie koło Stanisławowa, a później we Lwowie, w Poznaniu i Toruniu. Jej rodzina zmieniała często miejsca zamieszkania, gdyż ojciec Stanisław, oficer rezerwy, był naczelnikiem Biura Wojskowego w Dyrekcji Okręgowych Kolei Państwowych. Matka Florentyna wywodziła się z arystokracji, jej babka była hrabianką, a dziadek, wiedeńczyk z krwi i kości – posiadaczem browaru pod Pilznem. „Lwów to Lwów – Stolica województwa, teatr, muzyka, najlepsze szkoły i konserwatoria, uśmiech na ulicach. A Poznań to były Prusy: cisza i porządek. […] Toruń to była klasa! Nowoczesne mieszkania, świetne szkoły i konserwatorium w Dworze Artusa" – wspominała dziecięce lata, wypełnione beztroskimi zabawami z braćmi oraz odkrywaniem w sobie miłości do muzyki, sztuki i artystycznych występów.

Swój talent rozwijała najpierw we lwowskim, a później w toruńskim konserwatorium muzycznym. Swe ostatnie wakacje spędziła w nowo otwartym zakładzie leczniczo-wychowawczym dla dzieci w Rabce, gdy tymczasem jej ojciec nie opuszczał biura wojskowego, bowiem pod koniec sierpnia 1939 roku doszły go wieści, że na granicy polsko-niemieckiej gromadzą się hitlerowskie czołgi. I stało się! Polska została zaatakowana, a na Toruń spadły niemieckie bomby. 3 września Stanisław Szałaśny otrzymał rozkaz stawienia się w Warszawie. Postanowił wyjechać z rodziną. Gdy po pięciu dniach niekończącej się podróży, przerywanej nalotami, ich pociąg zbliżył się do Warszawy, został zaatakowany przez Niemców. „Pif-paf", świst kul, jęk rannych […]. W ostatniej chwili chwyciłam płaszczyk i wyskoczyłam – przywołuje moment ucieczki Anna. – Biegliśmy za innymi w dół nasypu, w kartoflisko, nagle poczułam, że dalej nie mogę. Gdy przewracałam się na plecy z nogami do góry, zobaczyłam coś dziwnego na jednej z nich. Mięso! Skąd tu mięso? Nie czułam bólu, ale tuż nad lewą kostką miałam porwaną nogę. […] Strzelanina tymczasem trwała w najlepsze". Niemcy bombardowali Warszawę, do której ranna dziewczyna dotarła z najbliższymi gęsto zasłaną trupami ulicą Wolską. Jej stan pogarszał się, rana silnie krwawiła, jedynym ratunkiem była amputacja. Przeżyła, zaczęła chodzić o kulach. „Z czasem dostałam swoją pierwszą protezę […]. Stopa była zrobiona z filcu, by umożliwić zginanie, a wyżej był lej protezowy z tworzywa, w który wkładało się nogę aż po kolano" – opowiada w książce Moniki Odrobińskiej „Dzieci wojny".

„47628 – to była moja nowa tożsamość"

Wkrótce po tych wydarzeniach rodzina Szałaśnych przeniosła się do Radgoszczy pod Tarnowem, gdzie ojciec Anny został wójtem. Jego wstąpienie do podziemia niepodległościowego pociągnęło za sobą aresztowanie i uwięzienie w Dąbrowie Tarnowskiej. Tam odwiedzała go Anna, przynosząc wiadomości ze środowiska konspiracyjnego, w którego działalność została wtajemniczona. Ku rozpaczy ojca niebawem i ona trafiła do sąsiedniej celi wskutek donosu agenta gestapo. Podczas przesłuchań nie załamała się i nikogo nie wydała. Ostatecznie jednak w czerwcu 1943 roku została odstawiona na tarnowski dworzec i załadowana z transportem do Auschwitz-Birkenau. „Do końca pobytu w obozie nie byłam już Anną Szałaśną, tylko numerem 47628 […] – to była moja nowa tożsamość". Po upokarzającym goleniu i lodowatym prysznicu ubrała koszulę z szarego płótna, pasiak, kurtkę i fartuch „jak do stajni". W przeciwieństwie do innych więźniarek nie zakładała drewnianych chodaków, bo mając protezę, musiała zachować swoje buty. Choć miała 17 lat, umieszczona została w części obozu dla dorosłych. Swą pierwszą noc w bloku spędziła na pięcioosobowej koi, która przypominała trzy „szuflady", umiejscowione jedna nad drugą. „W tej ciasnocie – jak opisuje – przewracałyśmy się na drugi bok na trzy cztery. Nocnej bielizny, rzecz jasna, nie było, podobnie jak ręczników. Nawet miskę trzeba było sobie samemu skombinować, inaczej nie dostało się jedzenia". Do jedzenia zresztą Niemcy dosypywali saletry i salicylu, co w konsekwencji prowadziło do bezpłodności. „To była polityka niemiecka – wybić Polaków, którzy żyją, i nie dopuścić do urodzenia się kolejnych pokoleń". Pracować musiał każdy. Anna zgłosiła się do kopania ziemi, którą umęczeni ludzie przewozili bezsensownie na taczkach z jednego miejsca na drugie.

Na Annę przychodziły niejednokrotnie ciężkie chwile jak ta, w której uczuła przerażający ból głowy i skierowana została „na rewir" pozostający pod opieką Moniki z Poznania, która uratowała od śmierci dziesiątki więźniów. Na 300 pacjentów przypadał tam jeden lekarz, a na 600 – dziesięć tabletek aspiryny, tyleż porcji proszku na przeczyszczenie i kilka papierowych bandaży. Wszyscy leżeli stłoczeni obok siebie, w tym chorzy zakaźnie i kobiety w połogu. Gdy prze-

eprasa.pl 828fb90d81

szywana strasznym bólem Anna krzyczała wniebogłosy, zamiast uciszającej kolby niemieckiego karabinu, z rąk polskiej lekarki otrzymała zbawienny zastrzyk. Przeżyła, choć wokół szalała śmierć. Tory kolejowe podciągnięto pod same baraki, więc dantejskie sceny stały się codziennością, zwłaszcza gdy co dwa, trzy dni przychodziły transporty bogatych węgierskich Żydów, kierowanych do gazu. Kobietom od razu wyrywano dzieci, pozostawiano jedynie bliźnięta, mające służyć eksperymentom Mengelego. Najbardziej wstrząsnęło Anną to, co zobaczyła pewnej nocy: „Spojrzałam przed siebie, a tam płonął wielki ogień. Jakby miasto się paliło, a przecież w okolicy nie miało się co palić. Poczułam odór palonych kości. Potem dowiedziałam się, że młodych i zdrowych mężczyzn z żydowskiego transportu odsyłano do pracy, a starych i niedołężnych pędzono w mgłę. To była sztuczna mgła, którą Niemcy rozpylali nad potężnym rowem. Mężczyźni nie wiedzieli, że pali się w nim ogień i że do niego wpadną. Tak Niemcy radzili sobie, gdy krematoria nie nadążały z pracą". W mig zrozumiała, do czego służyły naręcza świerkowych gałęzi zwożonych ciężarówkami do obozu.

Annie ciągle groziło śmiertelne niebezpieczeństwo, tym bardziej że jej proteza stała się już mocno zużyta i za ciasna. Niemcy w każdej chwili gotowi byli dokonać jej likwidacji. Mogła jeszcze liczyć na pomoc Moniki z ambulatorium, która wymyśliła tzw. Schonung Karte, zwalniającą od pracy po przebytej chorobie i pozwalającą pozostać w baraku na czas apelu. Pierwszą taką kartę otrzymała właśnie Anna, której udało się też zatrudnić przy cerowaniu „nieziemsko śmierdzących" pasiaków po umarłych więźniach.

„Moja wiara jest ponad to"

I tak nadeszło lato 1944 roku, a dla Anny niespodziewana szansa na odmianę losu w związku z ogłoszeniem przez Niemców możliwości zmiany miejsca pobytu „młodych i zdrowych" więźniarek. Postanowiła spróbować, choć dla niej nie było to łatwe, zwłaszcza że należało przejść przez kontrolę lekarską. Na widok kalekiej Anny niemiecki lekarz wpadł w furię. Dostrzegłszy jej ułomność, krzyczał i groził dziewczynie, która czym prędzej umknęła na koniec kolejki. Skutecznie osłonięta przez współwięźniarki, zdołała ukryć się w ciężarówce. Po kilkudziesięciu godzinach podróży dotarła do kobiecego obozu koncentracyjnego w Ravensbrück. „Gdy tam jechałyśmy – przyznaje – nie wiedziałyśmy jeszcze o pseudomedycznych eksperymentach, którym niemieccy lekarze poddawali głównie Polki, o sterylizowaniu kobiet romskich i Sinti czy o wstrzykiwaniu więźniarkom bakterii. Nie wiedziałyśmy, że z uwięzionych tam czterdziestu tysięcy Polek, głównie działających w Armii Krajowej, przeżyje ledwie osiem tysięcy".

W obozie tym dotrwała do stycznia 1945 roku, kiedy to Heinrich Himmler, którego nazwisko figurowało już na alianckiej liście zbrodniarzy wojennych, zgodził się na propozycję wiceprzewodniczącego Szwedzkiego Czerwonego Krzyża hrabiego Folkego Bernadottego, aby przetransportować do Szwecji najpierw skandynawskich więźniów, potem więźniarki z Ravensbrück, a potem jeszcze innych więźniów obozów koncentracyjnych. W ten sposób Anna Szałaśna na powrót stawała się wolnym człowiekiem, płynąc ku Szwecji, gdzie polskie więźniarki jeszcze na skandynawskich wodach przywitała melodia „Mazurka Dąbrowskiego" wygrywana przez orkiestrę dętą szwedzkiej marynarki wojennej. Ostatecznie jednak zdecydowała się na powrót do ojczyzny, stęskniona za rodziną, która przeżyła wojnę. W kraju zdobyła wykształcenie, ukończyła studia muzykologiczne, rozpoczęła pracę w Instytucie Sztuki PAN w Warszawie. W akcie dziękczynienia wyruszyła też z pielgrzymką na Jasną Górę. Trudne doświadczenia wojenne nauczyły ją, że nigdy nie można się poddawać i walczyć należy do końca. „Zamiast narzekać, to działam – mówiła Monice Odrobińskiej wiosną 2021 roku. – Ktoś inny na moim miejscu być może zastanawiałby się, dlaczego Bóg dopuścił do tego, że straciłam nogę, trafiłam do więzienia, a potem do obozów. Ale nie ja. Moja wiara jest ponad to".

***

Stefania, Lidia, Anna znalazły się wśród dzieci, które przeżyły Auschwitz. A przecież tak niewiele z nich ocalało. Dla niemieckich oprawców dziecięce katusze „wpisywały się w ideologię III Rzeszy, według której wrogowie państwa powinni przysłużyć się pracą albo śmiercią podczas badań naukowych" (Agnieszka Waś-Turecka). Symbolem cierpienia każdego dziecka w obozie koncentracyjnym stała się historia pewnej 14-latki z Zamojszczyzny – Czesławy Kwoki, która nie została poddana pseudoeksperymentom, ale po trzech miesiącach spędzonych w Auschwitz, 12 marca 1943 roku, uśmiercona zastrzykiem fenolu. Obozowy fotograf Wilhelm Brasse zapamiętał Czesławę w tłumie ponad 40 tys. więźniów, którym wykonał zdjęcia. „To zdjęcie dziewczyny-więźniarki szczególnie pamiętał, bo wyglądała rozbrajająco, taka młodziutka w ubiorze więźnia. Kiedy po niemiecku wywoływano numery więźniów, ta dziewczyna tego nie rozumiała, za co była bita pejczem przez esesmankę. Bito też ją w twarz" – wspominał w filmie dokumentalnym „Portrecista". Jej indywidualny los stał się symbolem losu wszystkich tych dzieci, które zostały zamordowane w KL Auschwitz. ■

eprasa.pl 828fb90d81



Niezwykłość życia

eprasa.pl 828fb90d81



FOT. WIKIPEDIA

Dariusz Jarosiński



„Jestem najpierw żołnierzem, potem kapłanem, a dopiero potem filozofem" – mówił o sobie o. Józef Bocheński. Te słowa oddają hierarchię jego życia, nie były na pewno jakimś jedynie wymyślonym zgrabnym bon motem.

Bocheńscy to stara rodzina ziemiańska herbu Rawicz o silnych korzeniach patriotycznych. Rzadko się zdarza, aby w jednej rodzinie było trzech braci o wybitnych walorach intelektualnych, a także wybujałych temperamentach; była też siostra, o której czasami się zapomina. Bracia prezentowali różne odcienie polskiej myśli konserwatywnej, uważali się za realistów politycznych, ale każdy z nich poszedł swoją drogą życiową. Najstarszy, Józef Maria, rocznik 1902, najbardziej ceniony z rodzeństwa, światowej sławy logik, filozof, sowietolog, dominikanin, zmarł 30 lat temu, 2 lutego 1995 roku we Fryburgu w Szwajcarii w wieku 93 lat.

Młodszym o siedem lat jego bratem był Adolf Maria Bocheński, pisarz, publicysta polityczny, żołnierz 2. Korpusu Polskiego poległy podczas rozbrajania miny pod Ankoną w 1944 roku. Jego młodszy o dwa lata brat, Aleksander Maria Bocheński, był po wojnie współzałożycielem Stowarzyszenia PAX, uwikłanym we współpracę z komunistami, autor książki „Dzieje głupoty w Polsce". Urodzona w 1905 roku siostra, Olga Antonina Zawadzka, nadzwyczaj religijna, w czasie II wojny światowej uratowała Żydówki, które wydostały się z getta we Lwowie. Po wojnie była nauczycielką, katechetką, opracowywała podręczniki do nauczania religii. W 1992 roku Instytut Yad Vashem odznaczył ją medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata. Zmarła w wieku 103 lat, dokładnie w rocznicę tragicznej śmierci swojego brata, Adolfa.

„Poza logiką jest tylko nonsens"

Ojciec Józef Maria Bocheński był bardzo wyrazistym myślicielem. Jak sam twierdził, należał do szkoły filozoficznej skrajnie racjonalistycznej. Był realistą, kierującym się w życiu zdrowym rozsądkiem. Nie ma, jego zdaniem, żadnej sprzeczności pomiędzy racjonalizmem a wiarą w Boga; co więcej, człowiek wierzący powinien być racjonalistą, a prawdziwy racjonalista to człowiek wierzący. Znane jest jego powiedzenie, że poza logiką jest tylko nonsens. Według o. Bocheńskiego Pan Bóg zbudował świat według prawideł logiki.

Był nie tylko znanym filozofem i logikiem, lecz także wybitnym znawcą marksizmu i jego krytykiem, jednym z najbardziej liczących się sowietologów. Aby zrozumieć i zwalczać ideologię marksistowską, komunizm, specjalnie nauczył się języka rosyjskiego i czytał pisma ideologiczne wydawane w tym języku. Był doradcą w sprawach sowieckich pięciu rządów: RPA, USA, Argentyny, Szwajcarii oraz RFN w czasie pełnienia funkcji kanclerza przez Konrada Adenauera. Miał decydujący wpływ na podjęcie przez rząd niemiecki w 1956 roku decyzji o zakazie działalności partii komunistycznej. Przekonał rząd RFN o konieczności stworzenia ośrodka badań so-

eprasa.pl 8f8fb90d81

wieckiej ideologii – Ost-Kolleg w Kolonii – później założył również prężny instytut sowietologiczny w szwajcarskim Fryburgu. W PRL był wymazany ze zbiorowej pamięci.

Za zgubne dla naszej cywilizacji chrześcijańskiej uważał szerzenie przez lewicowych intelektualistów zabobonów. W 1987 roku ukazała się w Polsce w drugim obiegu jego książka „Sto zabobonów. Krótki filozoficzny słownik zabobonów". Nazywał nimi wierzenia będące „oczywiście w wysokim stopniu fałszywe, a mimo to uważane za na pewno prawdziwe". Jednym z nich był na przykład humanizm naukowy, nieuprawnione traktowanie człowieka jako istoty wyjątkowej i zasadniczo różnej od innych istot, zwłaszcza od zwierząt. Innym był kult intelektualistów, postępu, równości, tolerancji. Za najbogatszy zbiór zabobonów, a zarazem najbardziej niebezpiecznych dla człowieka, cywilizacji chrześcijańskiej, uważał ideologię marksistowską. Wyznawcy marksizmu stanowią sektę wojowniczą narzucającą swoje zabobony w sposób bezpardonowy, często siłowy. Ideologia marksistowska służąca do manipulacji człowiekiem, budowania coraz nowszych konstrukcji inżynierii społecznej, okazuje się skarbnicą bez dna. Marksizm dzisiaj święci triumfy, zmienił świat.

„Jestem najpierw żołnierzem, potem kapłanem, a dopiero potem filozofem" – mówił o sobie. Te słowa oddają hierarchię jego życia, nie były na pewno jakimś jedynie wymyślonym zgrabnym bon motem. Być żołnierzem to nie tylko walczyć z bronią w ręku i bronić ojczyzny, lecz to także bronić prawdy, wiary, kultury, cywilizacji. Nie wyobrażał sobie, żeby młody chłopak nie chciał iść do wojska, nie chciał walczyć o wolną Polskę. Uczestniczył w trzech kampaniach wojennych: jako ochotnik w 1920 roku w wojnie z bolszewikami, w wojnie obronnej 1939 roku i w roku 1944, będąc kapelanem 2. Korpusu Polskiego uczestniczył w kampanii włoskiej. Dobrze czuł się na polu walki. Przez całe życie ciągnęło go do wojska.

Słynął z niekonwencjonalnego zachowania. Nawet w wieku 90 lat nie opuszczał o. Bocheńskiego doskonały humor, do końca życia towarzyszyła mu młodzieńcza fascynacja szybką jazdą samochodem czy lataniem samolotem. Pierwsze prawo jazdy uzyskał w 1919, roku, kiedy miał 17 lat, jeździł do roku 1991; licencję pilota zdobył w wieku prawie 70 lat i przez 14 lat latał samolotem. Wykonał 2200 lotów. We wrześniu 1982 roku brał udział w negocjacjach z terrorystami, którzy zaatakowali Ambasadę PRL w stolicy Szwajcarii, w Bernie.

W zbiorze esejów „Sens życia", już u schyłku swego życia, pisał, że wydaje mu się, iż prawdziwa jest filozofia płytka i mała, podczas gdy „głębokie" i „wielkie" filozofie są fałszywe. „Co gorzej, sądzę, że były powodem wielu nieszczęść ludzi. Podczas gdy ta mała filozofia, która jest bodaj mądrością zwykłych ludzi, może dać człowiekowi to trochę szczęścia, jakie jest w ogóle na tym świecie możliwe".

Potrzeba ładu

Józef już jako dziecko wykazywał błyskotliwą inteligencję. Po ukończeniu klasycznego gimnazjum we Lwowie i złożeniu matury zaciągnął się jako ochotnik do 8. Pułku Ułanów Księcia Józefa Poniatowskiego, aby bić bolszewików. Jego pułk rozgromił pod Komarowem słynną Armię Konną Siemiona Budionnego. „Była to chyba ostatnia wielka bitwa kawalerii – wspominał – bodaj sześćdziesiąt tysięcy koni. Wspaniała rzecz. Szarżowali na siebie z niesłychaną zaciekłością, wpadali w bagna, nie mogli dalej jechać, grały karabiny maszynowe. Następnie Rosjanie zaczęli się cofać. Cała moja kampania to było ściganie nieprzyjaciela. Jakbym czytał Sienkiewicza". Wojna to według Bocheńskiego „wysiłek, ogromny, niemal, zdawało mi się, nadludzki wysiłek niekończących się marszów, poniewierki na biwakach i kwaterach, pracy koło konia. […] Wojna to jest przede wszystkim to: ogromny, straszny wysiłek".

Wojna z bolszewikami to było formacyjne doświadczenie dla Bocheńskiego. Męskie światy, męskie przygody, które zostawiły swój ślad na całe życie.

Nie był zdecydowany, jaki kierunek studiów podjąć. Za namową ojca w 1920 roku rozpoczął studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, ale dwa lata później przeniósł się do Poznania, gdzie studiował na uniwersytecie ekonomię, m.in. pod kierunkiem profesorów Floriana Znanieckiego i Czesława Znamierowskiego. Ujawnił wówczas swoje zamiłowanie do monarchizmu, został prezesem poznańskiej Organizacji Młodzieży Monarchistycznej.

Przewrót majowy w 1926 roku przeprowadzony przez marszałka Piłsudskiego miał duży wpływ na drogę życiową młodego Józefa. Ugrupowania prawicowe wystąpiły w obronie legalnego rządu Witosa, przeciwko Piłsudskiemu. Również Józef Maria Bocheński stanął zdecydowanie po stronie legalnego rządu, wziął udział w manifestacjach. Zwątpił wówczas w demokrację, uznał, że jedyną instytucją, w której panuje porządek, jest Kościół katolicki. Mimo że młody Józef deklarował się jako agnostyk, to w niedługim czasie po przewrocie majowym wstąpił do seminarium w Poznaniu, m.in. za sprawą o. Jacka Woronieckiego OP, wybitnego filozofa i teologa. W roku następnym rozpoczął nowicjat w zakonie dominikanów w Krakowie. Przyjął imię zakonne Innocenty.

Jak wspominał, w seminarium odnalazł wiarę. Przełożeni w zakonie szybko dostrzegli nieprzeciętną inteligencję o. Innocentego, więc już po pierwszych ślubach wysłali go w 1928 roku do Szwajcarii, gdzie uzyskał stopień doktora filozofii. W latach 1931–1933 studiował

eprasa.pl 828fb90d81

teologię na Papieskim Uniwersytecie Świętego Tomasza z Akwinu (Angelicum) w Rzymie i został doktorem teologii, od 1935 roku wykładał na Angelicum logikę. W 1938 roku habilitował się na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie i objął stanowisko docenta.

Po napaści Niemiec na Polskę w roku 1939 wziął udział w kampanii wrześniowej jako kapelan jednego z pułków Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Polesie" gen. Kleeberga. W bitwie pod Kockiem, wieńczącej szlak bojowy, został lekko ranny. Po ucieczce z niewoli niemieckiej powrócił do Krakowa, gdzie przez przypadek uniknął losu wywiezionych do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen uczonych krakowskich. Dzięki Opatrzności Bożej i pomocy ks. biskupa Adamskiego z Katowic udało mu się dotrzeć na Zachód. Wyjechał pośpiesznym pociągiem bez niezbędnych dokumentów!

Przedostał się najpierw do Wiednia, a później do Rzymu, gdzie w grudniu 1939 roku pełnił funkcję sekretarza komitetu ratowania profesorów UJ więzionych w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen. Z przykrością i zażenowaniem obserwował przysłowiowe „potępieńcze swary" polskiej emigracji we Francji i w Anglii, gdzie pełnił funkcję kapelana.

W lutym 1944 roku został zaprzysiężony jako kapelan do zleceń (odpowiednik adiutanta) ks. biskupa polowego Józefa Gawliny i wysłany na front włoski. Otrzymał stopień majora Wojska Polskiego. Wziął udział w bitwie o Monte Cassino i pod Loreto. To on wymusił decyzję na prowincjale oo. kapucynów o odstąpieniu terenu na stoku Góry Loretańskiej opadającym ku morzu na założenie cmentarza dla poległych polskich żołnierzy. Jest to jeden z najpiękniejszych cmentarzy na świecie. Jednym z pierwszych pochowanych na tym cmentarzu był brat o. Bocheńskiego, Adzio, czyli Adolf Bocheński, poległy przy rozbrajaniu min po bitwie pod Ankoną. W czasie Powstania Warszawskiego o. Innocenty kierował biurem prasowym biskupa polowego Gawliny w Rzymie, a od lipca 1944 do października 1945 roku był szefem wydawnictw religijnych 2. Korpusu Polskiego. Uważał, że Niemcy gremialnie, jako naród, byli odpowiedzialni za wojnę. „Chcieli jej i popierali ją" – pisał we wspomnieniach.

W Rzymie dotarła do o. Bocheńskiego wiadomość o zdradzie jałtańskiej. „Redaktorzy wszystkich wydawnictw korpusu schodzili się co dzień w południe na odprawę, której przewodniczyłem – pisał o. Bocheński. – Pytanie, co robić wobec oczywistej zdrady, było na tej odprawie długo i gruntownie dyskutowane. Staliśmy, o ile pamiętam, wszyscy na stanowisku, że dalej walczyć nam nie wolno. Nie było już sprawy, dla której nasi żołnierze mogliby się narażać i ginąć. Odpowiedzialni za nich, a więc dowódcy, nie mieli prawa nakazywać im dalszej walki. Były wprawdzie argumenty przemawiające za tezą przeciwną. Mówiono, że przyszłość naszych żołnierzy zależy od tego, czy zechcą walkę dalej prowadzić. Powoływano się także na braterstwo broni z innymi aliantami, ale pierwszy argument robił z nas ordynarnych najemników walczących wyłącznie dla korzyści materialnej, a drugi wydał się nam niepoważny wobec tak jaskrawej zdrady tychże aliantów. W tym duchu napisaliśmy też list do gen. Andersa. Generał posłuchał jednak rady płk. Bączkiewicza i kazał walczyć dalej. Moim, i nie tylko moim zdaniem, zawiedliśmy się na nim – nie wykazał w tej sprawie wielkości".

Wiara i rozum

Po wojnie nie wrócił już do Polski, a jego publikacje znalazły się na komunistycznym indeksie. W 1945 roku o. Bocheński otrzymał katedrę filozofii na uniwersytecie we Fryburgu w Szwajcarii, gdzie później pełnił funkcję dziekana i rektora. Był zapraszany z wykładami do wielu znakomitych uczelni na całym świecie.

Po wojnie kontynuował swoje prace zaczęte w 1936 roku nad pogodzeniem religii katolickiej i logiki. To była idée fixe, która przenikała całe jego życie. *Fides et ratio* – wiara i rozum. Wiara, rozum i moralność były fundamentem jego filozoficznych rozważań. Uważał, że rozum jest potrzebny człowiekowi po to, aby m.in. nie dać się uwikłać w wiarę w zabobony. Marksizm uważał za największy zbór zabobonów, jaki kiedykolwiek żeśmy mieli. Za wielkie niebezpieczeństwo naszej współczesności uznawał zwątpienie w rozum, nierozumne podejście do życia.

„Największym niebezpieczeństwem, które nam dzisiaj grozi, jest coraz powszechniejsze odwracanie się człowieka od rozumu. Już sama liczba tych, którzy wydają ciężkie pieniądze na astrologię, numerologię i tym podobne zabobony, świadczy jak bardzo ludzie są nieracjonalni. Jakie są następstwa takiej nierozumnej postawy, pokazuje jasno mordowanie niewinnych w imię pewnej, takiej czy innej »ideologii« – dzisiaj praktykowane tak często, że aż uchodzi za coś normalnego" – pisał o. Bocheński w eseju „O filozofii analitycznej".

W 1957 roku był założycielem, a potem dyrektorem Instytutu Europy Wschodniej we Fryburgu, redaktorem czasopisma „Studies in Soviet Thought" i serii wydawniczej „Sovietica". Był tytanem pracy. Pozostawił po sobie ponad 30 dzieł filozoficznych i logicznych, m.in. słynną historię logiki formalnej „Formale Logik. Geschichte" z 1956 roku, monografię „Europäische Philosophie der Gegenwart" z 1947 roku, tłumaczoną na wiele języków światowych, m.in. w Związku Sowieckim. Jego książki sprzedawały się w milionach egzemplarzy. Był założycielem, redaktorem i wydawcą licznych czasopism naukowych i wydawnictw seryjnych, m.in. z problematyki filozofii w Sowietach.

eprasa.pl 828fb90d81

Był także założycielem i pierwszym rektorem Polskiej Misji Katolickiej w Szwajcarii, członkiem Rady Muzeum Polskiego w Raperswilu.

Konsekwentnie krytykował intelektualistów kolaborujących z komunizmem (nazywał ich „zgniłkami", przy czym jak sam podkreślał, jest to stwierdzenie naukowe, oznaczające ludzi, którzy nie wierzą w prawdę oraz są produktem rozkładającego się społeczeństwa).

Ojciec Bocheński uważał, że europejska lewica opiera się na starych, wypróbowanych zasadach: propaguje idee oświeceniowe, czyli prymitywną, materialistyczną wizję świata, odrzuca naukę, preferuje dogmaty zamiast faktów, traktuje jednostkę instrumentalnie, ignoruje konkretnego człowieka, jego dobro, na rzecz abstrakcyjnej ludzkości. Walczy o przywileje mniejszości ze względu na rasę, płeć, uprawia kult inności; traktuje demokrację w sposób instrumentalny, demokracja jest tylko wówczas, gdy rządzi lewica, gdy tylko zwycięży w sposób demokratyczny pragnie zachować władzę na trwałe; usiłuje pozbawić prawicę możliwości działania.

Nie zostawił żadnego zwartego systemu filozoficznego. Szukał drogi do poznania prawdy w różnych filozofiach. Jeden z jego uczniów, prof. Mikołaj Lobkowicz, wspominał: „Zwykł był mówić, że największe, co możemy zrobić, to usunąć cały śmietnik wyprodukowany przez minione wieki, aby odkryć kilka ukrytych klejnotów. W rzeczywistości to, co Bocheński nam dał, było cenniejsze niż zamknięty system: śmiałość odnajdywania własnej drogi w bałamutnych szeregach opinii z przekonaniem, że w końcowych analizach prawda okaże się z jednoznaczną prostotą".

Ojciec Bocheński został wybrany na prezesa światowego związku logików i metodologów nauki – to był najlepszy dowód uznania świata naukowego dla polskiego uczonego.

„Po owocach ich poznacie"

Kiedy w latach 70. ubiegłego wieku ukazały się książki Józefa Mackiewicza „W cieniu krzyża" oraz „Watykan w cieniu czerwonej gwiazdy", przedstawiające w krytycznym świetle Kościół katolicki w kontekście soborowych zmian i polityki wobec ideologii marksistowskiej, komunizmu, posypały się na autora gromy. Za szczególnie niebezpieczną Mackiewicz uważał tzw. teologię wyzwolenia, ruch teologiczny rozpowszechniony głównie w Ameryce Łacińskiej, której symbolem był „Chrystus z karabinem na ramieniu", Chrystus rewolucjonista. Kościół soborowy zamiast zło komunizmu nazwać złem, szukał *modus vivendi* z komunizmem, przez co ucierpiał jego autorytet moralny.

Ojciec Bocheński dostrzegł w postawie Józefa Mackiewicza przemyślaną troskę o Kościół katolicki. Niewiele osób miało odwagę wziąć w obronę Mackiewicza, z polskich duchownych najprawdopodobniej jedynie o. Bocheński i ks. prof. Michał Poradowski, mieszkający wówczas w Chile.

Ojciec Bocheński pisał w liście do Józefa Mackiewicza 17 maja 1975 roku: „Wielce Szanowny Panie. Przed paru dniami otrzymałem i już niemal w całości przeczytałem »Watykan w cieniu czerwonej gwiazdy«. Spieszę podziękować za pamięć, dedykację, i gratulować. Być może zainteresują Pana moje pierwsze wrażenia z lektury, pozwalam sobie więc je krótko zreferować.

Otóż, aby zacząć od negatywnych, wydaje mi się, że ocena osobowości i postawy Pawła VI jest błędna. Jakakolwiek by była jego polityka kościelna, myślę, że niepodobna podejrzewać go o sympatie dla »postępowców«, w sensie tendencji do zeświecczenia Kościoła. Przeciwnie: mamy bardzo niewielu czołowych duchownych, którzy równie jasno i stanowczo jak on przeciwstawiają się tym tendencjom. Jeślibym miał jaki zarzut pod adresem jego postawy sformułować, powiedziałbym, że jest ona przesadnie nadprzyrodzona, za mało polityczna, za bardzo ufna w moc dobroci itd. Nawiasem mówiąc, znam go osobiście i moja analiza jego charakteru byłaby bardzo różna od sugerowanej w Pańskiej książce.

Z tymi i paroma drobniejszymi zastrzeżeniami uważam opracowanie i wydanie tej książki za ważne i pomyślne wydarzenie. Jest Pan jednym z niewielu, nawet wśród Polaków, którzy nie poddają się »sprzysiężeniu milczenia« w tych sprawach. Co więcej, zabiera Pan głos w dziedzinie szczególnie zaniedbanej i trudnej, a mianowicie kościelnej. Rzecz Pańska oparta jest na wielkiej, na ogół solidnej dokumentacji – jest oczywiście wynikiem długiej pracy badawczej i zawiera masę nieraz trudno dostępnych informacji. Książka jest doskonale napisana. Daje, w bardzo przyjemnej formie, jedyną znaną mi panoramę zjawisk w tej dziedzinie.

Przypisuję jej dwojakie znaczenie. Najpierw i przede wszystkim ta książka jest jednym z bardzo rzadkich dobrze sformułowanych protestów przeciw zdradzie systematycznie popełnianej przez naszych własnych ludzi w wolnym świecie – zdradzie na nieszczęśliwych braciach. Każdy kto czuje się solidarny z prześladowanymi, a w szczególności każdy Polak powinien być Panu za to wdzięczny. Następnie książka posiada moim zdaniem znaczną wartość informacyjno-dokumentarną. Może pomóc jednym w otwarciu oczu na rzeczywistość – innym posłuży jako znakomity »podręcznik« do dyskusji. Chciałbym Panu także całkiem osobiście za to podziękować.

Jak Pan więc widzi, moje gratulacje nie są zdawkowe. Chodzi, jestem przekonany, o bardzo ważną publikację – czego dowodem jest, że pozwoliłem sobie powyżej napisać do niej krótki komentarz prywatny, czego prawie nigdy nie czynię. Łączę wyrazy wysokiego szacunku, J. M. Bocheński, O. P.".

eprasa.pl 828fb90d81

To, co łączyło tych dwóch wybitnych Polaków, Józefa Mackiewicza i Józefa Marię Bocheńskiego, mimo wielu różnic, to na pewno bezkompromisowa walka o prawdę. Obaj doskonale rozumieli, jak potężną, niszczycielską siłą jest komunizm.

Ojciec Bocheński nie miał złudzeń, że cywilizacja chrześcijańska jest śmiertelnie zagrożona. Obserwował przecież z bliska postępującą ateizację w Europie Zachodniej. Uważał, że powinnością każdego katolika jest walka z barbarzyńcami, przeciwnikami naszej cywilizacji. W walce tej musimy być twardzi i bezwzględni: „Tak, jak konieczne jest głębsze zrozumienie i ukochanie cywilizacji chrześcijańskiej, o którą bój się toczy, tak niezbędne jest również przejęcie się żelaznymi prawami walki, chęcią narzucenia własnej woli przeciwnikowi, dynamicznym dążeniem do zniszczenia jego żywej siły, gotowością do najwyższego wysiłku – ale także i nie na ostatnim miejscu, zasadą bezwzględności. W granicach naszej autentycznej etyki – nie pseudo-etycznego humanizmu i czułostkowości – musimy być w walce bezwzględni: nie oszczędzać przeciwnika, nie krępować się formami towarzyskimi, nie dać się obałamucić propagandą współpracy i kompromisu, ale bić go czynnie, twardo i mocno. Walka się już rozpoczęła. Ci, którzy są w linii, niech zasady walki stosują. Ci, którzy jeszcze w niej stanąć nie mogą, niech gotują charaktery, aby były twarde jak stal. W ten sposób wielokrotnie odparliśmy nadciągające burze. To jest jeden z najważniejszych warunków powodzenia wielkiej sprawy, której bronimy i którą obronić musimy" („Polski Testament. Ojczyzna, Europa, Cywilizacja", Wydawnictwo Antyk, 1999).

W krótkim czasie, na przełomie lat 80. i 90., komuniści po upadku Związku Sowieckiego, zarówno ci na Wschodzie, jak i na Zachodzie, przedzierzgnęli się w liberalną lewicę broniącą ekologów, feministek, homoseksualistów, przestępców, walczącą z ksenofobią i nietolerancją. Neokomuniści zapomnieli o klasie robotniczej, stali się wyznawcami relatywizmu moralnego i nihilizmu.

„Z komunistycznego paskudztwa trzeba Polskę oczyścić"

Ojciec Bocheński po raz pierwszy od 1939 roku przyjechał do ojczyzny w 1987 roku. Otrzymał wówczas doktorat honoris causa UJ i ATK w Warszawie. Spotkał się z polską młodzieżą, odbył kilka wykładów.

W wywiadzie udzielonym paryskiej „Kulturze" tak mówił o swoich pierwszych wrażeniach z pobytu w Polsce: „Cenzura z obu stron. Jak byłem w Polsce, chciałem mówić o Marksie w instytucji kościelnej. Nie pozwolili. W końcu powiedziałem, ale to ja, »cudzoziemiec« z niewyparzoną gębą mogę sobie na to pozwolić; kto inny by nie mógł. Ja tego nie poznaję. Jestem przerażony zmoskwiczeniem Polaków. Może wy tego nie zauważacie, ale takiego starego człowieka jak ja, który zna Polskę sprzed pół wieku, to aż bije w oczy; parszywe, moskiewskie stosunki międzyludzkie. »Błat«, jak to oni nazywają, sposoby na wykańczanie ludzi. Także w środowisku katolickim. To przykre skutki okupacji przez Moskali i monopolu, który mieli na głoszenie swojej ideologii. »Priwislinskij kraj!«".

Uważał, że „kompleks niższości Polaków w stosunku do Niemców czy Francuzów jest zupełnie zrozumiały – klęski, które wycierpieliśmy, tak nas bili po głowie, że Polacy zrobili się mali. Zrobiliśmy się niepewni. Trzeba ludzi bardzo namawiać, żeby patrzyli na to, co jest dobre i pozytywne w naszej tradycji" – przekonywał o. Bocheński w wywiadzie dla Polskiego Radia w 1992 roku.

Z przerażeniem stwierdzał, jak ogromne szkody poniosła polska moralność pod okupacją sowiecką. Przy okazji cytował fragment „Psalmu miłości" Zygmunta Krasińskiego: „Niczym Sybir – niczym knuty. […] Lecz narodu duch otruty – To dopiero bólów ból!".

Za potworny błąd uważał tzw. kompromis między solidarnościową lewicą (w istocie agenturą SB) a komunistami, w wyniku którego doszło do powstania PRL bis w roku 1989. Naiwne jest myślenie, że można zawrzeć kompromis polegający na tym, iż wilk będzie syty i owca cała – tak się nie da. W wielu sytuacjach niezbędne jest rozwiązanie bezkompromisowe.

„Z komunistycznego paskudztwa trzeba Polskę oczyścić" – apelował. Za główne zadanie stojące przed politykami uważał wychowanie dla narodu nowej młodzieży. Domagał się nie tylko konsekwentnej dekomunizacji, lecz także eliminacji z życia politycznego „lizusów, ludzi bez charakteru, bez kręgosłupa".

***

Ojciec Stefan Norkowski OP, który towarzyszył przez dwa lata przed śmiercią o. Bocheńskiemu we fryburskim klasztorze jako współbrat i lekarz, powiedział m.in. o o. Józefie Marii Bocheńskim: „Był on człowiekiem gorącego serca, który kochał zarówno swego naturalnego ojca, swoją ojczyznę – niektórzy współbracia zachodni zarzucali mu z tego powodu wręcz ubóstwienie ojczyzny – jak również kochał Boga Ojca". „On strasznie przeżywał wydarzenia XX wieku i czuł się wręcz osobiście dotknięty ciężarem zbrodni dwóch wojen światowych, zbrodni komunizmu i nazizmu. O tym mówił bardzo dużo, o naszych czasach jako Schlachtbankgeschichte, czyli stole rzeźniczym historii. Mówił o sobie jak o człowieku, który przeżył koniec cywilizacji. Powtarzał, że cała historia XX wieku dowiodła, że ludzie niczego się nie nauczyli. Wszystko to przeżywał bardzo osobiście. Kryzys Europy przeżywał jak kryzys swojej najbliższej rodziny. W tym sensie był naprawdę Europejczykiem" („Fronda" nr 34). ■

eprasa.pl 828fb90d81

Piotr Lisiewicz

Czy Donald Trump i jego współpracownicy znają prace Jerzego Niezbrzyckiego? Pytam nie bez powodu, bo przedwojenny oficer polskiego wywiadu wojskowego, kierownik Referatu „Wschód" Oddziału II Sztabu Głównego Wojska Polskiego, po wojnie w Stanach Zjednoczonych pracował w czołowym amerykańskim ośrodku badań sowietologicznych – Instytucie Hoovera na Uniwersytecie Stanforda. Został też ekspertem od spraw sowieckich Centralnej Agencji Wywiadowczej (CIA). Znajomość jego prac, w tym wydanej w 1943 roku „Geopolityki: strategii i granic", z której pochodzą przedrukowane poniżej fragmenty, pozwoliłaby pozbyć się im wielu złudzeń co do polityki rosyjskiej i zrozumieć, jakie znaczenie ma, także z punktu widzenia Ameryki, budowa silnych niepodległych państw pomiędzy Rosją a Niemcami. Warto przy okazji odnotować wydanie przez krakowski Ośrodek Myśli Politycznej w ramach serii Polskie Studia nad Totalitaryzmem czterech książek polskich autorów o tej tematyce: przedrukowywanego dziś Niezbrzyckiego, Mariana Zdziechowskiego, Zdzisława Stahla i Kazimierza Zakrzewskiego. Warto je czytać, bo te książki to broń przeciwko naszym wrogom.

Jerzy Niezbrzycki

Pomost bałtycko-czarnomorski. Szansa dla Europy i świata

Gdyby Europa ta i świat ten okazały więcej zrozumienia dla istoty zagadnień rosyjskiego i niemieckiego i więcej przewidywania dla interesów ogólnoludzkich, gdyby zapewniły organizmom politycznym tego pomostu więcej opieki, a zrzekły się ekspansji gospodarczej, gdyby nie dopuściły do polityki intryg i waśni międzynarodowych, wykazały więcej zrozumienia dla koncepcji i planów Piłsudskiego w montowaniu zdrowej federacji bałtycko-polsko-czesko-rumuńsko-węgierskiej, współpracującej z Francją i Wielką Brytanią – losy Europy potoczyłyby się innymi drogami.

Problemy obronności granic każdego państwa są w gruncie rzeczy niezmienne i wynikają przede wszystkim z geopolitycznego położenia. Koniunktura międzynarodowa i układ stosunków wewnętrznych może wpłynąć jedynie na drobne szczegóły i przesunięcia, może uwarunkować nieznaczne odchylenia, ale i sens i treść zasadnicza zagadnienia obronności pozostaje niezmienna […]

Trzy europejskie „pomosty"

Trzy „pomosty" europejskie: francusko-hiszpański, adriatycko-niemiecki i bałtycko-czarnomorski (który mógłby być nazwany odpowiednio do tamtej nomenklatury pasem polsko-litewsko-ukraińskim) powstały w zwężeniach kontynentu Europy zachodniej i środkowej i określiły swoim położeniem najistotniejsze szlaki rozwoju kultury i układu stosunków międzynarodowych Europy. Pomost francusko-hiszpański przerzucił kulturę rzymską do Francji i Hiszpanii. Stał się podstawą rozwoju katolicyzmu na świecie, stał się bazą wielkiej kultury Odrodzenia, a pod względem politycznym stworzył kolosy państwa Karola Wielkiego i Napoleona, dał rewolucję francuską i był terenem najbardziej zaciętej reakcji i najbardziej wzniosłej myśli demokratycznej w Europie.

Pomost adriatycko-niemiecki stał się podstawą Cesarstwa Niemieckiego. Na terenie tego pomostu powstała reakcja przeciwko Kościołowi katolickiemu. Rozwijały się tutaj i przechodziły przeróżne ewolucje idee państwa germańskiego, zakończone brutalną ideą imperializmu pruskiego. Ten to pomost stworzył podstawę do koncepcji kontynentalnego „lebensraumu" niemieckiego i na tym pomoście do dnia dzisiejszego rozgrywa się wieczysty spór pomiędzy naj-

eprasa.pl 828fb90d81

wznioślejszą kulturą romańską, a totalistycznie pojmowanym barbarzyństwem germańskim.

Lecz największą bodaj wymowę w historii Europy posiada pomost bałtycko-czarnomorski, ciągnący się na przestrzeni 1 200 km pomiędzy ujściem Odry, Wisły i Niemna do Bałtyku – a Dunaju, Dniestru i Dniepru do Morza Czarnego. Pomost ten stanowi szeroki pas przejściowy pomiędzy Europą zachodnią a Europą wschodnią, integralnie związaną materialnie, duchowo i ideowo z olbrzymim kontynentem azjatyckim, jego zaborczością, niszczycielstwem i ciemięstwem ludów […]

Pomost bałtycko-czarnomorski stał się od początków dziejów europejskiej terenem wszechstronnej aktywności różnorodnych czynników dyspozycyjnych, moralnych i materialnych. Interesowała się nim ekspansja imperium rzymskiego, a później kościoła katolickiego […]. Pomost ten stał się terenem jednaj z najbardziej doskonałych, a najwcześniejszych w Europie, federacji politycznych – federacji tym znakomitszej, że dokonanej mimo różnic narodowych i religijnych, bez użycia siły i barbarzyńskiego lub azjatyckiego terroru. Pomost ten stał się bastionem, o który rozbijał się najprzód […] imperializm germański […]

Przejściowość położenia tego pomostu sprawiła, że zarówno siły polityczne Europy zachodniej, dążące ku wschodowi, jak też niezmienne od kilku wieków ugruntowane siły polityczne Europy wschodniej zmierzały do zniszczenia wszelkich organizmów polityczno-państwowych, ośrodków kulturalno-duchowych, jak również gospodarczych na terenie tego pomostu. Przede wszystkim usiłowały nie dopuścić do stworzenia jednolitego organizmu polityczno-państwowego, obejmującego całość geograficzną pomostu bałtycko-czarnomorskiego […]

Cały pomost bałtycko-czarnomorski zdradza, bez względu na stopień zagrożenia przez zachód, czy wschód, niezmienną dążność do orientacji na zachód i na jego najwyższy wykładnik moralny i kulturalny czasów średniowiecznych – Rzym. Zarówno Polska, i Ruś Kijowska, jak i Litwa, przyjmują wiarę chrześcijańską z zachodu. Misjonarstwo świętych Cyryla i Metodego, związały Ruś Kijowską z zachodem, a nie jak Moskwę – z Bizancjum […] Upadek Bizancjum przekazał Moskwie ideę „Trzeciego Rzymu", dla której to idei Moskwa, równie jak i dla całego szeregu innych względów politycznych, rozpoczęła gwałtowne wyrywanie pomostu bałtycko-czarnomorskiego spod wpływów europejskich […]

Dynamika rosyjskiego imperializmu

Jednym z najbardziej kardynalnych błędów, popełnionych przez Europę, a przede wszystkim przez Polaków, jeśli chodzi o ocenę imperializmu rosyjskiego, jest to, że wydaje się jakoby imperializm ten mógł być w jakimś kierunku skierowany […]. Rosja jest państwem „kolonizacji wewnętrznej" o wielkiej i niespotykanej w dziejach świata, stale postępującej i zwiększającej się ekspansji i w rozszerzaniu swych terytoriów. Dynamika ta jest excentryczna i wszechstronna. Począwszy od momentu zakończenia scalania ziem carstwa moskiewskiego (XVI wiek) Rosja rozszerza się z równą siłą na zachód, jak i na wschód, na północ, jak i na południe. Szczegółowe studium tego ruchu stale postępującego wykazuje w szczególności równoczesność poszerzania się na wschodzie i […] zachodzie.

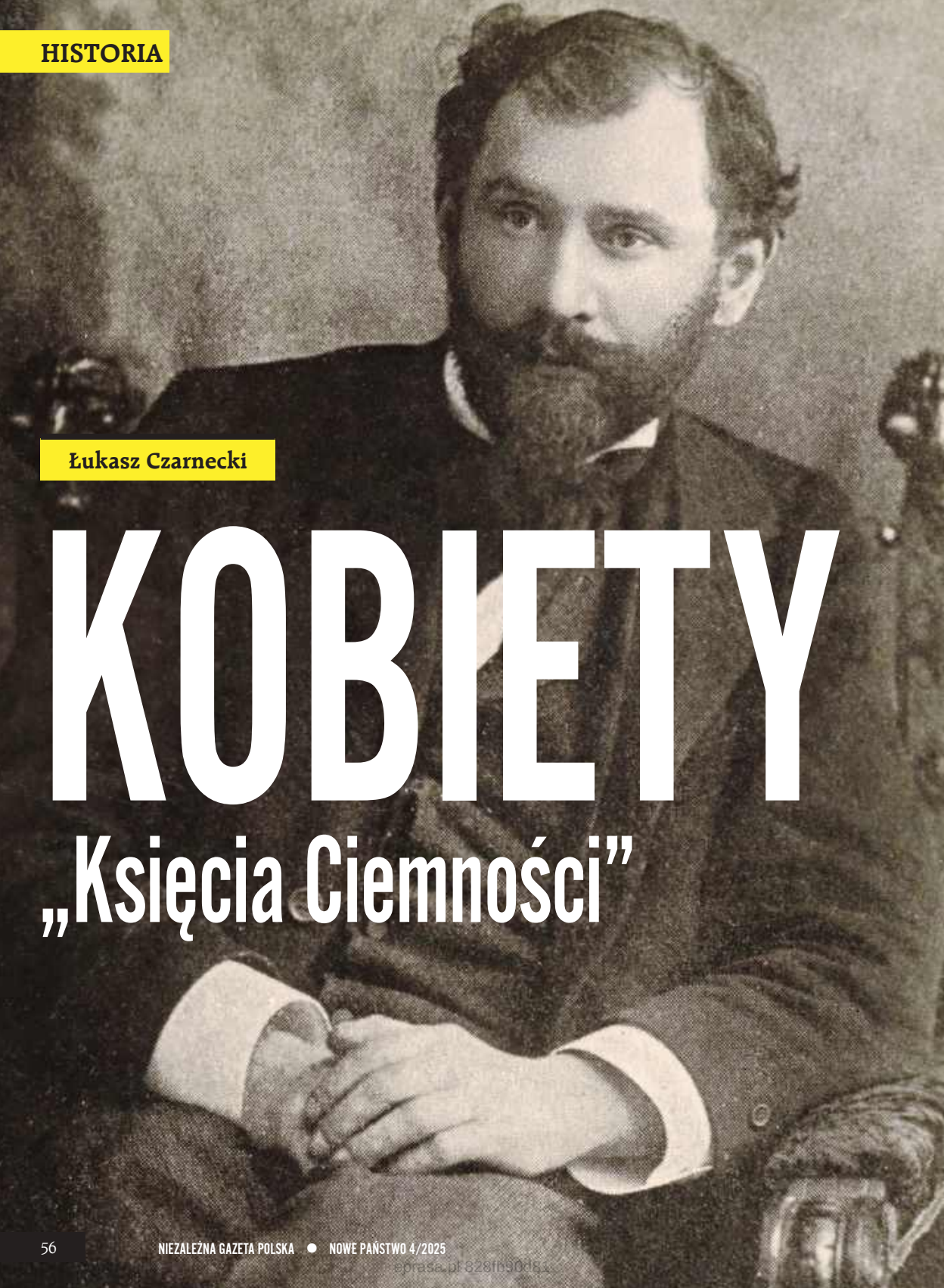
Dynamikę rosyjskiego imperializmu gospodarczego […] zwiększa fakt, że imperializm ten jest typu przedgospodarczego i wynika z historycznych, geograficznych i duchowych antymonii Rosji w stosunku do Europy i opiera się o duchowy i materialny masyw azjatycki. Imperializm ten wynika przede wszystkim z historycznych osobliwości narodu rosyjskiego, który powstał na zasadzie centralizacji i scalania różnoplemiennych narodowości, w warunkach naturalnie nieograniczonej równiny kontynentalnej. Daje to zawsze w konsekwencji wielkie tendencje promieniowania i poszerzania terenu wyjściowego, jako bazy ekspansji. Historia świata zna trzy główne przykłady podobnego imperializmu, na wskroś kontynentalnego: mongolski, moskiewski i germański. Imperializm taki zdradza niezmienne tendencje centralizacji i totalizmu administracyjnego, gospodarczego i społecznego, a w dziedzinie duchowej objawia się w postaci nietolerancji, braku humanitaryzmu i despotyzmu […]

W wyniku Traktatu Ryskiego powstała na terenie pomostu bałtycko-czarnomorskiego swego rodzaju zapora geopolityczna, która wprawdzie nie była w stanie zahamować rozwoju współpracy między Rosją a Niemcami, określonej później gospodarczymi klauzulami traktatu w Rapallo, ale która stworzyła jednakowoż bardzo poważną przeszkodę dla ekspansji obu tych imperializmów przeciwko sobie i zapewniła Europie i światu dwadzieścia lat względnego pokoju. Oceniając retrospektywnie sytuację można obecnie stwierdzić, że gdyby Europa ta i świat ten okazały więcej zrozumienia dla istoty zagadnień rosyjskiego i niemieckiego i więcej przewidywania dla interesów ogólnoludzkich, gdyby zapewniły organizmom politycznym tego pomostu więcej opieki, a zrzekły się ekspansji gospodarczej, gdyby nie dopuściły do polityki intryg i waśni międzynarodowych, wykazały więcej zrozumienia dla koncepcji i planów Piłsudskiego w montowaniu zdrowej federacji bałtycko-polsko-czesko-rumuńsko-węgierskiej, współpracującej z Francją i Wielką Brytanią – losy Europy potoczyłyby się innymi drogami. Niestety Wielka Brytania uważała, że granice jej „kończą się na Renie", a Francja w ogóle pozostała zdezorientowana w wyborze nowych szlaków swej polityki międzynarodowej. Pomost bałtycko-czarnomorski pozostał „oko w oko" „pomiędzy Rosją a Niemcami". ■

Przedruk za: Jerzy Niezbrzycki, „Geopolityka: strategia i granice", Wydawnictwo: Armia Polska na Wschodzie. Oddział Propagandy i Kultury, 1943.

Tytuł i śródtytuły pochodzą od redakcji „Nowego Państwa".

eprasa.pl 828fb90d81



Łukasz Czarnecki

KOBIETY „Księcia Ciemności”

eprasa.pl 828fh90d8...

Na przełomie XIX i XX wieku Stanisław Przybyszewski (1868–1927) był jednym z największych, jakbyśmy to dziś określili, polskich celebrytów. Wokół pisarza gromadzili się wyznawcy jego kultu, chciwie spijający każde słowo padające z ust mistrza. Z niezwykłą mocą literat oddziaływał na kobiety, które jedna za drugą traciły dla niego głowę. Na swoje nieszczęście, bo jak po latach pisała o nim córka jednej z jego ofiar, Przybyszewski „kobiety wciągnięte w swoją orbitę niszczył zdecydowanie zawsze w ten czy inny sposób".



FOT. WIKIMEDIA

W apogeum sławy zwolennicy Stanisława Przybyszewskiego oddawali mu iście bałwochwalcze hołdy, nazywając go „genialnym Polakiem", „Szatanem", „Księciem Ciemności", „Meteorem Modernizmu" i „nowym mesjaszem literatury". Co bardziej trzeźwi obserwatorzy twierdzili jednak, że noszony na rękach demoniczny guru to „człowiek ścierka", „pijana i zaśliniona pluskwa", a pewien szczególnie zajadły krytyk na wieść o tym, że „Książę Ciemności" zajedzie do Warszawy, złapawszy za pióro, napisał: „Jest to skończony nikczemnik [...]. Jest to podlec, cynik i kryminalista, jakiego nie tak łatwo spotyka się w Europie". O tym, że w ocenie postaci „Szatana" mieli rację ci drudzy, najlepiej świadczą losy kobiet, z którymi się wiązał – aż dwie z czterech swoich partnerek Przybyszewski dosłownie wpędził do grobu. Na koniec jednak niszczący życie kolejnych pań Stanisław wpadł we własne sidła i znalazłszy się pod butem swojej drugiej żony, utknął w specyficznym związku.

Z Martą w Berlinie

Stanisław Przybyszewski przyszedł na świat w rodzinie wiejskiego nauczyciela spod Inowrocławia. Już w wieku nastoletnim zdradzał przejawy wielkiego talentu, w Wągrowcu, gdzie chodził do gimnazjum, głośno było o jego niezwykłych umiejętnościach muzycznych, a dawane przezeń recitale gry na pianinie, w trakcie których interpretował Chopina, przyniosły mu lokalną sławę. W tym czasie przyszły „mesjasz literatury" dorabiał sobie korepetycjami. Jedną z jego uczennic była córka kupca bławatnego Marta Foerder, która w przystojnego korepetytora wpatrywała się jak w obrazek. Stanisław nie odwzajemniał jej afektu, bo maślane oczy, które doń robiła, miały zeza, mimo młodego wieku zęby dziewczęcia były popsute, a w całości Marta jawiła się Przybyszewskiemu jako kobieta „chuda, bezkrwista i upośledzona". Jak wiadomo, braki w urodzie nadrobić można intelektem, który jest jedną z najważniejszych części składowych seksapilu, ale również pod tym względem panna Foerder wypadała blado.

W roku 1889, otrzymawszy stypendium, Przybyszewski wyjechał do Berlina, by tam studiować architekturę. Długo jednak na tym wydziale miejsca nie zagrzał, naczytawszy się Nietzschego, zapadł na fascynację chorobami, co skłoniło go do rozpoczęcia studiów medycznych. W listach do przyjaciół roił sobie karierę lekarza w szpitalu dla obłąkanych. Zmiana kierunku studiów spowodowała utratę stypendium, przez co utrzymywał się z pieniędzy przesyłanych przez ojca i pożyczanych od pracującego w Berlinie jako elektryk przyrodniego brata – Antoniego. Sytuacja finansowa

eprasa.pl 8fb90d81

Stanisława była tak zła, że w pewnym momencie wprowadził się Antoniemu do jego trzypokojowego mieszkania, nie zważając, że jego brat miał pod swoim dachem żonę i dwójkę dorosłych dzieci.

Tymczasem w Wągrowcu źle się działo. Kupiec bławatny Foerder zmarł, a pozbawiona środków do życia wdowa, spakowawszy wraz z czterema córkami bagaże, wyjechała do Berlina, by tam szukać nowego źródła utrzymania. Na pomysł zyskania takowego wpadła Marta, która ledwie w 1891 roku przyjechała do stolicy Niemiec, natychmiast skierowała swe kroki do mieszkania braci Przybyszewskich. Drapieżnie umalowana i wyzywająco ubrana stanęła na progu i zaproponowała Stachowi wspólną noc. „Książę Ciemności" dowiódł wówczas, że rzeczywiście był człowiekiem-ścierką, bo bez oporów wziął pannę do łóżka. Mina zrzedła mu rano, gdy po nocy pełnej seksu opierająca głowę na piersi kochanka Marta, zezując nań oświadczyła, iż zostanie ze Stachem już na zawsze!

Przybyszewskiemu brakło odwagi cywilnej, by wyprosić wykorzystaną pannę ze swego życia. Później opowiadał, że uczynił ją swoją kochanką z dobroci serca, a nawet zrzucał odpowiedzialność na dziewczynę, oskarżając ją, iż go uwiodła, korzystając z rad matki-rajfurki. „Meteor Modernizmu" snuł przed znajomymi czarne wizje swego pożycia z Martą, odsądzając biedaczkę od czci i wiary. Co nie przeszkadzało mu się z nią parzyć, do roku 1895 miał już trójkę nieślubnych dzieci: syna Bolesława i córki Mieczysławę oraz Janinę. Wraz z całą tą gromadką Stanisław gnieździł się w trzypokojowym mieszkaniu brata, a biedny Antoni nawet słowa skargi nie powiedział i nie doniósł na urwipołcia rodzicom żyjącym w błogim przekonaniu, iż ich młodszy syn pilnie oddaje się nauce.

Tymczasem przyszłość w fachu psychiatry rozwiała się jak sen złoty. Przybyszewski zaangażował się w ruch socjalistyczny. W roku 1892 został redaktorem naczelnym „Gazety Robotniczej". Łatwo się domyślić, iż władze uniwersyteckie patrzyły krzywym okiem na taką działalność, co doprowadziło do relegowania Stanisława z uczelni. Na tym skończyła się przygoda młodego Polaka z akademickim wykształceniem, w każdym razie ta legalna, bo przez pewien czas „Szatan" zarabiał na życie, pisząc za pieniądze prace dyplomowe dla leniwych studentów medycyny. Pieniędzy zaś potrzebował nie z racji szybko powiększającej się rodziny, lecz by mieć środki na alkohol, pił bowiem jak smok, spędzając całe dnie i noce na dzikich popijawach, po których cuchnący wódką i trzęsący się na nogach wracał do swojej meliny, by lec z nieszczęsną kochanką w barłogu i spłodzić kolejne nowe życie, którego dalsze losy obchodziły go mniej niż ubiegłoroczny śnieg.

Stach i „Ducha"

Tym, że wyrzucono go ze studiów, Przybyszewski za bardzo się nie przejął, w tym czasie bowiem berlińska artystyczna bohema dosłownie nosiła go już na rękach. Opublikowane przez niego prace „O psychologii jednostek" oraz „Chopin i Nietzsche" przyniosły mu sławę nie tylko w stolicy Niemiec, o „genialnym Polaku" rozprawiano w całej Europie, oczekując, że dokona on wielkich rzeczy w dziedzinie literatury. Jak pokazała historia, były to oczekiwania mocno na wyrost.

Ulubionym berlińskim adresem Przybyszewskiego była piwiarnia „Pod Czarnym Prosiakiem". Gromadziła się tu brać artystyczna, by pić na umór i testować kolejne gatunki likieru, których wedle słów właściciela szynk miał na składzie aż dziewięćset. To tu właśnie gwiazda Stanisława błyszczała najjaśniej, gdy perorował o sztuce dla sztuki i wiódł prym w dyskusji wśród młodych intelektualistów wpatrzonych w niego jak w obrazek. I właśnie „Pod Czarnym Prosiakiem" „Szatan" spotkał „Czarodziejkę".

Kolejną po nieszczęsnej Marcie ofiarą zwyrodniałego literata padła piękna Norweżka Dagny Juel. Do Berlina przyjechała na studia muzyczne, aczkolwiek szybko okazało się, że miast ćwiczyć godzinami grę na fortepianie, woli balangować w towarzystwie artystycznej cyganerii. Początkowo była kochanką Edwarda Muncha – norweskiego malarza i przyjaciela z dzieciństwa, jednak rzuciła go dla dramaturga Augusta Strindberga, z którym zamieszkała, nie bacząc na to, że jej nowy oblubieniec miał narzeczoną i wyznaczoną datę ślubu! Relacja ta zresztą również nie przetrwała długo, a kiedy Dagny rzuciła Szweda, ten zaczął rozsyłać po wszystkich znajomych listy, w których wyzywał swą niedawną muzę od dziwek. Mogliby z Munchem założyć klub złamanych serc, bo malarz odreagowywał zdradę kobiety, malując przedstawiające ją w różnych pozach… pornograficzne obrazy.

Nie wiadomo, jak dokładnie doszło do pierwszego spotkania Przybyszewskiego z Dagny lub „Duchy", jak miał ją pieszczotliwie zwać przyszły mąż. Pewne jest jedno, wkrótce stali się nierozłączni, co omal nie doprowadziło Strindberga do apopleksji – Szwed zerwał wszelkie stosunki z „genialnym Polakiem", a w korespondencji grzmiał o płynącej w żyłach dawnego przyjaciela „zoologicznej spermie". „Książę Ciemności" i wysoka, smukła rudowłosa Norweżka mieli jednak w nosie żale porzuconego dramaturga. Obydwoje wierzyli w „sztukę dla sztuki", a Dagny oprócz oszałamiającej urody cechował błyskotliwy intelekt i zdolności literackie. Przybyszewski zakochał się w „Czarodziejce" bez opamiętania, co bynajmniej nie przeszkadzało mu w dalszym pożyciu z dotychczasową konkubiną, ba, najmłodszą córkę spłodził z Martą, już będąc mężem

eprasa.pl 828fb90d81

„Duchy", z którą wziął ślub w 1893 roku! Pani Przybyszewska składając podpis w urzędzie stanu cywilnego, nie miała pojęcia o tym, że mężczyzna, któremu ślubuje wierność, ma całą gromadkę nieślubnych dzieci, ale nie dało się tego faktu ukrywać w nieskończoność i w końcu sprawa wyszła na jaw. Dagny udała się na spotkanie z panną Foerder i zaproponowała jej wsparcie finansowe, ale upokorzona i wykorzystana dziewczyna odmówiła skorzystania z hojności rywalki. Tymczasem Stanisław, nie bacząc na to, że ma żonę, wciąż chętnie korzystał w łóżku z usług dotychczasowej konkubiny, co przyniosło efekt w postaci kolejnej ciąży. Tego było już dla nieszczęsnej Marty za wiele, 9 czerwca 1896 roku ofiara nikczemnej chuci „Księcia Ciemności" popełniła samobójstwo.

Przybyszewski w chwili, gdy nieszczęśliwa młoda kobieta zażywała truciznę, bawił w Kopenhadze. Ledwie jednak wrócił do stolicy Niemiec, prosto z dworca zgarnęła go policja kryminalna, podejrzewając, że maczał palce w śmierci kochanki. „Meteor Modernizmu" spędził dwa tygodnie w areszcie, ale Dagny dzięki pieniądzom otrzymanym od swojego ojca, zamożnego lekarza, najęła prawników i Stach wyszedł na wolność oczyszczony z zarzutów. Nie zmieniało to nijak faktu, że w środowisku berlińskiej Polonii wybuchł skandal, a wielu znajomych zerwało relacje z rodziną Przybyszewskich, która w międzyczasie zdążyła się powiększyć, bo na świat przyszła dwójka dzieci, kolejno syn Zenon (1895) i córka Iwa (1897). Jeśli chodzi o potomstwo spłodzone z biedną Martą, to Stanisław pozostawił je własnemu losowi.

Popijawy w grodzie Kraka

Dagny szczerze kochała swojego „Księcia Ciemności" i chyba tylko dzięki sile owej miłości dała radę udźwignąć krzyż, jakim było życie z nim. Małżeństwo bynajmniej nie odmieniło zwyczajów Przybyszewskiego, który nadal pił na umór i rzadko kiedy chwytał się uczciwej pracy. „Ducha" znosiła ekscesy męża, wierząc w jego geniusz i uzdrawiającą moc swej miłości. Szczęśliwie małżonkowie mogli liczyć na zapomogi od rodziców Dagny i jej sióstr, które bogato wyszły za mąż.

W roku 1898 przyszła szczęśliwa odmiana losu, Stach zyskał sponsora w postaci słynnego pianisty Ignacego Jana Paderewskiego. Co więcej, nadeszło doń zaproszenie od fanów jego twórczości z Krakowa. Zwolennicy modernizmu wzywali swego mistrza, by przybył do grodu pod Wawelem i szerzył w nim ewangelię „sztuki dla sztuki" oraz artystycznego satanizmu. Przybyszewski nie dał się dwa razy prosić i na początku września wysiadł na krakowskim dworcu z, jak to określił z przekąsem jeden ze świadków jego przyjazdu, „wagonu bardzo trzeciej klasy", by zostać powitanym przez tłum „wielbicieli i wielbicielaczków".

Krakowska bohema zgotowała „Księciu Ciemności" powitanie tak huczne, że aż jego samego to zdziwiło. Na sam początek bogaty biznesmen i mecenas artystów Zdzisław Gabryelski oświadczył przybyszowi z Berlina, że byłby szczęśliwy, będąc cielakiem, z którego skóry wyprawiono buty Przybyszewskiego. Potem wszyscy poszli na wielką balangę, po której ledwo stojącego na nogach „genialnego Polaka" wielbiciele odprowadzili do czteropokojowego mieszkania przy ulicy Karmelickiej, które na własny koszt dla niego wynajęli. Gdy Stach wytrzeźwiał, objął stanowisko redaktora modernistycznego magazynu „Życie". Stan trzeźwości był jednak krótkotrwały, bo pod Wawelem nasz bohater wlewał w siebie hektolitry wódki, oczywiście na cudzy koszt. Wokół niego uformowało się kółko wyznawców, którzy oczekiwali, iż mistrz wstrząśnie zapyziałym grodem Kraka i poprowadzi ich ku modernistycznej nirwanie. Tyle tylko, że artystyczna bomba szybko okazała się kapiszonem, gdy na krakowskich scenach wystawiono dramaty „genialnego Polaka", a one nie spełniły pokładanych w nich oczekiwań. Na razie jednak Przybyszewski niezbyt tym się martwił. W Krakowie było mu tak dobrze, że wezwał do siebie żonę z dziećmi. Rodzina była znów razem, jednak wkrótce za sprawą poczynań Stacha miała się na dobre rozpaść.

Miłość nieeuklidesowa

Nadeszło lato roku 1899 obfite w wydarzenia. Dagny wyjechała z dziećmi na wczasy do Zakopanego, a Przybyszewski 4 czerwca przybył do Lwowa, gdzie miał wygłosić odczyt o Chopinie. Odczyt, dodajmy, na który prelegent się spóźnił, bo do stolicy Galicji dotarł w stanie wskazującym i musiał wytrzeźwieć. Mimo kaca Stach zachwycił publiczność. Szczególnie zauroczona prelekcją była malarka Aniela Pająkówna, a zauroczenie to błyskawicznie przemieniło się w romans.

Tymczasem poeta Jan Kasprowicz, przyjaciel „Księcia Ciemności", zaprosił go do siebie, chcąc przedstawić swej żonie – Jadwidze. Pani Kasprowiczowa była fanką twórczości naszego bohatera, po przeczytaniu trylogii Przybyszewskiego „Homo sapiens" okrzyknęła jej autora „istotą astralną" i mężczyzną, któremu chce oddać serce. Że Kasprowiczowi po takich deklaracjach się czerwone lampki w głowie nie zaświeciły, to aż dziwne, zwłaszcza że Jadwiga przyprawiła mu już raz rogi. Zamiast więc trzymać „istotę astralną" z dala od swojej rodziny, zaprosił Stanisława do domu, gdzie… żona poety oddała „Szatanowi" nie tylko serce, lecz także całą resztę. Sam Przybyszewski oszalał z żądzy i osobiście oświadczył przyjacielowi, że ma romans z jego żoną. Zrozpaczony Kasprowicz zapytał matkę swoich

eprasa.pl 828fb90d81

dwóch córek, czy kocha Stanisława, na co otrzymał odpowiedź: „Nie wiem". Poeta spakował walizki, wziął dzieci i wyjechał do przyjaciela, a tymczasem ruja, poróbstwo, namiętność i miłość nieprawa między Przybyszewskim a Kasprowiczową kwitła pod lwowskim niebem. A kiedy „Meteor Modernizmu" akurat nie zaspokajał chuci z żoną dawnego przyjaciela, gościł w łożu Anieli Pająkówny.

W końcu Przybyszewski wrócił do Krakowa. Wkrótce pod Wawel zajechała też Dagny wiedząca już o miłosnych perypetiach męża i chcąca za wszelką cenę ratować małżeństwo. Tyle że Stach bynajmniej nie miał na to ochoty. I znów, jak w przypadku Marty, brakło mu odwagi cywilnej, by ostatecznie wszystko zakończyć, zamiast tego trzymał nieszczęsną „Czarodziejkę" w niepewności, aż w końcu zdesperowana kobieta zaczęła szukać wsparcia w osobach otaczających ją adoratorów, wciąż mając jednak nadzieję na pogodzenie ze Stanisławem. Ten jednak opowiadał wszystkim na lewo i prawo, że żona go zdradza, a gdy przeniósł się w 1901 roku do Warszawy, rozpoczął w czasopiśmie „Chimera" druk powieści „Synowie ziemi", w której opisywał szczegółowo swoje skandaliczne życie miłosne, robiąc z Dagny ladacznicę i pisząc, iż przemieniła jego dom w burdel.

W odniesieniu do miłosnych wielokątów, w jakie zaplątany był w roku 1901 Przybyszewski, możemy spokojnie mówić o geometrii nieeuklidesowej. Stach miał romans z będącą wciąż mężatką Jadwigą i Anielą (która zaszła z nim w ciążę), równocześnie mając żonę, która znajdowała się w relacji z poetą Stanisławem Korabem Brzozowskim, ten ostatni zaś, nie mogąc wygrać w sercu ukochanej kobiety rywalizacji z jej niegodziwym mężem, 23 kwietnia 1901 roku popełnił samobójstwo. Tymczasem Dagny wyjechała do Gruzji, gdzie Przybyszewskich zaprosił wierny akolita „Księcia Ciemności" – student Władysław Emeryk, chłopak wrażliwy, lecz niestety niezrównoważony psychicznie, obracający się w kręgach cyganerii żyjącej na jego koszt (był synem milionera) i na swoje nieszczęście biorący na poważnie deliryczne wynurzenia Przybyszewskiego. Od dawna kochał się w Dagny, która jednak studziła jego zapały. W wyjeździe na Kaukaz widziała szansę na uratowanie małżeństwa, ukochany Stach obiecał bowiem żonie, że wkrótce dołączy do niej wraz z ich córką (Zenona „Czarodziejka" wzięła ze sobą). Nie dołączył, bo oddawał się rozkoszom cielesnym z Jadwigą, zapewniając ją, że „ta pani do Polski nie przyjedzie". I nie przyjechała, 5 czerwca 1901 roku Władysław Emeryk, wyprowadziwszy synka Przybyszewskich z pokoju matki, zabił kobietę strzałem w tył głowy, po czym sam sobie wpakował kulę w potylicę. Druga partnerka „Księcia Ciemności" skończyła tragicznie prawdopodobnie za jego sprawą, gdyż powszechnie uważano, że do owego przerażającego aktu namówił Emeryka nie kto inny, jak demoniczny guru modernizmu.

Przyszła kryska na Matyska

Przybyszewski nie pojechał do Tbilisi na pogrzeb żony. Dwa tygodnie po śmierci Dagny Jadwiga Kasprowiczowa zamieszkała ze Stachem. Sprawa rozwodowa ciągnęła się jeszcze cztery lata, a gdy małżeństwo zostało ostatecznie rozwiązane, kochankowie wzięli ślub cywilny.

Ostatni związek Stacha okazał się najbardziej trwały, ale... Nowa pani Przybyszewska wzięła męża ostro za pysk. Skończyły się popijawy i balangi. Jadwiga pilnowała męża uważniej niż strażnik więzienny, kontrolując każdy jego ruch i urządzając mu dzikie awantury. Gdy pewnego razu wymknął się z domu i uciekł przed nią do Gostynia, by leczyć skołatane nerwy, posłała w ślad za nim detektywów, a ustaliwszy jego adres, przyjechała doń i zamieniła wywczasy w piekło na ziemi. Metody, jakie pani Przybyszewska stosowała, były drastyczne, nie dość, że darła się na męża non stop, to co jakiś czas groziła samobójstwem, a raz w czasie kłótni wyskoczyła przez okno! Na szczęście zahaczyła spódnicą o balkon i służącej udało się wciągnąć ją z powrotem do mieszkania. Z demonicznej aury modernistycznego satanizmu, którą promieniał za swych wielkich dni, Przybyszewskiemu nie zostało nic, a „Szatan" zamienił się w małego diabełka, którego twórczość mało kogo już obchodziła. Bolało to Jadwigę potwornie, bo w tym samym czasie jej były mąż święcił tryumfy. Do zdradzieckiej kobiety zbyt późno dotarło, że porzucając Kasprowicza dla Przybyszewskiego, wymieniła siekierkę na kijek. Sam Stach zaś zapewne niejednokrotnie wzdychał do pamięci Dagny, dopiero, znalazłszy się w szponach „jędzy podcinającej mu skrzydła", uświadomiwszy sobie wartość miłości i oddania pięknej Norweżki. Niestety, „Czarodziejki" nie było już wśród żywych, a zdetronizowanemu „Księciu Ciemności" pozostało już tylko ukrywać po kątach mieszkania buteleczki z wódką, do których sięgał, gdy myślał, że Jadwiga tego nie widzi.

Stanisław Przybyszewski zmarł 23 listopada 1927 roku. Choć nie miał jeszcze sześćdziesiątki, hektolitry alkoholu, które latami w siebie wlewał, zrobiły swoje i na ostatnich przedstawiających go fotografach wygląda jak sędziwy starzec mający dobrze ponad 80 lat. Jadwiga nie zamierzała dać spokoju mężowi nawet po śmierci, zaledwie w miesiąc po pogrzebie Stacha sama opuściła ten padół łez i udała się śladem Przybyszewskiego, by i na tamtym świecie zatruwać mu życie po życiu. Podobno jeśli stanie się o północy przy nagrobku „Księcia Ciemności", słychać, jak małżonkowie wściekle się kłócą…

eprasa.pl 828fb90d81

Małgorzata Matuszak

Czym jest... nieuniknione

Nieuniknione wiąże się ze stojącą przed nami koniecznością. Jest tym, co wpisane w ludzki los, i jednocześnie tym, co niewybrane, na co z założenia nie mamy wpływu. Nieuniknione przychodzi do nas zawsze z przyszłości, będąc czymś w rodzaju horyzontu, a więc czymś, poza co nie możemy wyjść. Wiąże nas z doświadczeniem konieczności poprzez to, co z góry, z założenia niejako dane, na przykład przez naszą naturę. Los człowieka, czyli to, co nas spotyka, z konieczności jest bowiem określony przez to, kim jesteśmy, przez naszą naturę.

Nieuniknione jest to, w odniesieniu do czego wiemy, że nie możemy tego wybrać, gdyż jest nam narzucone. Nieuniknione nie jest tym, co może, ale nie musi wydarzyć, a więc czego możemy nie przeżyć. Nieuniknione jest niewybrane, a jednak wiemy, że jest ono dane nam wraz z naszą naturą. Wiemy już od początku, że na nas czeka, że jest tylko kwestią czasu, kiedy będziemy musieli to przeżyć.

Nieuniknionym jednak jest przede wszystkim to, i najbardziej to, czego chcielibyśmy uniknąć. Tak jak nie możemy wyjść poza linię horyzontu, gdyż przesuwa się on wraz z nami, tak nie możemy wyjść poza naszą naturę – naturę istot ograniczonych w czasie i przestrzeni. Największym naszym ograniczeniem jest bowiem nasza fizyczność, dyktująca nam warunki, które musimy spełnić, aby żyć, nie możemy zatem uniknąć tego, że możemy żyć tylko w określonych, sprzyjających życiu okolicznościach.

Nie możemy również uniknąć tego, że dotyczy nas i dotyka upływ czasu, któremu podlega nasze ciało. I wreszcie, najbardziej dobitnym przejawem nieuniknionego jest nasza śmierć, określona z góry przez sam fakt życia, w życie nasze wpisana. Śmierć jest imperatywem życia. Nie myślimy o niej na co dzień, ale to właśnie śmierć jest tym, co nieuniknione par excellence. Nie wybieramy jej, wynika wszak z samej natury biologicznego życia to, że się kiedyś kończy, wiemy, że i nas czeka, choć równocześnie to jej właśnie chcielibyśmy uniknąć. Śmierć jako nieuniknione jest właśnie jak horyzont naszego życia – mimo że nasze życie i wiedza się rozwijają, że sięgamy w naszym myśleniu dalekich gwiazd, nie wykraczamy w naszej myśli poza tę linię horyzontu, którą wyznacza śmierć.

Jednak nie tylko śmierć jest nieuniknionym. Również ramy naszych wyborów moralnych są wyznaczone przez kategorie moralne – dobro i zło. Nie możemy wyjść poza dobro i zło i spojrzeć na życie z takiej perspektywy, z której dobra i zła nie ma. Takie wyjście zwykle oznacza tylko relatywizację dobra i zła, ale nie ich zniesienie i uchylenie, każdy nasz moralny wybór jest bowiem z góry przez dobro i zło określony. Nasze działania moralne mogą być albo dobre, albo złe, określają nas jako podmiot tego działania. Nie możemy również uniknąć odpowiedzialności za siebie i swoje życie, a także za tych, za których jesteśmy odpowiedzialni na mocy norm społecznych i etycznych, odpowiadając przed prawem, pisanym bądź niepisanym, jeśli zostanie ono przez nas przekroczone.

> TYLKO MIŁOSIERDZIE ŁAGODZI BEZLITOSNY WYMIAR NIEUNIKNIONEGO, GDYŻ MIŁOSIERDZIE ZWAŻA NA NAS I ODWRACA PORZĄDEK NATURY.

Nieuniknione może przerażać, gdyż nie ma od niego odwołania, jest ponad nami i nie zależy od naszego wyboru jego istnienie. Nie możemy z nim dyskutować, jest bezapelacyjne. Nieuniknione jest końcem naszej możliwości prowadzenia dialogu ze światem, nie bierze pod uwagę nas i naszych indywidualnych preferencji.

Jedynie przed Bogiem, który nas zna, możemy uniknąć nieuniknionego w oparciu o jego łaskę. Tylko obietnica zbawienia i zmartwychwstania daje nam nadzieję, że dusza ludzka jest faktycznie wolna i że nie musi mierzyć się z ograniczeniami czasu i przestrzeni. Jeśli zaś nie ma tych ograniczeń, nie musimy myśleć o śmierci jako nieuniknionej okoliczności naszego życia. Tylko miłosierdzie łagodzi bezlitosny wymiar nieuniknionego, gdyż miłosierdzie zważa na nas i odwraca porządek natury. Chrystus, zmartwychwstając, przezwyciężył śmierć. Jednak nie uczynił tego tylko dla siebie, ale dla nas wszystkich. Uniknął nieuniknionego, by nasza wiara nie była daremna. Byśmy spojrzeli na nasze życie jako dar od Boga. ■

eprasa.pl 828fb90d81



Piotr Gołdyn, „Życie codzienne nauczycieli w II Rzeczypospolitej", Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2024

Krzysztof Wołodźko



Nauczyciele w czasach II RP. Idee i proza życia

II Rzeczpospolita była wielką, zniszczoną szansą na niepodległą polską przyszłość w Europie i świecie. Jej odbudowa wymagała intensywnego wysiłku cywilizacyjnego młodego państwa. Wiele mówimy o sprawach gospodarczych, sztandarowych inwestycjach infrastrukturalnych z tamtych latach. Nie zapominamy o zmaganiach militarnych na wschodzie, zachodzie i południu polskich granic. Niemałego trudu wymagała również budowa systemu edukacyjnego, służącego wzmocnieniu polskich elit, wzmocnienia potencjału intelektualnego i kulturowej integracji wielonarodowego społeczeństwa. „Życie codzienne nauczycieli w II Rzeczpospolitej" Piotra Gołdyna to wnikliwe studium odbudowy elit w czas dwudziestolecia międzywojennego – projektu bezpowrotnie zniszczonego przez zbrodniczy pakt hitlerowskich Niemiec i sowieckiej Rosji.

eprasa.pl 828fb90d81

II Rzeczpospolita to krótki i trudny okres w dziejach Polski. Walka z sąsiadami o granice, wewnętrzne rozgrywki polityczne, do tego proces ujednolicania przepisów dotyczących wszystkich obszarów życia gospodarczego i społecznego, w tym oświaty – wszystko to działo się w galopującej w pierwszych latach po wojnie inflacji […], kryzysie ekonomicznym lat trzydziestych, a pod koniec tej dekady również w rosnącym lęku, że wybuchnie wojna. W takich warunkach przyszło pracować nauczycielom. […] Polska odzyskała niepodległość, ale ponad 125 lat niewoli odcisnęło piętno na mentalności jej mieszkańców. Sytuację komplikowała wielonarodowość. Oprócz Polaków w II Rzeczypospolitej żyli przecież Ukraińcy, Niemcy, Litwini, Tatarzy i oczywiście Żydzi, a także wiele innych nacji. Ponadto poszczególne regiony Polski – Kresy, Śląsk, Wielkopolska czy Małopolska – funkcjonowały w charakterystyczny dla siebie sposób" – pisze Piotr Gołdyn we wstępie do „Życia codziennego nauczycieli w II Rzeczypospolitej". I zwraca uwagę, że tak skomplikowana materia nie pozwala na łatwe generalizacje dotyczące grupy zawodowej, na której spoczywała odpowiedzialność za formowanie przyszłych pokoleń obywateli i obywatelek II RP. Przedwojenni pedagodzy byli przepracowani, skarżyli się na ciężkie warunki mieszkaniowe, nie zarabiali dużo, mierzyli się z wyzwaniami, w których uwarunkowania zaborczej przeszłości mocno wiązały się z tożsamością lokalnych wspólnot i wymaganiami odbudowującego się państwa – a jednak historyczne świadectwa potwierdzają, że mieli głęboką świadomość etosu zawodowego oraz edukacyjnych, społecznych i patriotycznych zobowiązań wobec dzieci i młodzieży.

▶ Upiory z czasów zaborów – wynarodowienie i analfabetyzm

W zaborze rosyjskim powszechny analfabetyzm nakładał się na dekady wynarodowienia. Na ziemiach należących wcześniej do Prus największym wyzwaniem było zniweczenie skutków germanizacyjnej presji. Gołdyn przypomina, że likwidacja szkolnictwa polskiego na ziemiach zagarniętych przez Niemców rozpoczęła się w początkach XIX wieku, a język polski został wyrugowany z działających szkół. Nie pozwalano również na edukację domową. W zaborze rosyjskim kolejne fale wściekłej rusyfikacji fatalnie łączyły się z cywilizacyjnym zapóźnieniem („Poziom analfabetyzmu przewyższał średnią europejską"). Najbardziej liberalną politykę edukacyjną wobec polskiego narodu w drugiej połowie XIX wieku prowadził Wiedeń – w szkołach galicyjskich można było nauczać po polsku, władze pozwalały na zakładanie placówek naukowych i edukacyjnych, nie zabraniano również edukacji domowej. Kamieniem milowym w zaborze austriackim było założenie w 1867 roku Rady Szkolnej Krajowej, która dała systemowy impuls do budowy edukacji przyjaźniejszej polskości. Na terenach Galicji najmocniej rozwijało się również szkolnictwo zawodowe, kształcące przyszłych rzemieślników – w tym tkaczy i ślusarzy. O wiele gorzej pod tym względem przedstawiała się sytuacja w zaborze pruskim, choć Poznań mógł się poszczycić szkołą budowy maszyn.

Nic więc dziwnego, że u świtu niepodległości II Rzeczpospolita musiała stworzyć integralny system oświatowy, który położyłby kres cywilizacyjnym i antypolskim patologiom czasów zaborów. Duży nacisk położono na organizację szkolnictwa powszechnego, „zdawano sobie bowiem sprawę, że dobra organizacja szkół na tym poziomie przyczyni się do likwidacji, a przynajmniej znacznego zmniejszenia analfabetyzmu". Obowiązek szkolny objął dzieci w wieku od 7 do 14 lat. Wymowne dane: „w roku szkolnym 1922/1923 obowiązkiem szkolnym objęto niecałe 70 proc. dzieci, a w ostatnim roku szkolnym przed wybuchem II wojny światowej było to statystycznie mniej więcej 91 proc.". Istotne cele stawiano również przed szkolnictwem średnim. Dokumenty z tamtych czasów mówią jasno: „[…] jest rzeczą ważną, aby szkoła średnia była dostępna i docierała do młodzieży ze wszystkich warstw społecznych – bez względu na jej zamożność czy miejsce zamieszkania, aby pokonywała różne bariery i niekorzystne uwarunkowania społeczne, dawała młodzieży wykształcenie na miarę ich aspiracji edukacyjnych".

II Rzeczpospolita nie zlikwidowała w zupełności analfabetyzmu, ale – wbrew PRL-owskiej propagandzie – dokonała znacznego wysiłku, by zbudować powszechny system oświaty. Nigdy nie dowiemy się, w jakim kierunku realnie poszłyby kolejne reformy edukacyjne, gdyby państwo polskie przetrwało w granicach z tamtych czasów. Na marginesie: wszyscy pamiętamy o „Elementarzu" Mariana Falskiego, którego pierwsze wersje powstały jeszcze przed zaborami. Warto przypomnieć, że autorem jednego z podręczników czasów II Rzeczpospolitej, „Wypisów szkolnych dla VI klasy szkół powszechnych trzeciego stopnia", był Ferdynand Antoni Ossendowski, czyli pisarz z premedytacją skazany na zapomnienie w czasach Polski Ludowej, który straszliwie naraził się Sowietom głośnymi książkami „Lenin" i „Zwierzęta, ludzie, bogowie".

▶ „Typ zdolnego do walki pracownika"

Twórcy systemu polskiej edukacji stawali przed szeregiem praktycznych wyzwań organizacyjnych, które skrupulatnie opisuje Gołdyn. Nie tracili przy tym z oczu znacznie głębszego zagadnienia – ideału

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl 828fb90d81

wychowawczego, który systemowo powinni wdrażać nauczyciele w służbie II Rzeczpospolitej. W 1929 roku minister oświaty Sławomir Czerwiński podczas kongresu edukacyjnego, który odbył się w ramach Powszechnej Wystawy Krajowej w Poznaniu, przedstawiał ideał wychowania państwowego. Sam termin brzmi dziś obrazoburczo – szczególnie dla piewców liberalno-lewicowych doktryn (anty)pedagogicznych. Czerwiński przedstawił problem następująco: „W jaki sposób pokolenie Polek i Polaków wychowanych w niewoli ma stworzyć ideał wychowawczy dla dzieci i młodzieży żyjących w niepodległej Rzeczpospolitej?". Jak połączyć idee przeszłości z potrzebami nadchodzących czasów? Czy należałoby kształtować typ pracownika, uformowanego przez etykę pozytywizmu, czy raczej sięgnąć po romantyczny mit polskiego powstańca? Czy w polskim szkolnictwie bardziej będą potrzebne tradycje wielkopolskiej pracy u podstaw, czy – silniejszy na rozległych terenach byłego zaboru rosyjskiego – powstańczy mit ofiary krwi i życia?

Minister oświaty przedstawił Salomonowe rozwiązanie: „trzeba kształtować typ najtrudniejszy, bo złożony z dwóch powyższych – typ zdolnego do walki pracownika". Możemy to uznać za utopijne marzenie, ale jego realizm daje do myślenia właśnie dziś: Polska nie potrzebuje pokornych poddanych i tępych biurokratów, potrzebuje obywateli, którzy „czynem dnia codziennego i świętem walki" przypieczętują swoją polskość. Zdaniem Czerwińskiego dzieci i młodzież powinny ćwiczyć psychicznie i fizycznie „zdolności indywidualnej i zbiorowej walki z przeciwnościami". Patriotyzm, solidaryzm społeczny, lojalność wobec niepodległej Polski, kult marszałka Józefa Piłsudskiego – wychowanie państwowe, mimo wielu systemowych przeszkód, było realizowane w II Rzeczypospolitej. Najpewniej w znacznym stopniu pomogło wyrosnąć pokoleniu, które w realiach wojennych wzięło na siebie nie tylko ciężar walki, lecz także było zdolne stworzyć państwo podziemne, niezwykle sprawne nawet w warunkach niemieckiego terroru.

„Dostanie się do stanu nauczycielskiego faktycznie oznaczało podniesienie statusu społecznego" – przypomina Piotr Gołdyn. Więcej jeszcze: w pewnych przypadkach mocno naruszało obowiązujące hierarchie społeczne. Niemałe poruszenie wśród opinii publicznej, władz szkolnych i w arystokratycznych kręgach wywołał policzek wymierzony młodemu potomkowi Radziwiłłów przez dyrektora gimnazjum w Pszczynie. Nauczyciel łaciny Antoni Kulisiewicz, wywodzący się z pracującej biedoty (matka – praczka, ojciec – stolarz), dał w twarz swojemu uczniowi Stanisławowi Radziwiłłowi, który nie tylko nie wyuczył się deklinacji, ale wprost stwierdził, że książęce nazwisko zrekompensuje edukacyjne luki. Skandal rozszedł się szeroko, wymieniano w tej sprawie listy, w których pisano, że dyrektor Kulisiewicz wyszedł z nędzy tylko „z pomocą jakiegoś proboszcza" i „hołduje zasadom socjalizmu, źle pojmowanego". Książę Radziwiłł w liście do pedagoga przyznał po latach, że kara słusznie mu się należała i że nauczyła go szacunku do ludzi.

▶ Nauczyciele i ludowy żywioł – swoi czy obcy?

Sytuacja nauczycieli w dużej mierze zależała od tego, czy byli traktowani jako swoi, czy jako obcy przez lokalną społeczność. W miejscowościach i regionach, gdzie Polacy stanowili mniejszość, pedagodzy byli w cięższej sytuacji. Trudniej było im także zdobyć zaufanie wiejskich społeczności, gdzie inteligenci częściej byli traktowani jako obcy żywioł. Wielu chłopów miało pretensje do nauczycieli, że obowiązek szkolny odrywa dzieci od pracy na roli – ten problem, choć w znacznie łagodniejszej formie, dało się zauważyć w wiejskich podstawówkach jeszcze pod koniec PRL. W tej sytuacji dużo zależało od umiejętności, wrażliwości i dobrej woli nauczycieli. Łatwiej było im zyskać autorytet, jeśli byli serdeczni wobec dzieci, interesowali się ich pozaszkolnym życiem i warunkami egzystencji ich rodziców. W szkole w Zawadach na Kurpiowszczyźnie nauczyciele chodzili po domach, by porozmawiać z rodzicami o ich pociechach: „uważano, że ta metoda sprawdzała się lepiej od wywiadówek".

Zdecydowanie trudniej było tam, gdzie polscy nauczyciele musieli mierzyć się nie tylko z podziałami wynikającymi z różnic między klasami społecznymi, lecz także z konfliktami na tle narodowościowym. Na Polesiu od nauczycieli wymagano nie tylko pedagogicznych umiejętności, ale również przygotowania wojskowego. Na tym nie koniec – jako autorytet dla wiejskiej społeczności nauczyciel „zaciągał zobowiązania" daleko wykraczające poza jego zawodowe kompetencje. Antoni Górszczyk wspominał: „[…] każdy pisarczyk uważał, że powinienem załatwić wszystkie sprawy poszczególnych ludzi, po radę, pomoc, pociechę przychodzili, kiedy tylko uważali za stosowne […]. Pokłócił się syn z ojcem, mąż z żoną, zaorał ktoś komuś skibę, już miałem zajęcie, najczęściej udało się ugadać i wyperswadować proces. Raz toczyły dwie rodziny proces o 37 tys. złotych. Gdy straciły po kilka tysięcy złotych […], jedna ze stron mianowała proboszcza, druga mnie swym pełnomocnikiem i sprawę załatwiliśmy polubownie". Szanowany i lubiany nauczyciel mógł liczyć na mniej lub bardziej hojne podarunki od chłopów, „jeśli jednak nie był aprobowany przez społeczność wsi, to zdarzało się nawet przymierać głodem". Dużo zależało od lokalnej elity: państwowy nauczyciel był w wielu miejscowościach postacią

eprasa.pl 828fb90d81

zupełnie nową, dlatego – zdaniem świadectw z tamtych czasów – nie zawsze cieszył się estymą wśród bogatych chłopów, ziemian i oficjalistów oraz księży.

Nauczyciele doskonale zdawali sobie sprawę z dwuznaczności swojej sytuacji. Piotr Gołdyn przytacza wymowną anegdotę z czasów II RP: ojciec chciał rady od nauczyciela, w jakim kierunku ma kształcić syna. „Na inżyniera?" – zaproponował pedagog. Padła odpowiedź, że rodziny nie stać. „To może na księdza?" Okazało się, że chłopak za bardzo ogląda się za spódniczkami. „A może nauczyciel?". Rodzic grzecznie odparł, że przydałby się ktoś bardziej społecznie szanowany – na przykład mleczarz. W relacjach z tamtych czasów widać wyraźne ślady podziałów ekonomicznych wśród samych nauczycieli. Pedagodzy ze szkół średnich tak opisywali swoje koleżanki uczące w szkołach powszechnych: „[…] inteligencki proletariat, dla którego i sto złotych miesięcznie będzie ratunkiem od śmierci głodowej". Pół żartem, pół serio można skomentować, że frustracje, kompleksy i problemy prowincjonalnych polskich nauczycieli pozostają niezmienne niezależnie od czasów, miejsc i okoliczności.

Zdecydowane zmiany na lepsze wprowadziła ustawa z 1926 roku o stosunkach służbowych nauczycieli, regulująca kwestie pensum, a także prawa i obowiązki nauczycieli. Ale mimo ujednolicania prawa wiele zależało od sytuacji gospodarczej regionu: „Na Kresach Wschodnich nauczyciel wiejski należał do osób dobrze sytuowanych, jeśli się weźmie pod uwagę ogólnie niski standard życia. Zarabiając 150 złotych miesięcznie, mógł w tym środowisku żyć dostatnio, bo ceny żywności były zdecydowanie niższe niż w stolicy czy na Śląsku. Bardzo często dysponował mieszkaniem służbowym (często w budynku szkolnym) oraz działką rolną. Rzadko się jednak zdarzało, żeby zajmował się także rolnictwem. Najczęściej taką działkę dzierżawił miejscowym rolnikom". I w tym przypadku widać pouczające paralele – podobne praktyki funkcjonowały w czasach PRL, przynajmniej w znanych mi rejonach Wielkopolski. Ziemia formalnie należała do Państwowych Gospodarstw Rolnych – zyskiem nauczyciele dzielili się z „bambrami", którzy faktycznie zajmowali się jej uprawą.

„Życie codzienne nauczycieli w II Rzeczpospolitej" pozwala lepiej zrozumieć, jak wielkim wyzwaniem była budowa praktycznych form polskości, wcielenia jej w życie za pośrednictwem formujących się na nowo lokalnych elit.

„Życie codzienne nauczycieli w II Rzeczpospolitej" pozwala lepiej zrozumieć, jak wielkim wyzwaniem była budowa praktycznych form polskości, wcielenia jej w życie za pośrednictwem formujących się na nowo lokalnych elit.

Proza życia i polskie idee

W czasach II RP status urzędnika państwowego i stała pensja wzmacniały pozycję najzwyklejszego nawet nauczyciela. W niektórych sytuacjach – wręcz dosłownie – ratowało to pedagogom skórę i chroniło przed poturbowaniem przez rozwścieczonych rodziców, niezadowolonych, że szkoła ingeruje w ich domowe obyczaje. Inflacja szalejąca w początkach II RP doprowadziła do tego, że władze młodego państwa polskiego zdecydowały się na wprowadzenie tzw. dodatku drożyźnianego – wypłacano go mniej więcej w połowie miesiąca, aby choć częściowo zamortyzować skutki gwałtownie rosnących cen. Piotr Gołdyn pokazuje, że z upływem lat pozycja prowincjonalnych nauczycieli poprawiała się, lokalne społeczności nabywały do nich zaufanie i szacunek, ale tam, gdzie napięcia wynikały z kwestii narodowościowych, sytuacja bywała trudna aż do wybuchu II wojny światowej.

Życie codzienne nauczycieli w II Rzeczpospolitej" pozwala lepiej zrozumieć, jak wielkim wyzwaniem była budowa praktycznych form polskości, wcielenia jej w życie za pośrednictwem formujących się na nowo lokalnych elit. Inteligencki, nauczycielski żywioł na wsiach i w miasteczkach stanowił ważny element odrodzonej Polski. Piotr Gołdyn nie idealizuje przedwojennych realiów i nauczycieli. Dzięki temu wyraźniej widzimy skalę wyzwań, z którymi musiało zmagać się państwo, rządzące elity, pracująca inteligencja, poszczególne jednostki. Stopniowa poprawa sytuacji nauczycieli w międzywojniu, instytucjonalne wsparcie dla tej grupy zawodowej, wzmacnianie edukacji jako istotnego elementu narodowej i państwowej tożsamości wiele mówią o praktycznej stronie zagadnienia. Ważne jest i to, że w ideał państwowego wychowania wpisane było zrozumienie tragicznego wymiaru historii Rzeczypospolitej, bazującego zarówno na ideałach pozytywistycznych, społecznikowskich, jak i romantycznych tradycjach walki o niepodległość. O tych dwóch sprawach niemal kompletnie zapomniano w czasach III RP. ■

eprasa.pl 828fb90d81



Krzysztof Karnkowski

MARYJA
Bohaterka, która jest

Życzeniem reżysera obrazu „Maryja" D.J. Caruso jest, by widzowie odkryli Matkę Bożą jako „bohaterkę, którą naprawdę jest, i aby mieli większe uznanie dla piękna, miłości i światła, którymi Ona jest". – To był mój jedyny cel" – mówi. Myślę, że to naprawdę może się udać.

eprasa.pl 828fb90d81



FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl 828fb90d81

Nieufność konserwatywnych odbiorców wobec oferty Netflixa i innych pokrewnych platform streamingowych jest całkowicie zrozumiała. Poprawność historyczna, nakazująca ignorować realia w produkcjach historycznych, a seriale na siłę ubogacać kulturowo i obyczajowo, bywa często bardzo trudna do przełknięcia. Być może bliscy jesteśmy odwrócenia tego trendu, a film, o którym dziś piszę, jest tego zapowiedzią. Być może nie. Niemniej zamiast wylewać dziecko z kąpielą, warto z oferty wyławiać wartościowe pozycje. I choć wcale się tego początkowo nie spodziewałem, przykładem takiej cennej produkcji Netflixa okazał się film „Maryja" w reżyserii D.J. Caruso.

To nie jest film biblijny

Film premierę miał na początku grudnia ubiegłego roku. Nie przypadkiem był to zdecydowanie najlepszy czas na jego obejrzenie. „Maryja" to bowiem opowieść przede wszystkim o tym, co wydarzyło się przed narodzinami Jezusa, choć pokazana historia ukazuje jeszcze rzeź niewiniątek i ucieczkę do Egiptu. Sam Syn Boży w filmie pojawia się tylko jako maleńkie dziecko. Zgodnie z tytułem jest to dzieło poświęcone Jego Matce. Na początek, aby wszystko było jasne, musimy uporządkować kilka spraw. Pozwoli nam to uniknąć zupełnie niepotrzebnych emocji, jakie przejawiają co bardziej krytyczni widzowie, wywodzący się z katolickiej publiczności.

Przede wszystkim – to nie jest film biblijny. Uwzględniając to, co z Pisma Świętego wiemy o Maryi (a przyznajmy, że wzmianek o niej, zwłaszcza w czasie przed narodzeniem Chrystusa, nie ma w nim przecież bardzo wiele), twórcy obudowali opowieść apokryfami i kilkoma własnymi dopowiedzeniami, które zdecydowanie uatrakcyjniają fabułę. Tyle że ani jedno, ani drugie nie znaczy, że tak nie było. Pisze o tym bardzo surowy w sądach nad dziełami popkultury serwis Kultura Dobra, który obraz Caruso ocenia jako „dobry, choć z bardzo poważnymi zastrzeżeniami": „To że jest to obraz apokryficzny, samo w sobie nie jest jeszcze zarzutem, gdyż przypomnijmy, że terminem apokryf określa się zwykle księgi wczesnochrześcijańskie o tematyce biblijnej, które z różnych względów nie zostały uznane za natchnione przez Ducha Świętego i jako takie nie weszły do kanonu Biblii" – pisze Marzena Salwowska. „To »odrzucenie« nie musiało się jednak wiązać z żadną herezją, mogło wynikać np. z wątpliwego pochodzenia danego tekstu (brak pewności, że dany tekst pochodzi od apostoła lub ucznia Jezusa), czy też z tego, że dane pismo zawiera elementy fantastyczne. Zatem użycie apokryfów w sztuce filmowej można uznać za rzecz dopuszczalną i zrozumiałą ze względu na potrzebę wypełnienia fabuły. Tym bardziej że omawiana produkcja Netflixa jest długa, a zapisanych w Biblii słów prawdziwej Maryi jest na tyle niewiele, iż nie dałoby się na nich samych zbudować dialogów dłuższego scenariusza".

Silna kobieta, która poddała się woli Bożej

Główna bohaterka nie została jednak wyjęta z duchowego czy religijnego kontekstu – to on motywuje życiowe decyzje najpierw rodziców, a później Jej samej – przy czym cały czas podkreślane jest, że są to wybory często trudne, wyprowadzone z wiary, wsparte odwagą i siłą charakteru. Maryja miewa w tym filmie swoje obawy i wątpliwości, jednak wie, w którą stronę chce podążać. Jeśli możemy szukać chrześcijańskiej, dobrej odmiany feminizmu, znajdziemy tu dość cenną pomoc. Rozmawiałem o tym z Agnieszką Żurek, publicystką często zajmującą się tematyką wiary i duchowości. Dziennikarka mówi, że „Maryja" „[…] to jest taki film, który może być ciekawy w aspekcie rozumienia kobiecości i tego właśnie pozytywnego feminizmu, nowatorstwa postaci Maryi. Maryja kojarzona jest często z całkowitym poddaniem się patriarchatowi, co wiąże się ze stereotypowym wizerunkiem Kościoła, jego czarnym pijarem. Z tego filmu wynika zupełnie coś przeciwnego, Ona jest właśnie bardzo wolnym wewnętrznie człowiekiem, nie podaje się żadnemu patriarchatowi, tylko woli Bożej. Potrafi przeciwstawić się społecznym konwenansom i kulturze zdominowanej przez mężczyzn, przez arcykapłanów, rozumiejących wiarę w bardzo skostniały sposób. Zamieniających wiarę z biznes, z którego czerpią zyski, co zdarza się przecież w każdych czasach. Maryja tymczasem umie zachować prawdziwego ducha wiary i przeciwstawić się temu establishmentowi".

Co ciekawe, jeszcze w sierpniu ubiegłego roku Agnieszka Żurek pisała w „TS" tekst o takim właśnie podejściu do Matki Bożej. „Jeśli zastanowimy się głębiej nad życiem Matki Bożej, odkryjemy, jak bardzo było ono dalekie od cukierkowo-pastelowych, »ugrzecznionych« wizji ziemskiej egzystencji Matki Bożej. Maryja ze swoją wolnością ducha, siłą i odwagą może być patronką współczesnych kobiet. Była na tyle wolna wewnętrznie, że kiedy podczas Zwiastowania Pan Bóg postawił Ją w po ludzku »niemożliwej« sytuacji, nie poddała się presji kulturowej ani też nie postawiła na piedestale swojego męża. Zaryzykowała niezrozumienie, samotność, a nawet możliwość wygnania. Wybrała Boga i wierność własnym wartościom". Oglądając „Maryję" Caruso, miałem

eprasa.pl 828fb90d81

wrażenie, że tak ukazana historia bardzo dobrze wpisuje się w wizerunek, o którym pisała Agnieszka Żurek. Gdy ją o to pytam, mówi mi, że podczas seansu filmu miała bardzo podobne refleksje. Trzeba też zauważyć, że filmowa Maryja jest postacią piękną zarówno od strony duchowej, jak i wizualnej. Grająca ją izraelska modelka Noa Cohen swą urodą kojarzyć się może z wizerunkiem Maryi, jaki kilka lat temu został zrekonstruowany przez brazylijskiego naukowca Átilę Soaresa da Costa Filho.

Aktorzy na mocne „tak"

W filmie pojawia się oczywiście mnóstwo innych postaci: rodzice i krewni Maryi, ludzie, znani nam z Ewangelii i tłum zaludniający tło: Żydzi, Rzymianie, kapłani i przedstawiciele wszystkich warstw społecznych Jerozolimy, Betlejem i okolic. W pamięć zapada prorokini Anna, ważni są oczywiście Joachim i Anna (matka), siostra Heroda Salome. Od swego pojawienia się ważną rolę odgrywa oczywiście Józef (grany przez Ido Tako), w filmie pokazany jako mężczyzna zdeterminowany, wierzący, odległy przy tym od pacyfizmu, można rzec – wyrywny, niebojący się sięgnąć po argument siły najpierw w obronie dobrego imienia ukochanej dziewczyny, a później życia jej, a gdy przyjdzie pora, również Dziecka. Jest wreszcie Herod, grany przez jednego z wybitniejszych aktorów starszego pokolenia, Anthonego Hopkinsa. I tak jak odgrywający postać Gomułki w filmie „Prorok" o prymasie Wyszyńskim Adam Ferency kradł show tytułowej postaci, tak samo i Hopkis z każdym swoim pojawieniu się staje się królem nie tyle Judei, ile ekranu. Jest władcą szalonym, osamotnionym, targanym obsesjami, własnym strachem, halucynacjami. Ostatni fragment z jego udziałem, wieńczący wątek rzezi niewiniątek, wydaje mi się najpełniejszą artystycznie sceną filmu.

Nietrudno domyślić się, że film budzi pewne kontrowersje. Część z nich wynika z powodów już wcześniej przywołanych – nie każdemu odpowiadają zabiegi będące częścią procesu fabularyzacji. Myślę, że dla ich rozwiania przydatne są dostępne w internecie wypowiedzi samego reżysera, chętnie przepytywanemu po premierze przez rozmaite chrześcijańskie media i kanały. Zacznijmy od kluczowej w tym kontekście informacji, że Caruso pochodzi z mającej włoskie korzenie katolickiej rodziny ze stanu Connecticut, sam również jest katolikiem. W tej wierze wychowuje też dzieci. „Kochamy modlitwę do Maryi i przyjmujemy Ją jako orędowniczkę, co jest kluczowe dla tego, kim jesteśmy jako rodzina i dla naszej wiary. Dlatego też chciałem nakręcić film, by Ją uczcić" – powiedział w rozmowie, kolportowanej w Polsce przez Katolicką Agencję Informacyjną. „Byłem ogromnie zdeterminowany, by opowiedzieć tę historię. Miałem wrażenie, że historia Maryi jest niedoceniana. Wszyscy znamy opowieść o Narodzeniu Pańskim, a ja byłem naprawdę poruszony pomysłem opowiedzenia tej historii z Jej perspektywy: […] Oto ta młoda kobieta, która stawiła czoła przeciwnościom losu, miała pewne wątpliwości i obawy, ale ostatecznie zaakceptowała to piękne »fiat«, to przyjęcie (łaski) od Boga do swojego serca".

Z rozmowy dowiadujemy się też, że mocniejsze zarysowanie postaci Józefa to efekt rozmów z zaprzyjaźnionym biskupem. Zauważmy, że wypowiedzi autora, które poznałem już po cytowanej wyżej rozmowie z Agnieszką Żurek, są zbieżne z naszą intuicją. Dodajmy, że wśród części widzów pewnie sprzeciw budzi wizerunek archanioła Gabriela, który objawia się bohaterom i samej Maryi, jest on bowiem dość ekscentryczny, inny od wyobrażeń i niepokojący, zapewne jednak i to ma pokazać nam, że czasem warto wyjść poza stereotypy.

Innego rodzaju kontrowersje związane są raczej z bieżącą polityką i sytuacją na Bliskim Wschodzie, ponieważ niektórzy komentatorzy za złe mają tak duży udział aktorów izraelskich (Cohen, Tako) i obsadzenie ich w kluczowych rolach. „Wspaniale było sprowadzić dwie świeże osoby, pochodzące z regionu, w którym urodzili się Maryja i Józef, obsadzić je w głównych rolach i zaprezentować światu. To świeższe ujęcie, a publiczność będzie je zapewne bardziej akceptować i doceniać, niż gdyby to były jakieś znane ogólnie gwiazdy filmowe" – uzasadnia swoje motywy reżyser i myślę, że w tym ostatnim ma na pewno dużo racji.

Renesans kina religijnego

W ostatnich latach kino chrześcijańskie, głównie protestanckie, przeżywa swój renesans. Mamy amerykański serial „The Chosen" (dla którego opowieść z „Maryi" może być uznana za coś w rodzaju prologu, zarówno z racji chronologii zdarzeń, jak i nieodległego klimatu obu produkcji), mamy pojawiające się produkcje fabularne, również polskie, jak wspomniany „Prorok" Michała Kondrata. Sam D.J. Caruso zauważa to zjawisko i bardzo cieszy się, że Netflix zdecydował się na dystrybucję jego filmu, co może pomóc dotrzeć do szerszej widowni. A więc realizować pewien wymiar misyjny jego dzieła. Caruso chce, by widzowie odkryli Matkę Bożą jako „bohaterkę, którą naprawdę jest, i aby mieli większe uznanie dla piękna, miłości i światła, którymi Ona jest. To był mój jedyny cel" – dodaje. Myślę, że to naprawdę może się udać. ■

eprasa.pl 828fb90d81



CZY POLSKĄ KULTURĘ NALEŻY TŁUMACZYĆ Z JĘZYKA POLSKIEGO NA... POLSKI?

Jakub Augustyn Maciejewski

– Pytanie więc, co jest ważniejsze: magia mowy czy sens zdania? Według mnie, jednak sens. A magię słów – wyjątkowy artyzm tych sformułowań – można podziwiać w oryginale, który wydrukowany jest obok, równolegle z transkrypcją – mówi Antoni Libera (tłumacz, pisarz, znawca literatury angielskiej) na temat jego tłumaczenia „Odprawy posłów greckich" z języka staropolskiego na język polski i potrzebie ratowania najważniejszych tekstów narodowej kultury. Rozmawia Jakub Maciejewski.

epyasa.pl 828650081

Po tłumaczeniu Szekspira czy Becketta z angielskiego na język polski teraz przetłumaczył Pan na polski „Odprawę posłów greckich", która przecież została napisana po polsku. To znaczy po staropolsku. Skąd pomysł na tę transkrypcję?

Początki tej sprawy sięgają lat 90., kiedy uczestniczyłem w dorocznym seminarium literackim w Cambridge. Jest to impreza, podczas której Anglicy prezentują zaproszonym z całej Europy cudzoziemcom, co mają w danej chwili najlepszego – w poezji, prozie, dramacie, a także w krytyce literackiej. Otóż stałym tematem tych spotkań jest Szekspir jako ich „flagowy okręt", to znaczy, co dzieje się w szekspirologii i życiu teatralnym, związanym z jego twórczością.

Otóż tamtym razem mówił o tym wybitny (dziś już nieżyjący) krytyk literacki George Steiner. Na tytuł swojego odczytu wybrał cytat z „Boskiej komedii": „I nie czytali już dłużej…", Chodzi o kwestię komentującą scenę, w której zakochani w sobie Paolo i Francesca czytają „Lancelota", aż gdy dochodzą do opisu pocałunku, sami czynią to samo, czyli… przestają czytać. Steiner użył jednak tego cytatu w innym celu i innej funkcji. Chodziło mu o to, że jeśli z dorobkiem Szekspira, napisanym XVI-wieczną angielszczyzną, nic się nie zrobi, to współcześni Anglicy przestaną go czytać, bo z pokolenia na pokolenie rozumieją coraz mniej. Wyjaśnił, że przeciętnie wykształcony Anglik gdy ogląda szekspirowskie przedstawienie w teatrze, rozumie mniej więcej połowę. Dla słuchaczy odczytu było to zdumiewające, bo gdy patrzy się na zarejestrowane brytyjskie produkcje szekspirowskie, wydaje się, że aktorzy mówią tak naturalnie i płynnie, jakby mówili współczesnym językiem. Tymczasem wcale tak nie jest.

I opowiedział następnie całą historię uwspółcześniania czy raczej uprzystępniania Szekspira i związanych z tym sporów i kontrowersji. Zaczęło się to już pod koniec XIX wieku. Najpierw powstały „Opowieści szekspirowskie" dla dzieci – tak aby od najmłodszych lat Anglicy znali przynajmniej fabuły dramatów swojego wieszcza. A potem zaczęto robić coraz bardziej zaawansowane transkrypcje. Najpierw czynili to co zdolniejsi literacko wykładowcy i nauczyciele, a z czasem zawodowi literaci. Towarzyszyły temu oczywiście gorące dyskusje, „czy to się godzi", a jeśli już, to w jakim zakresie jest to dopuszczalne. I zwyciężyło stanowisko realistyczno-pragmatyczne (a nie purystyczne): jeśli nie będzie się Szekspira w ten sposób „uprzystępniać" – tak jak to w naturalny sposób robi się we wszystkich innych obszarach językowych w postaci coraz to nowych przekładów – to ów największy skarb literatury angielskiej dla samych Anglików stanie się niestrawny i martwy. Steiner żartował, mówiąc: „Wy, cudzoziemcy, to macie szczęście, bo możecie sobie tego naszego Williama co chwila przyswajać, a my się musimy męczyć z oryginałem".

Kto zajmuje się transkrypcjami w Anglii?

Jak powiedziałem, najpierw robili to co zdolniejsi wykładowcy o niewyżytych ambicjach literackich, a z czasem, gdy zrozumiano, że jest to proces nieunikniony i nieodwracalny, zadanie to powierzano co wybitniejszym poetom, jak w przypadku obcojęzycznej klasyki. I przyjęto kompromis: dla potrzeb edukacyjnych – proszę bardzo; dla potrzeb teatralnych – jednak nie. Niemniej gdy młodzież angielska idzie do teatru na Szekspira, to nieraz przygotowuje się do tego doświadczenia, czytając transkrypcję. Podobnie jak my czytamy sobie dla przypomnienia przekład, gdy mamy oglądać rzecz w oryginale.

Podsumowując: wykład Steinera uświadomił mi problem, z którego wcześniej nie zdawałem sobie sprawy. Tym bardziej że mówił on również o tym zjawisku w innych krajach, w Italii, we Francji, w Hiszpanii. Rzeczywiście, gdy rozmawiałem potem z Włochami czy Francuzami o wielkich zabytkach ich literatury, to słyszałem zawsze to samo: „Nie myśl, że my dobrze rozumiemy »Boską komedię« albo »Pieśń o Rolandzie«. Bez uwspółcześnień lub transkrypcji byłaby to abrakadabra". Mój znajomy Włoch, wybitny intelektualista, opowiadał, że jak w szkole czytali „Boską komedię", to wyglądało to jak tłumaczenie łaciny – mimo że to przecież włoszczyzna.

I Dante, i romanse rycerskie to jednak średniowiecze, język naprawdę archaiczny. Ale żeby Kochanowski, ojciec polskiej literatury, miał być tłumaczony na polski?

Proszę pamiętać, że u nas to wszystko zaczęło się nieco później – co najmniej 300 lat później. Gdy Dante pisał „Boską komedię", to u nas dopiero powstawała „Bogurodzica". A więc Kochanowski dla nas to jak dla Anglików nawet nie Szekspir, lecz Chaucer. A jeśli chodzi o moją transkrypcję „Odprawy…" na współczesną polszczyznę, to podjąłem się tego zadania nie z własnej inicjatywy, lecz na zamówienie Fundacji Klasyki i innych instytucji…

Każdy pisarz tak mówi, że to „nie on", tylko Bóg lub Historia mu kazały…

Nic nie poradzę, ale w moim wypadku naprawdę tak było. Powiem więcej: choć miałem za sobą to całe doświadczenie, o którym opowiedziałem na wstępie, gdy usłyszałem konkretną propozycję, długo się przed nią wzdragałem i wcale nie paliłem się, by podjąć taką

FOT. FILIP BŁAŻEJOWSKI/GAZETA POLSKA

eprasa.pl 828fb90d81

próbę czy eksperyment. Wreszcie postawiłem warunek, że spróbuję to zrobić, jeśli otrzymam wsparcie w postaci fachowca od staropolszczyzny, czyli jakiegoś profesora, który będzie mi patrzył na ręce, a nade wszystko który generalnie będzie popierał taką inicjatywę. I rzeczywiście otrzymałem takiego „anioła stróża" w osobie profesora Pawła Stępnia, wybitnego znawcy przedmiotu, a zarazem wszechstronnego humanisty i nadzwyczaj miłego człowieka. W ten sposób powstała ta „adaptacja". Maciej Wojtyszko, reżyser i pisarz, z którym od lat się koleguję, postanowił ją potem zrealizować i dostał na ten cel scenę w Teatrze Polskim w Warszawie. Z tego co wiem, przedstawienie to – według mnie bardzo udane – cieszy się dużym zainteresowaniem. W każdym razie trudno kupić bilety.

▶ Aktorom łatwiej uczyć się zrozumiałego tekstu, ale nie jest to mimo wszystko Kochanowski.

Oczywiście. Ale jak może być, skoro świadomie przyswojony jest współczesnej polszczyźnie. Wszelako pod względem treści jest „wierny sobie". Weźmy choćby najsłynniejsze zdanie z „Odprawy". Początek Chóru (trzeciego stasimonu): „O białoskrzydła morska pławaczko,/ Wychowanico Idy wysokiej/ Łodzi bukowa…". Zbigniew Herbert uważał to zdanie za jedno z najpiękniejszych w literaturze polskiej. Przyznawał jednocześnie, że piękno to wynika z elementu magicznego, jakim jest czar mowy niezrozumiałej. Bo kto dzisiaj „automatycznie" pojmuje takie słowa jak „białoskrzydła" i „pławaczka", a także co znaczy w danym kontekście „wychowanica" i nazwa własna „Ida"? Poza znawcami przedmiotu raczej nikt. Tymczasem chodzi tu po prostu o pełnomorski okręt o białych żaglach, wybudowany w porcie/stoczni u podnóża wysokiej góry Idy pod Troją.

Pytanie więc, co jest ważniejsze: magia mowy czy sens zdania? Według mnie, jednak sens. A magię słów – wyjątkowy artyzm tych sformułowań – można podziwiać w oryginale, który wydrukowany jest obok, równolegle z transkrypcją. To zresztą był inny mój warunek, gdy podejmowałem się tego zadania: a mianowicie że obok transkrypcji koniecznie musi być oryginał. Dopiero wtedy uzyskuje się pożądany efekt: gdy można cały czas porównywać oba teksty. I to, moim zdaniem, ma walor edukacyjny.

▶ Wiele jest takich niezrozumiałych fragmentów. Na przykład: „O Boże na wielkim niebie/ Drogo to, widzę, u Ciebie/ Dać młodość i baczenie za raz – jedno płacić/ Drugim trzeba: to dobre, a tego żal stracić". Ilekroć to czytam, nie rozumiem. U Pana brzmi to bez porównania prościej i zrozumiale:

„Bogowie, czemu wzbraniacie śmiertelnym/ Mieć jednocześnie i jedno, i drugie?/ Za szał młodości trzeba słono płacić./ By zyskać mądrość, trzeba młodość stracić".

W sumie jest to stary, dość znany koncept: że młodość nie idzie w parze z mądrością. Albo ma się jedno, albo drugie. Nowożytna wersja tej maksymy brzmi: „Gdyby młodość wiedziała! Gdyby starość mogła!".

Ale chciałbym jeszcze dodać dwa słowa o tym, w jakim momencie swojej drogi twórczej podjąłem się tego zadania. Otóż był to czas, gdy miałem już za sobą przekłady wszystkich tragedii Sofoklesa, a także wyboru tragedii Racine'a i co najmniej ośmiu dramatów Szekspira, w tym jego „Troilusa i Kresydy", którego temat zaczerpnięty jest z „Iliady". I pragnę podkreślić, że bez tego doświadczenia z pewnością nie zabrałbym się za „Odprawę…". Bo dzięki tamtym tłumaczeniom zdołałem wypracować pewien idiom retoryczno-stylistyczny w ramach 11-zgłoskowca heroicznego, którym właśnie posłużył się Kochanowski. Inaczej mówiąc, ułożyłem „Odprawę…" według gotowej już recepty, doskonalonej stopniowo na dziełach największych klasyków.

I teraz – dzięki temu, że ten język jest poniekąd homogeniczny, bo pochodzi od tej samej osoby, tj. ode mnie – można stwierdzić, jak blisko Kochanowskiemu do Szekspira. Zwłaszcza jeśli porówna się „Odprawę…" z „Troilusem…", który jest prawie na ten sam temat, tyle że jego akcja dzieje się siedem lat później. Proszę zajrzeć do drugiej sceny drugiego aktu i porównać ją z monologiem Posła z „Odprawy…". Jeśliby kto nie wiedział, że to Kochanowski, mógłby pomyśleć, że to jakiś nieznany kawałek Szekspira.

▶ Mam wrażenie, że „tłumacząc" Kochanowskiego, odkrył Pan w nim jeszcze większe walory, dostrzegł coś jeszcze, co może nie zwróciło Pańskiej uwagi wcześniej.

Tak. Fascynująca jest sama historia powstania tego dramatu. Zamówił go u Kochanowskiego kanclerz Zamoyski, mecenas i przyjaciel poety, na swoje wesele zaplanowane na styczeń 1578 roku. Kochanowski w miarę szybko spełnił tę prośbę, ale Zamoyski przez wiele miesięcy się nie odzywał, bo z królem Batorym zajmował się odzyskiwaniem Gdańska. Wreszcie tuż przed świętami Bożego Narodzenia przybył do Kochanowskiego posłaniec z listem od Zamojskiego i prośbą o niezwłoczne przekazanie dramatu. Kochanowski w ciągu dosłownie dwóch dni przepisał na czysto całą rzecz i oddał ją posłańcowi. Dworzanie z otoczenia kanclerza natychmiast zaczęli uczyć się tekstu na pamięć, a Zamoyski, mając już pewność, że jego wesele zaszczyci swą obecnością król, poprosił poetę, by dopi-

eprasa.pl 828fb90d81

sał jeszcze jakiś wiersz po łacinie – jako ukłon wobec Batorego, który słabo znał polski. W ten sposób powstał „Orfeusz sarmacki" – wspaniały wiersz polityczny, skierowany zresztą bardziej do szlachty niż do króla, ale po to, aby król go zrozumiał. Tekst sztuki podczas prezentacji tłumaczył szeptem królowi na łacinę jeden z dworzan…

▶ Jak dziś lektor w filmach!

Mniej więcej. Zdumiewająca jest jednak aktualność „Orfeusza sarmackiego". Gdy się go dzisiaj czyta, można odnieść wrażenie, że przez te 400 lat nic się nie zmieniło. Dalej jesteśmy w tej samej sytuacji. Polecam wszystkim. Włączyłem go do antologii moich przekładów poetyckich, wydanych przez PIW w 2024 roku.

▶ Wielkość Kochanowskiego – jego kunszt i uniwersalizm – widać również poprzez znakomite współczesne przekłady na angielski.

Tak, przekład jego Trenów, dokonany przez świetny tandem Barańczak–Heaney (przypominam: Seamus Heaney jest laureatem literackiego Nobla z 1995 roku) i wydany przez prestiżowe amerykańskie wydawnictwo Farrar Straussa, objawił nagle angielskojęzycznej publiczności, że oto istnieje polski poeta równy najwybitniejszym poetom metafizycznym tamtego czasu. Jak widać, warto czasem poczekać nawet 400 lat.

▶ Wróćmy jednak do Pana transkrypcji. Mimo wszystko odczuwam obawę, że w ślad za Panem pójdą inni i zaczną wszystko w ten sposób przerabiać. A wtedy poniekąd utracimy kontakt z oryginalnym brzmieniem naszej literatury.

Oryginały muszą być zachowane i czytane równolegle. Podkreślam to z całą mocą. Bo tylko wtedy takie „uprzystępnianie" ma sens. Wiem, że pojawiają się głosy, by również późniejsze utwory w ten sposób uwspółcześniać. Na przykład „Pamiętniki" Paska. A nawet Trylogię Sienkiewicza. Trudno mi się odnieść do tych postulatów. Za mało znam sytuację w szkolnictwie. Według mnie Sienkiewicz absolutnie nie wymaga „odświeżenia". Ale gdybym okazał się w tym poglądzie anachroniczny, to mogę tylko powtarzać: ostateczny efekt zależy od jakości „przekładu". Jeśli będzie on zrobiony z odpowiednią kulturą językową, na wysokim poziomie i bez naruszania istoty tekstu, to taka praktyka może być pomocna. Wybitny, choć zapomniany już dziś nieco prozaik Andrzej Stojowski (1933–2006), miłośnik sarmatyzmu i kultury szlacheckiej, w 1997 roku stworzył znakomity pastisz Sienkiewicza, powieść pt. „W ręku Boga" – niejako kolejną część historycznego cyklu – na temat wiktorii wiedeńskiej. Polecam wszystkim, przynajmniej po to, by wyobrazić sobie, jak mogłaby wyglądać/brzmieć adaptacja Trylogii.

▶ Inna obawa jest jeszcze taka, że ostatecznie przyznajemy się do nierozumienia naszych najlepszych poprzedników. To jakby przypieczętowanie jakiegoś zerwania ciągłości cywilizacyjnej. Profesor Andrzej Zybertowicz podkreśla, że w tych czasach takie właśnie napięcia występują i że, na przykład jeśli nie wprowadzi się edukacji opartej na „gamefikacji", no to nie mamy szans uczyć następnych pokoleń – trzeba dawać punkty, mobilizować bonusami. Jak uczniowi uda się nie rozproszyć, to dostaje pięć pucharków. Czy Pańska transkrypcja nie idzie tym tropem?

Nie uważam tak. Natomiast profesor Zybertowicz ma rację w swoich prognozach. Podobnie jak Jacek Dukaj w swoich esejach „Po piśmie". Być może są oni zbyt pesymistyczni, ale generalnie mają słuszność. Na zjawiska te można patrzeć w krótszej lub dłuższej perspektywie. Na razie wydaje się, że mają rację. Bo przez to, że będziemy się zżymać na rzeczywistość i wyzywać młodych od nieuków, nic nie wskóramy. Młodzi ludzie od tego się nie zmienią. W dłuższej perspektywie nie wykluczam jednak, że ta obecna fala degradacji kultury minie, a nawet odwróci się i – jak to już nieraz w dziejach bywało – znów zaświta jakiś złoty wiek i zapanują wyższe standardy. A jeśli tak, to nasza praca ma sens – przynajmniej jako pośredników między gorszymi a lepszymi czasami.

▶ Czyli jako konserwatyści mamy wypełniać swoje zadania i niekoniecznie kalkulować, kto i jak na to spojrzy dzisiaj.

Tak myślę. Najważniejsze, by te pomoce – te rozmaite lingwistyczne ułatwienia – robić z kulturą; za pomocą języka wysokiego, a nie pospolito-wulgarnego. Zawsze, nawet w marnym czasie, istnieje jakiś rejestr wysoki. I właśnie do niego należy się odwoływać.

Tak więc nie o to bym się martwił. Gorzej, że gdy my tu toczymy wyrafinowany spór o to, jak obchodzić się z klasyką, jakimi metodami ją przybliżać i kultywować, przychodzi nagle pani „ministra" Nowacka i niczym pamiętny Edek z Mrożkowego „Tanga" (ucieleśnienie chama) wywraca stolik. Czyli po prostu zdejmuje „Odprawę…" z listy lektur. To jest dopiero groźne! Ale ufam, że ta rebelia szybko minie. Chyba że jest to nowa forma kulturkampfu aplikowana nam z Brukseli (czytaj: Berlina) po to, by wreszcie wynarodowić Polaków i uczynić z nich bezwolnych niewolników. Ale jeśli tak, to należy wszcząć alarm. ■

eprasa.pl 828fb90d81



W imieniu prezydenta Andrzeja Dudy Nagrodę im. Grzegorza I Wielkiego odebrał minister Wojciech Kolarski.



Jan Przemyłski

Prezydent Andrzej Duda uhonorowany przez „Nowe Państwo”

Prezydent Andrzej Duda został laureatem przyznawanej przez nasz miesięcznik Nagrody im. Grzegorza I Wielkiego, która jest wyrazem uznania dla jego działań na rzecz umocnienia pozycji Polski, wzmocnienia obronności oraz budowania strategicznych relacji transatlantyckich. Podczas uroczystej ceremonii w Warszawie ogłoszono również, że wkrótce w naszym kraju odbędzie się konferencja CPAC – największe konserwatywne wydarzenie na świecie.

eprasa.pl 828fb90d81









FOT. KONRAD FALECKI/GAZETA POLSKA(2); TOMASZ JĘDRZEJOWSKI/ GAZETA POLSKA(3)

Nawet jeśli prawda może powodować zgorszenie, lepiej dopuścić do zgorszenia, niż wyrzec się prawdy". Słowa te, których autorem jest papież Grzegorz I Wielki, stały się mottem nagrody przyznawanej od wielu lat przez miesięcznik „Nowe Państwo". Wyróżnienie trafia do osób, które z odwagą broniły prawdy w życiu publicznym. Laureatem za rok 2024 został prezydent Andrzej Duda, jednak w tym przypadku doceniono nie tylko jego działalność w minionych 12 miesiącach, lecz całe 10-lecie prezydentury. Podkreślono to podczas ceremonii wręczenia nagrody, która odbyła się 24 marca br. w Warszawie podczas Gali Człowiek Roku „Gazety Polskiej".

Marsz ku zabezpieczaniu Polski

Laudację na cześć nagrodzonego wygłosiła redaktor naczelna miesięcznika „Nowe Państwo" Katarzyna Gójska, która na wstępie przypomniała, że Andrzej Duda jeszcze jako prezydent elekt odegrał ogromną rolę podczas szczytu NATO w Warszawie i to dzięki jego wysiłkom zapadły przełomowe decyzje dotyczące wzmocnienia wschodniej flanki Sojuszu Północnoatlantyckiego. – Później było kolejne bardzo ważne wydarzenie, czyli podpisanie umowy polsko-amerykańskiej, która dotyczyła stacjonowania wojsk Stanów Zjednoczonych na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej. To są decyzje, które doprowadziły do epokowych zmian – mówiła red. Gójska. – Nagroda jest za cały ten marsz, marsz ku maksymalnemu zabezpieczeniu Polski, marsz ku temu, żeby Rzeczpospolita Polska była krajem po pierwsze traktowanym tak samo jak inne państwa, chociażby Europy Zachodniej, a po drugie, żeby była państwem maksymalnie bezpiecznym – dodała szefowa miesięcznika „Nowe Państwo".

List prezydenta Dudy

Nagrodę w imieniu prezydenta Dudy odebrał minister Wojciech Kolarski, szef Biura Polityki Międzynarodowej w Kancelarii Prezydenta RP, który odczytał list skierowany przez głowę państwa do organizatorów i uczestników gali. „Jako środowisko ludzi mediów, liderów opinii, społeczników i aktywnych obywateli – skupionych wokół Telewizji Republika, miesięcznika »Niezależna Gazeta Polska – Nowe Państwo«, tygodnika »Gazeta Polska«, dziennika »Gazeta Polska Codziennie«, portalu Niezależna oraz Klubów »Gazety Polskiej« – nawiązują Państwo w swojej działalności do najlepszych polskich tradycji niepodległościowych. Od lat dają Państwo przykład zaangażowania na rzecz bodaj

8fb90d81



Od lewej w pierwszym rzędzie: minister Wojciech Kolarski, Matthew Schlapp i dr Karol Nawrocki.

najważniejszej spośród polskich spraw, tzn. oparcia życia politycznego i społecznego w naszym kraju na fundamencie dążenia do prawdy" – napisał prezydent Duda. Dalej podkreślił, iż jego „konsekwentna polityka w zakresie bezpieczeństwa Rzeczypospolitej i wzmocnienia roli Polski jako kluczowego ogniwa relacji transatlantyckich kłóci się z przekonaniami i interesami wpływowych sił na krajowej i międzynarodowej arenie politycznej". „Jednak wydarzenia ostatnich lat zweryfikowały słuszność moich zapatrywań – co, jak sądzę, potwierdza także przyznana mi nagroda. Ufam, że oczywista prawda o realnych podstawach bezpieczeństwa i rozwoju Polski skłoni współobywateli do wyciągania praktycznych wniosków dotyczących kierunku, w którym ma zmierzać Rzeczpospolita" – przekazał prezydent Andrzej Duda.

„Jesteśmy wskazani przez Waszyngton jako przykład"

Naszym mediom udało się porozmawiać w kuluarach z ministrem Kolarskim. – Prezydent stawia sprawę bezpieczeństwa i rozwoju jako najważniejsze cele polskiej polityki zagranicznej. I dziś jesteśmy wskazani przez Waszyngton jako przykład kraju, który najlepiej odpowiada na wyzwania, jakie niesie teraźniejszość poprzez wielkie wydatki na zbrojenia, wypełnianie zobowiązań, które kraje NATO-wskie przyjęły na siebie. Wypełniamy je z naddatkiem, bo 2 proc. wyznaczone przez szczyt NATO dawno zostały przekroczone, dziś Polska wydaje prawie 5 proc., a to proces rozpoczęty właśnie dzięki prezydentowi i doskonałej współpracy z rządami Zjednoczonej Prawicy – powiedział nam minister Kolarski.

CPAC w Polsce

Podczas wspomnianej uroczystości przyznane zostały także dwie inne nagrody – Człowiek Roku 2024 Klubów „Gazety Polskiej" oraz – po raz pierwszy w historii – Medal Republikański. Pierwsze wyróżnienie trafiło w ręce dr. Karola Nawrockiego za jego działalność jako prezesa Instytutu Pamięci Narodowej. Natomiast Medal Republikański przyznano Matthew Schlappowi i Mercedes Schlapp, organizatorom największej konferencji konserwatystów na świecie CPAC. Jednocześnie zapowiedziano, że kolejna edycja wydarzenia zostanie przygotowana w Polsce, i to w niedługim czasie. Przypomnijmy, że partnerem ostatniej odsłony CPAC była Telewizja Republika, a przemawiali na nim m.in. prezydent USA Donald Trump, wiceprezydent J.D. Vance oraz były premier RP Mateusz Morawiecki. ■

FOT. KONRAD FALEŃSKI/GAZETA POLSKA

eprasa.pl 828fb90d81

Marek Kalinowski

Midas z Notting Hill

To on odkrył talent Adele, a z The Prodigy i The White Stripes uczynił światowe gwiazdy. Teraz producent Richard Russell sam wchodzi w rolę muzyka, a do wspólnych nagrań zaprasza znanych współczesnych artystów. Posłuchajcie Florence Welch, Billa Callahana, Noah Cyrus i Kamasiego Washingtona na znakomitym jam session „Everything is Recorded".

Pod enigmatycznie brzmiącą nazwą Everything Is Recorded ukrywa się znany producent Richard Russell, promotor niezliczonej ilości płyt, które zrewolucjonizowały muzyczną scenę ostatnich lat. To właśnie pod szyldem jego niezależnej wytwórni – XL Recordings – ukazywały się kolejne albumy The Prodigy, The White Stripes czy solowe płyty frontmana Radiohead. Również Richard Russell odkrył talent nikomu jeszcze nieznanej Adele, a zapraszając ją na nagrania, otworzył jej drogę do światowej kariery. Cokolwiek by zresztą wydał, niemal natychmiast zamieniało się w złoto, zdobywając zarówno uznanie krytyki, jak i sukces na listach przebojów. Tak stało się z debiutującą formacją The XX czy udanym duetem sióstr z Ibey. Wreszcie Russellowi zawdzięczamy ostatnią płytę zapomnianego Gila Scotta-Herona, którego muzyka dalej inspiruje kolejne pokolenie wykonawców.



Everything is Recorded, RICHARD RUSSELL TEMPORARY, XL Recordings

Płyta „Temporary" jest trzecim wydawnictwem z serii Everything is Recorded, w którym Russell łączy rolę producenta, kompozytora i muzyka. Ma też niezawodny pomysł na nagrania. W londyńskim studiu w Notting Hill organizuje wspólne jam session mniej i bardziej znanych przedstawicieli różnorodnych muzycznych światów, a z utworów, które tam powstają, układa spójną i bez wątpienia wartą uwagi opowieść.

Na okładce albumu, ułożone niczym karty tarota, wizerunki artystów mogą sugerować główną myśl albumu – los, śmiertelność i przemijanie. Russell, choć otwarty na nowe brzmienia, postrzega wydawanie muzyki w sposób tradycyjny, traktując album jako jedną zamkniętą historię, zbudowaną z rozdziałów, które tworzą kolejne piosenki. Płyta jest przejmująca, z zarejestrowanymi głosami twórców, którzy już odeszli, choćby wspomnianego Scotta-Herona. Nie pozostawia jednak słuchaczy zupełnie bez nadziei, bo choć sami przemijamy, zostają po nas słowa, sztuka, muzyka.

„Temporary" jest dziełem spójnym, a równocześnie pełnym kontrastów, zderzeniem wyciągniętych z poprzedniej epoki nostalgicznych dźwięków, z kipiącymi energią nowoczesnymi samplami. Miejscem, gdzie surowy, chropowaty głos Billa Callahana spotyka się z czystym, anielskim wokalem Noah Cyrus w cudownej pieśni „Porcupine Tattoo".

Przy okazji Russelowi udaje się wciągnąć znanych artystów w nietypowe dla nich role. Jeśli kogoś męczą pompatyczne nagrania gwiazdy pop Florence Welch, to tutaj jej silny głos znakomicie wzmocni duet z Samphą, a za chwilę artystka zaskoczy jeszcze delikatnym występem w piosence „Firelight".

Jest też dobra wiadomość dla fanów współczesnego jazzu, bo oprócz kilku wejść saksofonu Alabastera DePlume, czeka nas również spotkanie z gwiazdą amerykańskiej sceny jazzowej – Kamasim Washingtonem. Jeśli jednak ktoś spodziewa się rozmachu na miarę jego autorskich płyt, to będzie znowu mocno zaskoczony. Tutaj otrzymujemy bowiem Washingtona w nietypowej dla siebie skromnej roli, bez towarzystwa rozbudowanej orkiestry i chóru.

Warto regularnie wracać do tych nagrań, bo wielością inspiracji i bogactwem dźwięków zaskoczą po wielokroć. ■

eprasa.pl 828fb90d81

Trump rozmontowuje Nowy Jedwabny Szlak

Hanna Shen



eprasa.pl 828fb90d81



Przejęcie od hongkońskiego miliardera portów w kanale Panamskim i Europie przez Amerykanów stanowi znaczące uderzenie w inicjatywę Nowego Jedwabnego Szlaku oraz osłabia globalne wpływy Chin.

FOT. ADOBE STOCK

W 2013 roku, gdy prezydent Chin Xi Jinping zaprezentował inicjatywę Nowego Jedwabnego Szlaku (NJS) jako ambitną wizję stworzenia sieci połączeń infrastrukturalnych, głównie lądowych i morskich korytarzy transportowych między Chińską Republiką Ludową a Europą, początkowy odbiór tego planu był niemal powszechnie pozytywny. Według danych z Pekinu, do połowy 2016 roku 57 krajów stało się aktywnymi uczestnikami inicjatywy NJS, z czego 30 z nich formalnie podpisało umowy o współpracy. Chiny twierdziły również, że utworzyły 75 zamorskich stref współpracy gospodarczej w 35 krajach biorących udział w tej inicjatywie. Chiński Bank Rozwoju informował, że „nadzoruje" ponad 900 projektów w 60 krajach, o łącznej wartości niemal 900 mld dolarów. Jednak w połowie 2017 roku, w trakcie pierwszej kadencji Donalda Trumpa jako prezydenta USA, krajobraz ten zaczął się zmieniać.

Do amerykańskiej krytyki Nowego Jedwabnego Szlaku dołączyły Indie, które w 2017 roku odmówiły udziału w pierwszym chińskim forum poświęconym tej inicjatywie, jednocześnie wyrażając publiczne obawy dotyczące jej skutków. Na sceptyczny stosunek Indii wobec NJS w dużym stopniu wpłynęły doświadczenia Sri Lanki, która po przyjęciu kilku zakrojonych na szeroką skalę chińskich inwestycji w porty i infrastrukturę, boryka się z szeregiem niezamierzonych konsekwencji strategicznych i gospodarczych. I tak na przykład kraj ten, nie mogąc spłacić zobowiązań wobec Pekinu, musiał mu oddać w leasing na 99 lat port Hambantota.

Po rosyjskiej agresji na Ukrainę w 2022 roku stało się jasne, że Nowy Jedwabny Szlak przyczynia się do pogłębienia współpracy między Moskwą a Pekinem oraz do stworzenia trwałego bloku antyamerykańskiego. Na trzecim forum NJS w 2023 roku głównym gościem był rosyjski zbrodniarz Władimir Putin. Podczas spotkania z Putinem, Xi Jinping podkreślił znaczenie kontynuacji kooperacji Chin z Rosją oraz wskazał na spójność celów Nowego Jedwabnego Szlaku i promowanej przez Rosję Euroazjatyckiej Unii Gospodarczej. Przywódca ChRL nie ukrywał również, że zaproszenie Putina na forum NJS miało na celu pogłębienie „partnerstwa bez granic" między Rosją a Chinami, ogłoszonego zaledwie kilka dni przed atakiem Kremla na Ukrainę.

Zaraz po tym forum Włochy, które jako jedyne państwo grupy G7 przystąpiły do Nowego Jedwabnego Szlaku w 2019 roku, wycofały się z tej inicjatywy. Po objęciu władzy przez Giorgię Meloni Rzym zaostrzył swoje stanowisko wobec Pekinu. Konserwatywna premier Włoch określiła przystąpienie swojego kraju do NJS jako „duży błąd", a minister obrony w jej rządzie, Guido Crosetto, nazwał to „okropnym czynem". Opuszczenie NJS ogłosiły też Filipiny. Do inicjatywy Manilę zgłosił prezydent Rodrigo Duterte, znany z prochińskiej polityki. W ramach Nowego Jedwabnego Szlaku Chiny, za rządów Duterte, zadeklarowały realizację projektów infrastrukturalnych na Filipinach o łącznej wartości 24 mld dolarów, jednak

Nowy Jedwabny Szlak ma kluczowe znaczenie dla Chin z perspektywy militarnej. Morskie szlaki w ramach NJS mają umożliwić Pekinowi projektowanie siły na Morzu Południowochińskim, Oceanie Indyjskim, w Zatoce Perskiej, wokół Afryki, a nawet na Morzu Bałtyckim.

Niebezpieczny szlak

W październiku 2017 roku ówczesny sekretarz obrony USA, James Mattis, po raz pierwszy zasygnalizował, że Stany Zjednoczone mają poważne obawy dotyczące Nowego Jedwabnego Szlaku, znanego również jako inicjatywa Pasa i Szlaku. „W zglobalizowanym świecie istnieje wiele ścieżek i dróg, a żaden naród nie powinien narzucać sobie »jednego pasa, jednej drogi«" – stwierdził Mattis w zeznaniach przed Senatem USA. Ówczesny sekretarz stanu, Rex Tillerson, zwrócił uwagę na „pułapkę długu", która zaczęła dotykać kraje zapraszające Chiny do inwestycji w ramach Nowego Jedwabnego Szlaku. Na początku 2018 roku ówczesny szef Dowództwa Sił Stanów Zjednoczonych w Indo-Pacyfiku, admirał Harry Harris, określił NJS jako „skoordynowane, strategiczne przedsięwzięcie Chin, mające na celu zdobycie przyczółku oraz wyparcie Stanów Zjednoczonych i naszych sojuszników oraz partnerów w regionie". Dodał, że inicjatywa ta daje Chinom „możliwość wpływania na globalne szlaki żeglugowe" oraz wywiera presję na „globalne wąskie gardła", takie jak kanał Panamski.

eprasa.pl 828fb90d81

niemal żaden z nich nie został zrealizowany. Następca Duterte, Ferdinand Marcos, zdecydował się na zacieśnienie sojuszu z USA, rezygnując z „polityki miłości" wobec Pekinu oraz z udziału swojego kraju w projekcie Nowego Jedwabnego Szlaku. To jednak nie był koniec ciosów wymierzonych w chińską inicjatywę na arenie międzynarodowej.

▶ Panama opuszcza Nowy Jedwabny Szlak

Już na początku swojej drugiej kadencji Donald Trump ponownie skoncentrował się na Nowym Jedwabnym Szlaku. Główne przesłanie sekretarza stanu Marco Rubio podczas jego lutowej wizyty w Panamie brzmiało: kraj ten zdecydowanie musi ograniczyć chińskie wpływy na swoim terytorium. Jeszcze w czasie pobytu Rubio w Panamie prezydent tego kraju, José Raul Mulino, ogłosił, że Panama wycofuje się z chińskiej inicjatywy Nowego Jedwabnego Szlaku. Kraj ten przystąpił do projektu w 2018 roku jako pierwszy w regionie Ameryki Łacińskiej. Rok wcześniej, pod wpływem presji ze strony Chin, zerwał relacje dyplomatyczne z Tajwanem, na rzecz nawiązania współpracy z Chińską Republiką Ludową. Za tym wszystkim posypały się chińskie obietnice ambitnych inwestycji. Na przykład Pekin w ramach Nowego Jedwabnego Szlaku planował wybudować 250-kilometrową linię szybkiej kolei łączącą stolicę Panamy z zachodnią granicą Kostaryki. Konsorcjum chińskich firm, na czele z konglomeratem Land Bridge, mającym swoją główną siedzibę w prowincji Shandong, rozpoczęło budowę nowoczesnego portu kontenerowego, który miał stać się najnowocześniejszym obiektem tego typu w Panamie.

Według komunikatu prasowego panamskiego rządu, na początku 2018 roku chiński urzędnik, który odwiedził Panamę, oznajmił ówczesnemu prezydentowi Juanowi Carlosowi Vareli, że „nawiązanie stosunków dyplomatycznych z Panamą było najważniejszym osiągnięciem dyplomatycznym Chin w 2017 roku". I rzeczywiście, Panama stała się centrum szczególnej uwagi prezydenta Xi Jinpinga, zarówno ze względu na swoje wcześniejsze relacje z Tajwanem, jak i na możliwość poszerzenia chińskich wpływów w Ameryce Łacińskiej poprzez inwestycje NJS. Dodatkowo Chiny wyczuły, że mogą przejąć całkowitą kontrolę nad kanałem Panamskim.

Trump jednak pokrzyżował te plany. Wystąpienie Panamy z Nowego Jedwabnego Szlaku oraz przyznanie amerykańskiej firmie inżynieryjnej Aecom nowego kontraktu na zaktualizowanie planu budowy linii kolejowej łączącej Panamę z Kostaryką to ciosy, których Pekin się nie spodziewał. To jednak nie były ostatnie uderzenia w interesy Chin i w Nowy Jedwabny Szlak.

▶ Amerykanie zabierają kanał Panamski Chińczykom

Nowy Jedwabny Szlak ma kluczowe znaczenie dla Chin z perspektywy militarnej. Morskie szlaki w ramach NJS mają umożliwić Pekinowi projektowanie siły na Morzu Południowochińskim, Oceanie Indyjskim, w Zatoce Perskiej, wokół Afryki, a nawet na Morzu Bałtyckim. Istotnym przyczółkiem dla Pekinu stał się kanał Panamski, który odgrywa ważną rolę w militarnych i gospodarczych interesach USA. Stanowi on kluczowe przejście dla okrętów wojennych oraz ładunków pomiędzy Oceanem Atlantyckim a Pacyfikiem.

kanał Panamski, zbudowany przez Amerykanów, pozostawał pod ich jurysdykcją do 1999 roku, kiedy to umowa podpisana przez prezydenta Cartera w 1977 roku przyznała Panamie prawa do tego terytorium. Porozumienie z 1977 roku składa się z dwóch traktatów: traktatu o kanale Panamskim oraz traktatu o stałej neutralności i eksploatacji kanału Panamskiego, znanego również jako traktat o neutralności. Ten drugi stwierdza, że USA mają prawo użyć swoich sił zbrojnych do ochrony kanału Panamskiego przed jakimkolwiek zagrożeniem dla jego neutralności, co w praktyce umożliwia Stanom Zjednoczonym nieprzerwane korzystanie z tej drogi wodnej. Trump twierdzi, że Panama naruszyła traktat o neutralności, ponieważ Chiny zyskały wpływy w zarządzaniu tym szlakiem.

ChRL w dużej mierze zawdzięcza obecność w kanale Panamskim współpracy Pekinu z urodzonym w Chinach hongkońskim miliarderem Li Ka-Shingiem. To właśnie jego firma, CK Hutchinson Holdings, już w 1997 roku podpisała z Panamą umowę na dzierżawę dwóch portów: Balboa po stronie Pacyfiku oraz Cristobal po stronie Atlantyku. W 2021 roku porozumienie to zostało przedłużone o dodatkowe 25 lat. Współpraca Li Ka Shinga, którego najstarszy syn, Victor Li Tzar-kuoi, jest członkiem Ludowej Politycznej Konferencji Konsultatywnej Chin – organu doradczego komunistycznych władz tego kraju, sprawiła, że chińskie wpływy w kanale Panamskim stały się poważnym zagrożeniem dla bezpieczeństwa narodowego nie tylko Stanów Zjednoczonych. Pekin mógł na przykład opóźniać dostawy z USA w przypadku konfliktu o Tajwan.

Już podczas lutowej wizyty Marco Rubio w Panamie pojawiły się informacje, że kraj ten zamierza renegocjować umowę przedłużoną z CK Hutchinson w 2021 roku. Miesiąc później nadeszła wiadomość, której mało

eprasa.pl 828fb90d81

kto się spodziewał, a na pewno nie Pekin. Li Ka Shing zgodził się na sprzedaż 90 proc. swoich udziałów w dwóch kluczowych portach kanału Panamskiego grupie kierowanej przez amerykańską firmę inwestycyjną BlackRock. Partnerem Amerykanów w tej transakcji jest Terminal Investment Limited, spółka zależna szwajcarsko-włoskiego Mediterranean Shipping Company – MSC, największego na świecie armatora. W ten sposób już na początku drugiej kadencji Trumpa Amerykanie zaczęli odzyskiwać kontrolę nad kanałem Panamskim, co wywołało furię w Pekinie.

Li Ka Shing został przez władze chińskie określony mianem zdrajcy. W serii komentarzy opublikowanych w „Ta Kung Pao", hongkońskiej gazecie należącej do rządu Hongkongu oraz KPCh, argumentowano, że porozumienie CK Hutchinson z BlackRock umożliwi Waszyngtonowi „wykorzystanie go do celów politycznych i promowanie własnego programu politycznego". W rezultacie chińska żegluga i handel mogą stać się „podległe Stanom Zjednoczonym". Odezwał się również John Lee, szef administracji Hongkongu, który zagroził, że jego rząd może wykorzystać obowiązujące w tej byłej brytyjskiej kolonii przepisy prawne do zablokowania transakcji. Eksperci jednak twierdzą, że ani Pekin, ani Hongkong nie dysponują takimi możliwościami. Poruszenie komunistycznych władz Chin jest ogromne, ponieważ umowa Amerykanów z Li Ka Shingiem dotyczy nie tylko kanału Panamskiego. To krok, który ma pomóc administracji Trumpa w rozmontowywaniu Nowego Jedwabnego Szlaku.

Deal ważny dla Polski

Kontrola nad zagranicznymi portami, uzyskana przez Chiny w ramach inicjatywy Nowego Jedwabnego Szlaku, umożliwia Pekinowi wpływanie na światowy handel i logistykę. W przyszłości porty te mogą być wykorzystywane także do celów militarnych. Odcięcie Chin od nadzoru nad portami w Europie, na Bliskim Wschodzie i w Ameryce Południowej doprowadzi do zablokowania chińskiej inicjatywy. I to rozpoczął Trump, doprowadzając do umowy z Li Ka Shingiem. Oprócz aktywów portu w Panamie, amerykański kontrakt obejmuje również 80-procentowy kontrolny udział w globalnej sieci portów CK Hutchinson, która składa się z 43 portów w 23 krajach, m.in. w Holandii (Rotterdam, Amsterdam, Velsen, IJmuiden), Belgii (Antwerpia), Wielkiej Brytanii (Felixstowe, Londyn, Harwich), Niemczech (Duisburg), Szwecji (Sztokholm), Hiszpanii (Barcelona), a także w Australii, Korei Południowej, Meksyku, Arabii Saudyjskiej i Zjednoczonych Emiratach Arabskich.

Amerykański pakiet obejmie również Gdynia Container Terminal (GCT), który przeszedł w ręce Li Ka Shinga w 2005 roku, pod koniec rządów SLD. Obecność CK Hutchinson w polskim porcie okazała się niebezpieczna, co potwierdza sytuacja z 2023 roku, kiedy to hongkońska firma najpierw odmówiła zacumowania amerykańskiemu okrętowi wojennemu MV „Cape Ducato" w gdyńskim porcie, a następnie zgodziła się na to, ale tylko pod warunkiem zapłaty przez Amerykanów kwoty przekraczającej 100 tys. euro. Ostatecznie problem został rozwiązany bez konieczności korzystania z nabrzeża kontrolowanego przez CK Hutchinson.

Kontrola nad zagranicznymi portami, uzyskana przez Chiny w ramach inicjatywy Nowego Jedwabnego Szlaku, umożliwia Pekinowi wpływanie na światowy handel i logistykę. W przyszłości porty te mogą być wykorzystywane także do celów militarnych.

Umowa Amerykanów sprawia, że usunięcie z Gdyni i innych portów w Europie firmy w pełni podległej Pekinowi będzie miało kluczowe znaczenie dla bezpieczeństwa Starego Kontynentu, którego porty obsługują nie tylko miliony ton towarów konsumpcyjnych, lecz także transporty dla armii, w tym dla wojsk NATO. W przypadku Polski rozmontowanie NJS oraz zwiększona obecność Amerykanów w GCT będą oznaczać, że port w Gdyni stanie się hubem dostaw militarnych dla wschodniej flanki NATO. Jak stwierdza w swojej analizie Ośrodek Studiów Wschodnich, otworzy to nas także na inne możliwości współpracy, bo wpłynie „na wzrost liczby połączeń żeglugowych z gdyńskim portem zarówno MSC, jak i współpracującego z nim w ramach serwisów między Europą a Azją oraz basenem Morza Śródziemnego a Azją sojuszu Premier Alliance, złożonego z linii kontenerowych japońskiego Ocean Network Express, południowokoreańskiego HMM i tajwańskiego Yang Ming". ■

eprasa.pl 828fb90d81



FOT. PIOTR GALANT/GAZETA POLSKA

Dziki putinizm. Jak wojna zmieniła Rosję

oprac. Antoni Rybczyński

„Dzisiejszego Putina można porównać do konstrukcji nośnej domu. Jego rola jest podobna do roli ścian nośnych, na których wszystko spoczywa. W oczach rosyjskich elit, także tych niezadowolonych z prezydenta, Putin jest postrzegany jako gwarancja, że wszystko się nie zawali. Ale ważne jest, aby odróżnić to od rzeczywistej gwarancji stabilności" – pisze Tatiana Stanowaja, analizując to, jak wojna zmieniła reżim i elity Rosji. Te zmiany mogą utrudnić sprawny transfer władzy – a analitycy już mają swojego faworyta do roli następcy Putina. Niezależnie jednak od tego, kto zasiądzie na Kremlu, Rosja się nie zmieni. Jest skazana na konfrontację z Zachodem.

W Rosji nie o wszystkim, ale o bardzo wielu sprawach decyduje rząd. Byli odpowiedni władcy, w tym okrutni tyrani, jak Piotr Wielki, i byli nieodpowiedni, jak Iwan Groźny: niezwykle okrutny i szalony, zabijał swoich poddanych, eksterminował swoich przełożonych w dużym stopniu, przegrywał wojny – a jednak nikt go nie obalił. Był postrzegany jako naturalny element, który należy tolerować, i zasiadał na tronie przez 50 lat, aż do śmierci. Putin należy do tej kategorii" – pisze petersburski analityk polityczny Siergiej Szelin w książce „Fascynująca Rosja. 228 odpowiedzi", w której stara się on zrozumieć, dlaczego Rosja rozwinęła taki typ rządów, jaki obserwujemy obecnie, i czy istnieje jakakolwiek nadzieja na wyrwanie jej z wielowiekowej koleiny „szczególnej drogi", która niezmiennie prowadzi kraj do despotyzmu i represji (Siergiej Szelin, „»Po Putinie zostaną zgliszcza«. 228 odpowiedzi na wszystkie pytania dotyczące Rosji", Siewier Realii, 23 stycznia 2025).

„Prezydent Rosji Władimir Putin jest niezmiennie opisywany przez zewnętrznych obserwatorów i urzędników jako silny przywódca znany z trzymania żelaznej ręki na sterze. Jednak rzeczywistość bardzo różni się od tego pochlebnego dla niego samego portretu. Coraz częściej osobista rola Putina w rutynowej polityce wewnętrznej jako głowy państwa jest dominowana przez taktyczne manewry, a nie przez podejmowanie ważnych decyzji. Problem z takim podejściem do rządzenia polega na tym, że nieumyślnie zmusza ono Putina do znajdowania się w niewygodnych sytuacjach, w których dokonanie jasnego wyboru może wydawać się zbyt niebezpieczne. Ten stan rzeczy wyjaśnia, dlaczego codzienne rosyjskie zarządzanie polityczne zbyt często prowadzi do ciągłej dwuznaczności, półśrodków i inercji. W ciągu ostatnich dwóch lat było wiele takich sytuacji, w których Putin powstrzymywał się od dokonania jasnego wyboru. Niektóre z tych wahań drogo go kosztowały. Na przykład nieudany bunt przywódcy najemników Jewgienija Prigożyna był wyraźnym przykładem konsekwencji niechęci Putina do rozwiązywania sytuacji" (Tatiana Stanowaja, „Era dzikiego putinizmu: jak wojna zmienia rosyjski reżim i elity", Carnegie Endowment, 30 stycznia 2025).

Dziki putinizm

Stanowaja zwraca uwagę, że jeszcze przed wojną władza Putina wykazywała oznaki erozji. „Istniały oznaki, że rola Putina jako ostatecznego arbitra w ważnych sporach i decyzjach politycznych była ograniczana. Widzieliśmy to podczas pandemii COVID-19 i obserwujemy to ponownie teraz, gdy regiony muszą samodzielnie radzić sobie ze społeczno-finansowymi konsekwencjami wojny. Po powrocie na Kreml w 2012 roku Putin stopniowo zaczął delegować większość rutynowych zadań na innych członków zespołu, często wyglądając na niezaangażowanego lub niezainteresowanego swoimi zwykłymi obowiązkami. Z czasem postanowił skupić się na tym, co Kreml lubi nazywać kwestiami »na poziomie prezydenckim« i niszowymi obszarami osobistych zainteresowań, takimi jak genetyka, biologia czy kosmos. Ten wzorzec prezydenckiego zaangażowania otworzył drzwi do sytuacji, zwłaszcza po pełnej inwazji na Ukrainę w lutym 2022 roku, w której władza wewnętrzna Kremla, choć nadal centralna, jest coraz bardziej równoważona przez gorliwe, oddolne inicjatywy. Oderwanie Putina od obaw związanych z polityką wewnętrzną, w połączeniu ze zmniejszoną wrażliwością na naciski elit i społeczeństwa, czasami prowadziło do pochopnych decyzji bez uwzględnienia długoterminowych konsekwencji. W ten sposób Putin stworzył jeszcze więcej miejsca na nieskoordynowane działania na niższych szczeblach. […] Po aneksji Krymu na początku 2014 roku pojęcie stabilności w elitach zaczęło się zmieniać. Przewidywalny rozwój społeczno-gospodarczy oparty na zasadach rynkowych i ugruntowanym systemie politycznym szybko ustąpił w obliczu wstrząsów geopolitycznych, w tym sankcji gospodarczych USA–UE, rosyjskiej interwencji wojskowej w syryjskiej wojnie domowej, rosyjskiej ingerencji w wybory prezydenckie w USA w 2016 roku oraz tlącego się konfliktu w Donbasie. Rozpoczęcie wojny na pełną skalę przeciwko Ukrainie oraz bezprecedensowe zachodnie sankcje i samoizolacja, które po niej nastąpiły, były z pewnością dużym szokiem dla elit. Ale same w sobie nie zakłóciły wewnętrznej równowagi Rosji. W pierwszym roku wojny poparcie elit i społeczeństwa dla reżimu nie załamało się. Rzeczywiście, wszystko zostało szybko zmodyfikowane, aby dostosować się do nowego stanu rzeczy – ku uldze wielu elit" (T. Stanowaja, „Era dzikiego putinizmu…").

To tylko jeden z powodów, dla których Rosja nie jest zainteresowana zakończeniem wojny w Ukrainie. „Kierownictwo Kremla, które pod względem składu i funkcji staje się coraz bardziej podobne do Biura Politycznego późnego Związku Sowieckiego, obawia się, że zakończenie wojny z Ukrainą może prowadzić do konsekwencji podobnych do tych po zakończeniu wojny w Afganistanie. […] Spuścizna wojny w Afganistanie stworzyła pokolenie rozcza-

eprasa.pl 828fb90d81

rowanych i zmarginalizowanych weteranów, co jest scenariuszem, którego powtórzenia Kreml może obawiać się w przypadku wojny na Ukrainie. Od 2023 roku Rosja odnotowała gwałtowny wzrost liczby przestępstw z użyciem przemocy wśród osób, które powróciły po udziale w operacjach bojowych na Ukrainie. Podobny wzrost przestępczości zaobserwowano w latach 90. XX wieku po powrocie żołnierzy z Afganistanu" („Dlaczego Rosja boi się pokoju: Ekonomiczne, społeczne i polityczne ryzyko zakończenia wojny na Ukrainie", Robert Lansing Institute, 4 marca 2025). „Oderwanie Putina od wyzwań społecznych i gospodarczych, które było już widoczne, zostało teraz pogłębione przez wojnę. Sprawę dodatkowo komplikuje ostrzejsze i bardziej lekceważące podejście Putina do interesów elity. Obecne priorytety finansowe i budżetowe Kremla, polegające na zapewnieniu stabilności i odporności kraju, zostały narzucone kosztem sektora prywatnego i dużych przedsiębiorstw państwowych. Różne części sektora prywatnego, takie jak deweloperzy i koncerny przemysłowe, są wściekłe z powodu miażdżącego ciężaru nieustannych podwyżek podatków i rosnących stóp procentowych. Jednocześnie trudności gospodarcze, przed którymi stoi sektor prywatny i główni gracze biznesowi, w połączeniu z brakiem skutecznych dźwigni wpływających na decyzje polityczne i erozją ustalonych reguł gry, skłaniają wielu do podejmowania niezależnych działań w celu ochrony własnych interesów. Dynamika ta jest wyraźnie widoczna w postępowaniu z aktywami należącymi wcześniej do zagranicznych firm, które opuściły rosyjski rynek po inwazji na Ukrainę. Na przykład Umar Kremlow, wcześniej nieznana postać, stał się właścicielem firmy Rolf, największego rosyjskiego sprzedawcy samochodowego. Wzrost znaczenia Kremlowa można przypisać jego bliskim powiązaniom z Aleksiejem Rubieżnojem, szefem Służby Bezpieczeństwa Prezydenta. […] Innym uderzającym trendem jest rewizja umów prywatyzacyjnych z lat 90. XX wieku, co jest sprzeczne z wielokrotnymi zapewnieniami Putina, że takie odwrócenie nigdy nie nastąpi. Były już dziesiątki takich przypadków, sygnalizujących głęboką zmianę w podejściu państwa do własności i zarządzania. Ta nowa rzeczywistość zmusza graczy do przystosowania się do warunków niepewności i znacznie zmniejszonej przewidywalności. W latach 90. XX wieku powszechnie mówiło się o dzikim kapitalizmie. Obecnie jesteśmy świadkami nadejścia tak zwanego dzikiego putinizmu. W tych warunkach nikt nie wie, co może przynieść jutro. Każdy musi być przygotowany na aresztowanie lub uwięzienie w każdej chwili, niezależnie od stanowiska i rangi. W poprzednich latach to podejmowanie inicjatywy mogło wiązać się z ryzykiem politycznym. W dzisiejszej Rosji to bezczynność i bierność stają się niebezpieczne" (T. Stanowaja, „Era dzikiego putinizmu…").

PUTIN LEPIEJ NIŻ KTOKOLWIEK INNY ROZUMIE STRUKTURĘ SWOJEGO REŻIMU, W KTÓRYM WŁADZA JEST PODZIELONA MIĘDZY KILKA POTĘŻNYCH KLANÓW JEGO PRZYJACIÓŁ, KOLEGÓW Z KGB I SPARINGPARTNERÓW JUDO.

▶ Demontaż klanów

„Największym źródłem napięć w rosyjskich elitach w 2024 roku była czystka w Ministerstwie Obrony. Minister obrony Siergiej Szojgu został przeniesiony na inne stanowisko, a w ciągu wielu miesięcy zatrzymano kilkudziesięciu urzędników, w tym trzech byłych wiceministrów obrony. […] Aby przyspieszyć proces usuwania zastępców z czasów Szojgu, Kreml zdecydował się na metodę, którą można określić jako „rotację poprzez represje". Nie jest to nowe podejście, ale skala tego, co wydarzyło się w Ministerstwie Obrony, jest bezprecedensowa. Czystka nie tylko przekierowała przepływy pieniędzy związanych z ministerstwem, ale także doprowadziła do demontażu całego klanu Szojgu. Chociaż on sam wydaje się – na razie – być pod osobistą ochroną Putina. […] Dając zielone światło dla aresztowań, Putin prawdopodobnie nie spodziewał się, że śledczy podejdą do swojego zadania z takim entuzjazmem. Ale rywalizacja między rosyjskimi organami bezpieczeństwa jest głęboka, a Federalna Służba Bezpieczeństwa i Komitet Śledczy przez lata

eprasa.pl 828fb90d81

nagromadziły wiele haków na wojsko i resort obrony. […] Oczywiście Putin mógłby wezwać do zaprzestania działań. Ale nie wygląda na to, by prezydentowi się do tego spieszyło. Jedną z możliwości jest to, że Putin chce, aby Szojgu obserwował demontaż całego swojego klanu, ponieważ obwinia go za złe zarządzanie konfliktem elit, który doprowadził do buntu Prigożyna w 2023 roku. […] Podział przepływów finansowych między konkurującymi ze sobą grupami w taki sposób nigdy wcześniej nie miał miejsca w jednym podmiocie, takim jak Ministerstwo Obrony. Tradycyjnie całe sektory, zasoby lub regiony Rosji były przekazywane jednej elitarnej grupie. Logika była taka, że pomagało to zapobiegać konfliktom między elitami. Nowe podejście nieuchronnie doprowadzi do zwiększonej konkurencji między elitami. Plan Kremla prawdopodobnie zakłada, że pomoże to zwiększyć efektywność wydatków wojskowych. Istnieje jednak druga strona: inne grupy będą teraz obawiać się, że zostaną potraktowane w taki sam sposób jak klan Szojgu. […] Likwidacja głównych klanów i zachęcanie do rywalizacji między elitami może stać się podejściem, które Kreml zacznie stosować na szerszą skalę. Byłby to logiczny sposób na dostosowanie się do stanu długiego impasu w relacjach z Zachodem. Ale doprowadziłoby to również do jeszcze większej personalizacji władzy w Rosji i zwiększenia niepewności wśród elit" (Michaił Komin, „Bezprecedensowa czystka w Ministerstwie Obrony wywołuje niepokój wśród rosyjskiej elity", Carnegie Endowment, 31 stycznia 2025).

„Spadkobierca"

„Niecały rok temu Putin został ponownie wybrany na kolejną sześcioletnią kadencję. Dla rosyjskich elit kwestia następcy zmieniła się z tabu na coraz bardziej nieistotną. Logika może wydawać się trudna do zrozumienia, ale należy wziąć pod uwagę następujące kwestie. Przez wiele lat rosyjskie elity przyzwyczaiły się do koncepcji wiecznego Putina i do tego, że angażowanie się w widoczne manewry przed sukcesją było niebezpieczne, jeśli nie lekkomyślne. Jednak im starszy staje się Putin i im bardziej odrywa się od codziennego podejmowania decyzji, tym mniej rosyjskie elity wierzą, że będzie chciał lub będzie w stanie zagwarantować stabilne przekazanie władzy swojemu następcy. Dlatego też postawy różnych graczy dotyczące ewentualnego przejścia do ery postputinowskiej coraz częściej służą jako narzędzie manipulacji politycznej i walki. W końcu wybór następcy to tylko połowa sukcesu: trzeba go koronować i zapewnić mu zasoby i znaczenie polityczne. Im później Putin zajmie się tą operacją, tym słabsza będzie jego kontrola nad procesem i tym mniejsze znaczenie może mieć jego następca (T. Stanowaja, „Era dzikiego putinizmu…").

Putin lepiej niż ktokolwiek inny rozumie strukturę swojego reżimu, w którym władza jest podzielona między kilka potężnych klanów jego przyjaciół, kolegów z KGB i sparingpartnerów judo. Przez 25 lat rządzenia Rosją klany te walczyły ze sobą o strefy wpływów, zasoby, a przede wszystkim o bliskość samego Putina, który był arbitrem ich konfliktów. Główną słabością tego modelu rządów jest jego zależność od życia Putina: w przypadku jego śmierci lub nawet znacznego osłabienia, równowaga sił zostałaby zachwiana i rozpoczęłaby się nieunikniona wojna wszystkich przeciwko wszystkim. Im będzie starszy i im dłużej będzie odkładał kwestię przekazania władzy, tym większe ryzyko, że jeden z klanów będzie próbował przejąć władzę, zanim zrobi to ktoś inny. Komu w takim razie Putin mógłby pozostawić w spadku fotel prezydencki? Po pierwsze, powinna to być osoba, której absolutnie ufa, ktoś, kto otrzymawszy władzę prezydencką w swoje ręce, nie zdradzi swojego dobroczyńcy. Po drugie, spadkobierca musi nabożnie wierzyć w nieomylność swojego idola i bezwarunkowo wypełniać jego wolę. Po trzecie, nie powinien należeć do starych wpływowych klanów, ponieważ może to spowodować zamieszanie. Po czwarte, powinien mieć znaczące zasługi dla Putina osobiście i dla Rosji (w rozumieniu Putina). Po piąte, spadkobierca musi być zgodny z wizerunkiem kraju, który kształtuje Putin. Sądząc po tym, że rosyjskie dzieci są indoktrynowane ideami przywódcy od przedszkola, gdzie „bohaterowie specjalnej operacji wojskowej" opowiadają o tym, jak zniszczyli banderowców w Ukrainie dla chwały ojczyzny, Rosja przyszłości Putina to przesiąknięta propagandą militarystyczna dyktatura. Dziś w Rosji, moim zdaniem, tylko jedna osoba spełnia wszystkie te wymagania – były ochroniarz Putina Aleksiej Diumin. Przez wiele lat nie opuszczał Putina ani w dzień, ani w nocy; strzegł jego spokoju w tajdze i zapobiegał utonięciu w oceanie; wykonywał najdelikatniejsze zadania i był gotów poświęcić się dla niego. Putin ufa mu bezwarunkowo. W niedalekiej przyszłości – według standardów historycznych – Rosja wkrótce stanie w obliczu swoistego duumwiratu w osobie ojca narodu siedzącego na piedestale własnej wielkości i młodego „bohatera-generała" wiernie wypełniającego jego wolę. Razem przygotują kraj do nowej wielkiej wojny. Ponieważ nie mają nic innego do zaoferowania (Roman Anin, „Kto będzie następcą

eprasa.pl 828fb90d81

Putina i co będzie z Rosją?", Ważnyje Istorii, 5 lutego 2025).

Nie ma odwrotu

„Nie ma już odwrotu: Putin już przekształcił rosyjskie społeczeństwo, gospodarkę i politykę zagraniczną, aby lepiej przygotować Kreml do walki z Zachodem. Po zaakceptowaniu miana nieuczciwego reżimu, Rosja jest teraz jeszcze mniej skłonna do dostrzegania potrzeby samoograniczeń. […] Putin zmienił Rosję w sposób, który zapewni, że pozostanie ona wyzwaniem dla Zachodu tak długo, jak będzie u władzy i prawdopodobnie znacznie dłużej. Konfrontacja jest teraz znakiem rozpoznawczym rosyjskiej polityki zagranicznej, a Putin powołuje się na »egzystencjalną walkę« swojego kraju z Zachodem, aby usprawiedliwić swój reżim i jego działania. Ta idea rosyjskiej cywilizacji w ciągłym konflikcie z zachodnimi wrogami wzmacnia ideologiczne podstawy jego rządów – źródło legitymacji, której potrzebuje teraz, aby zabezpieczyć swoją władzę. […] Wydatki Rosji na obronę mają osiągnąć najwyższy poziom od upadku Związku Sowieckiego, ze 145 mld dolarów przeznaczonymi w budżecie na 2025 rok – równowartość 6,3 proc. PKB i ponaddwukrotnie więcej niż 66 mld dolarów, które Rosja przeznaczyła na obronę w 2021 roku, rok przed inwazją. A prawdziwa kwota takich wydatków będzie de facto wyższa, prawdopodobnie przekraczając 8 proc. PKB, po uwzględnieniu innych, nieoficjalnych form wydatków związanych z obronnością. […] Wojna stała się mechanizmem transferu bogactwa, kierującym pieniądze do biednych regionów Rosji, a wiele elit gospodarczych przeniosło się do sektora obronnego, aby zarobić na lukratywnych możliwościach. Elity dostosowały się już do obecnej konfiguracji systemu, umożliwiając im nie tylko przetrwanie, ale i czerpanie z niego zysków. Po bolesnym przestawieniu gospodarki na wojenne tory i odczuciu presji nowych interesów, Putin raczej nie cofnie szybko tych zmian. Po zakończeniu walk na Ukrainie będzie on prawdopodobnie szukał uzasadnienia dla kontynuacji gospodarki wojennej. […] Sytuację dodatkowo komplikuje skłonność Kremla zarówno do podejmowania ryzyka, jak i do błędnych kalkulacji. Już teraz Moskwa poważnie pomyliła się w ocenie swojej zdolności do szybkiego pokonania ukraińskiej armii i zachwiania determinacji Zachodu. Autokraci tacy jak Putin, są typem przywódców najbardziej skłonnych do popełniania błędów, po części dlatego, że otaczają się ludźmi, którzy mówią im to, co chcą usłyszeć" (Andrea Kendall-Taylor, Michael Kofman, „Punkt bez powrotu Putina. Jak nieodhaczona Rosja rzuci wyzwanie Zachodowi", „Foreign Affairs", 18 grudnia 2024). Jak pisze Stanowaja, „niezależnie od planów i pomysłów samego Kremla, kraj podąża w kierunku »patriotycznego« bezprawia, w którym kluczem do sukcesu nie będzie bliskość z Putinem lub jego współpracownikami, ale gotowość do działania zgodnie z credo »siła czyni dobro« – choć pod flagą putinizmu. Putin nie tylko nie jest potrzebny do tej transformacji; w rzeczywistości może nawet okazać się przeszkodą".

„Wojna stopniowo przekształciła krajowy krajobraz polityczny w taki, w którym nikt nie jest bezpieczny i nikt nie jest wystarczająco wpływowy, aby czuć się bezpiecznie. Ze starzejącym się prezydentem, zmniejszonym szacunkiem dla reguł gry i niepisanych gwarancji oraz wysoce nieprzewidywalnym środowiskiem geopolitycznym, dalsza degeneracja rosyjskiego życia politycznego wydaje się nieunikniona, ponieważ przyszłość Putina staje się coraz bardziej zakładnikiem nieprzewidywalnej dynamiki wewnętrznej". Jak zaś pisze Szelin, „Stalin dostosował do siebie system państwowy ZSRS, a następnie go strzegł. Putin nienawidzi instytucji państwowych Federacji Rosyjskiej i zdołał je wszystkie zniszczyć. Po Stalinie była totalitarna dyktatura, po Putinie będą ruiny". ■

„Stalin dostosował do siebie system państwowy ZSRS, a następnie go strzegł. Putin nienawidzi instytucji państwowych Federacji Rosyjskiej i zdołał je wszystkie zniszczyć. Po Stalinie była totalitarna dyktatura, po Putinie będą ruiny".

eprasa.pl 828fb90d81

Hanna Shen



Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim i wokół niego? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

Tajwan

Zdobywczyni Oscara, aktorka Michelle Yeoh, wywołała niezadowolenie wśród Tajwańczyków, gdy w poście na mediach społecznościowych zasugerowała, że stolica Tajwanu jest częścią Chin.

Tajwan nie jest uznawany dyplomatycznie przez większość krajów, mimo że jest samorządną demokracją liczącą 23 mln mieszkańców, posiadającą własne granice, walutę, rząd i armię. Wyspa jest również wykluczona z ONZ oraz głównych organizacji światowych z powodu nacisków Chin, które dążą do tego, aby Tajwan nie był uznawany za odrębne państwo. Pekin traktuje wyspę jako zbuntowaną prowincję. W wyniku presji ChRL tajwańscy sportowcy muszą zazwyczaj reprezentować swoje barwy na najważniejszych wydarzeniach sportowych jako przedstawiciele „chińskiego Tajpej". Takiego określenia użyła Michelle Yeoh: „Dziękuję, Tiffany, za zaproszenie do chińskiego Tajpej" – napisała w postach na Instagramie i Facebooku, odnosząc się do imprezy, którą z jej udziałem zorganizowała znana firma zajmująca się sprzedażą biżuterii Tiffany & Co. Na odpowiedź Tajwańczyków w mediach społecznościowych nie trzeba było długo czekać. „Nigdy nie słyszałam o mieście o nazwie Tajpej w Chinach, tylko na Tajwanie. Jestem zaskoczona, Michelle" – napisała użytkowniczka Instagrama o pseudonimie amidsummernightdream. „Jeśli chcesz być Chinką, to bądź nią sama. Po co zmuszać do tego innych?" – skomentował inny użytkownik mediów społecznościowych.

Yeoh nie jest pierwszą gwiazdą, która wpadła w tarapaty z powodu komentarzy na temat Chin i Tajwanu. Aktor kina akcji z Hongkongu, Jackie Chan, wywołał oburzenie na Tajwanie w 2004 roku, gdy określił wybory prezydenckie na wyspie jako „największy żart na świecie". Jego słowa doprowadziły do protestów podczas wizyty w Tajpej.

Tymczasem w 2021 roku Hollywoodzki aktor i wrestler John Cena doświadczył ostrych reakcji ze strony Pekinu, gdy podczas wywiadu promującego dziewiątą część serii filmów „Szybcy i wściekli", nazwał Tajwan „krajem". W wyniku presji ze strony Chin musiał wygłosić oficjalne przeprosiny w języku mandaryńskim. Były zawodnik NBA, Dwight Howard, również wywołał kontrowersje w 2023 roku, gdy w filmie promocyjnym określił Tajwan jako „kraj". Po krytyce ze strony Chin również on zdecydował się na przeprosiny.

Chiny zwiększyły presję dyplomatyczną i gospodarczą na Tajwan od momentu objęcia władzy przez administrację byłej prezydent Tsai Ing-wen w 2016 roku. Tsai oraz jej partia DPP odmówiły uznania zasady „jednych Chin", według której Tajwan i ChRL mają być traktowane jako jedna całość. Obecny prezydent Lai Ching-te, określany przez Pekin jako separatysta i wichrzyciel, kontynuuje to stanowisko. W przemówieniu w połowie marca Lai, po raz pierwszy jako przywódca Tajwanu, określił Chiny jako „wrogą siłę obcą". Na wyspie rośnie również poczucie lokalnej tożsamości. W opublikowanej pod koniec ubiegłego roku ankiecie przeprowadzonej przez sondażownię Taiwan Public Opinion Foundation na temat tożsamości narodowej, 76,1 proc. respondentów zadeklarowało, że identyfikuje się jako Tajwańczycy; 10,1 proc. uznaje się za Chińczyków; 9 proc. za Tajwańczyków i Chińczyków jednocześnie; 4,5 proc. nie ma zdania; 0,4 proc. odmówiło odpowiedzi na to pytanie.

eprasa.pl 828fb90d81

Japonia

20 marca w Japonii obchodzono 30. rocznicę zamachu terrorystycznego, przeprowadzonego przez japońską sektę religijną Aum Shinrikyo, założoną przez Shoko Asaharę (właściwe nazwisko: Chizuo Matsumoto). Tego dnia w 1995 roku, tuż po godzinie 7 rano, członkowie sekty rozpylili gaz bojowy sarin w pociągach trzech linii metra w Tokio, w okolicach stacji Kasumigaseki, gdzie znajduje się siedziba japońskiego parlamentu. W wyniku ataku zginęło 12 osób, a ponad 5 tys. zostało poszkodowanych, w tym 135 członków personelu medycznego, którzy udzielali pomocy. Przyczyną ich trudności były brak sprzętu ochronnego oraz nieznajomość metod postępowania po ataku sarinem. Tragedia zaskoczyła nie tylko personel medyczny, lecz także policję. W wywiadzie udzielonym 15 marca br. portalowi „Japan Times" Takashi Kakimi, były szef Biura Spraw Kryminalnych Narodowej Agencji Policji, stwierdził, że jednostki policyjne były całkowicie nieprzygotowane na atak. Kakimi przyznał, że zbyt późno uznano Aum Shinrikyo za organizację stanowiącą zagrożenie. Już w 1994 roku policja miała informacje sugerujące, że sekta prawdopodobnie dysponuje niebezpiecznymi związkami chemicznymi, jednak nie podjęto wówczas decyzji o przeprowadzeniu nalotów na jej siedziby. Dopiero dwa dni po ataku około 2,5 tys. członków różnych jednostek policyjnych przeszukało 25 lokalizacji związanych z sektą. W trakcie tych działań odkryto chemikalia oraz sprzęt niezbędny do produkcji sarinu. W 1997 roku specjalna komisja rządowa zdelegalizowała Aum Shinrikyo. Atak sekty nie miał żadnego konkretnego celu; był jedynie aktem destrukcji i wyrazem obłędnych przekonań. Przywódca sekty, Shoko Asahara, uważał, że jedynie apokaliptyczny wstrząs może może uzdrowić społeczeństwo Japonii. Terroryści biorący udział w akcji zostali skazani na karę śmierci. 6 lipca 2018 roku wyrok wykonano na założycielu sekty oraz sześciu jej członkach poprzez powieszenie. Natomiast 31 lipca przeprowadzono egzekucje pozostałych członków sekty. Wydarzenia z 20 marca 1995 roku wstrząsnęły nie tylko Japonią, która dotąd uchodziła za jeden z najbezpieczniejszych krajów na świecie. Nawet 30 lat po tragedii wiele ofiar zmaga się z problemami zdrowotnymi związanymi z działaniem sarinu, takimi jak depresja, trudności w oddychaniu czy uszkodzenia mózgu.

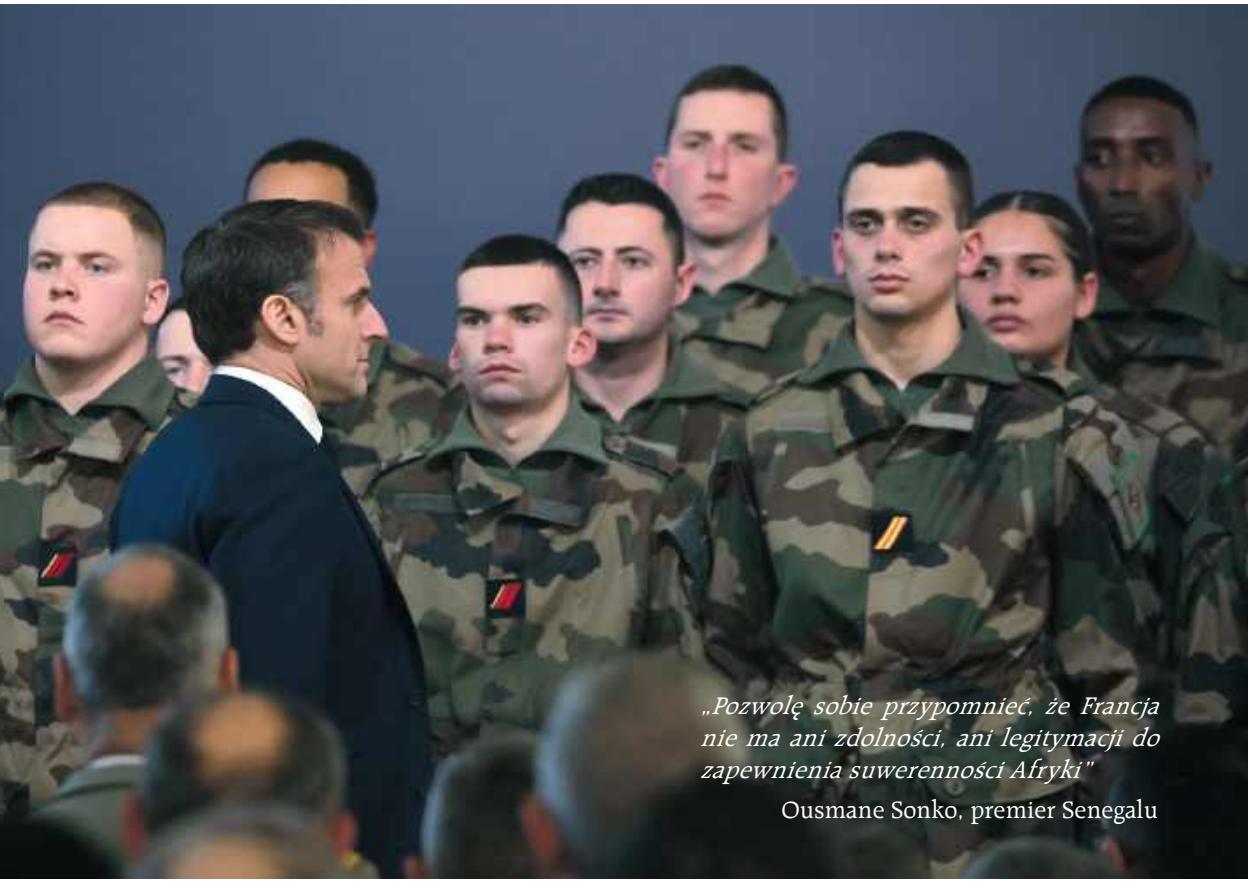
Korea Północna

Pod koniec lutego w wiosce Songjong-rii, położonej w prowincji Hwanghae Południowe w Korei Północnej, przeprowadzono publiczną egzekucję trzech mężczyzn. Każdy z nich został ostrzelany 90 nabojami z karabinu maszynowego za próbę ucieczki do demokratycznej Korei Południowej – informuje Radio Wolna Azja (RFA). Ofiary miały około 30 lat i zostały zatrzymane w styczniu, gdy zagubiły się we mgle na morzu, próbując uciec łodzią do Korei Płd. Według świadków egzekucji przed rozstrzelaniem władze oświadczyły opinii publicznej, że trio planowało ucieczkę od miesięcy. Zebrało fundusze na zakup małej łodzi i wyruszyło w podróż 6 stycznia w ciągu dnia, mając nadzieję, że przekroczy granicę morską nocą. RFA informuje, że wśród osób zmuszonych do oglądania egzekucji były dzieci, które płakały z przerażenia. Niektórzy z mieszkańców wioski zemdleli. Następnie zwłoki rozstrzelanych zostały „spalone na oczach przerażonych mieszkańców wioski". Jak podaje RFA, „[…] incydent ten odzwierciedla surowsze kary dla uciekinierów, którzy w ubiegłych latach byli wysyłani do obozów reedukacyjnych na maksymalnie 15 lat".

Publiczne egzekucje w Korei Płn. są powszechnym zjawiskiem, stosowanym w przypadku przestępstw takich jak morderstwo, handel ludźmi, a także dystrybucja południowokoreańskich filmów wideo. Ostatnio kara śmierci jest orzekana także wobec osób, które pomagają innym Koreańczykom z Północy w ucieczce. 31 sierpnia ubiegłego roku stracono dwie kobiety, które pomogły innym uciec przez Chiny do Korei Płd. Najpierw zostały one poddane publicznemu procesowi na targowisku w mieście Chongjin. Jego świadkami były setki mieszkańców oraz kupców. Proces trwał zaledwie godzinę, po czym kobiety rozstrzelano.

Od zakończenia wojny koreańskiej (1950–1953) ponad 34 tys. osób uciekło z Korei Płn. i osiedliło się w Korei Płd. Bezpośrednie próby ucieczki na Południe są rzadkością; najczęściej uciekinierzy najpierw kierują się do Chin. Tam należy unikać schwytania i przymusowej repatriacji przez chińskie władze, a następnie dotrzeć do Azji Południowo-Wschodniej, na przykład do Wietnamu lub Tajlandii. Stamtąd z pomocą ambasady Korei Płd. może być zorganizowany przelot do Seulu. Wśród osób uciekających z Korei Płn. przez Chiny znaczną część stanowią kobiety. Po przekroczeniu granicy z Chińską Republiką Ludową wiele z nich staje się ofiarami chińskich przemytników, którzy wykorzystują ich desperację i sprzedają je do niewoli. Te kobiety i dziewczęta często są zmuszane do prostytucji. Niektóre z tych, uciekających z „socjalistycznego raju", są zmuszane do małżeństw z Chińczykami, którzy nie mogą znaleźć „chińskiej żony". ■

eprasa.pl 828fb90d81



„Pozwolę sobie przypomnieć, że Francja nie ma ani zdolności, ani legitymacji do zapewnienia suwerenności Afryki"

Ousmane Sonko, premier Senegalu

Antoni Rybczyński

Pożegnanie z Afryką Francuską

Do stycznia 2025 roku sześć krajów zachodnioafrykańskich – kolejno Mali, Burkina Faso, Niger, Czad, Senegal i Wybrzeże Kości Słoniowej – zerwało więzi wojskowe z Francją. To tylko pierwszy krok do zakończenia postkolonialnej relacji z dawną metropolią.

eprasa.pl 828fb90d81

Wsylwestrową noc prezydent Wybrzeża Kości Słoniowej Alassane Ouattara ogłosił, że 600 francuskich żołnierzy stacjonujących w tym zachodnioafrykańskim kraju ma się wynieść w ciągu miesiąca. Siedem dni wcześniej premier Senegalu Ousmane Sonko potwierdził, że Francja będzie musiała zamknąć swoje bazy i ewakuować 160 wojskowych do końca 2025 roku. Chwilę wcześniej za wojskową obecność Paryżowi „podziękował" Czad – uchodzący do tej pory za najpewniejszego sojusznika Francji w tej części Afryki. Wcześniej, w ciągu ostatnich paru lat, Francuzów – nie tylko w sensie wojskowym, lecz także gospodarczym, politycznym, kulturowym – wyprosiły, po przewrotach wojskowych, junty w Mali, Burkina Faso i Nigrze. Pięć lat temu Francja miała na kontynencie 10 tys. żołnierzy, w większości walczących z dżihadystami. Do końca tego roku będzie ich tylko (maksymalnie) 2 tys., głównie w Dżibuti i Gabonie.

▶ Francafrique, czyli strategia postkolonialna Paryża

Przez dziesięciolecia Francja utrzymywała swoje wpływy w byłych koloniach dzięki bliskim związkom z lokalnymi elitami. Ta dynamika utrzymywała się w ramach tzw. Francafrique, która zapewniła Francji uprzywilejowany status w kwestiach gospodarczych, bezpieczeństwa i rozwoju dużej części kontynentu. Po uzyskaniu niepodległości przez kolonie w latach 60. XX wieku Paryż zbudował silną sieć powiązań z afrykańskimi przywódcami i elitami, aby chronić rozległe interesy gospodarcze Francji i utrzymać francuskie wojska na miejscu. Na kontynencie działa ponad 200 francuskich firm, w tym gigant naftowo-gazowy Total oraz Orano, który wydobywa uran do zasilania francuskich elektrowni jądrowych. Francuskie wojska działały w całym regionie, zapewniając szkolenia i pomagając lokalnym siłom zbrojnym w walce z różnego rodzaju rebeliami.

W przeszłości francuska polityka zagraniczna postrzegała rządy afrykańskie jako młodszych partnerów stojących na straży interesów Francji, które były również w ich – tych afrykańskich elit – najlepszym interesie. Jednak z każdą kolejną dekadą słabły więzi lokalnych elit z dawną metropolią. Coraz więcej wojskowych i urzędników odbierało edukację w innych krajach niż Francja. Globalizacja gospodarcza otworzyła też nowe możliwości współpracy biznesowej i nowych inwestycji z innych niż Francja krajów. Te długotrwałe procesy przyspieszyły w ostatnich latach. Co więcej, okazało się, że francuska klasa polityczna nie jest na to przygotowana. „Reakcja francuskiej elity politycznej na malejące wpływy w Afryce Zachodniej i Sahelu charakteryzuje się uderzającym stopniem apatii" – mówi politolog Arnaud Bertrand. Bardziej zajmują ją inne kryzysy i inne części świata, doszła wojna na Ukrainie, a w samej Francji rośnie prawica sceptyczna wobec UE, ale też mniej zainteresowana utrzymywaniem postkolonialnych powiązań i ułudy globalnej mocarstwowości Paryża. Niepowodzenie operacji „Barkhane", największej zagranicznej operacji wojskowej Francji od dziesięcioleci, jeszcze bardziej zraziło francuską opinię publiczną do Afryki. Misja, która kosztowała miliardy euro i życie 53 francuskich żołnierzy, nie osiągnęła celu zapewnienia bezpieczeństwa w zachodnim Sahelu i została zakończona w 2022 roku. To właśnie niezdolność do osiągnięcia satysfakcjonujących wyników w zakresie pomocy byłym koloniom w zakresie bezpieczeństwa stała się elementem, który przesądził o szybko postępującej erozji wpływów Francji na Czarnym Lądzie.

W styczniu 2013 roku prezydent Francois Hollande z wielką pompą inaugurował w Mali operację „Serval", interwencję wojskową rozpoczętą w następstwie rezolucji Rady Bezpieczeństwa ONZ i prośby Bamako o pomoc wojskową, która odepchnęłaby grupy islamskich bojowników siejące spustoszenie w regionie. Hollande reklamował tę misję jako plan przyszłej współpracy, a w następnym roku przy wsparciu Francji utworzono G5 Sahel – regionalną inicjatywę bezpieczeństwa. Po dekadzie widać, że Paryż nie spełnił oczekiwań partnerów. Prowadzone przez Francję interwencje wojskowe nie zdołały powstrzymać przemocy, a także pozwoliły różnym frakcjom rebeliantów podważyć rządy centralne. W międzyczasie ubóstwo, wysiedlenia, korupcja, napięcia etniczne i tysiące ofiar trwających konfliktów, których region doświadcza od ponad dekady, podsycały lokalne niezadowolenie, a także powszechne przekonanie, że Francja jest winna niestabilności w regionie.

Z wojskowego punktu widzenia Francja osiągnęła granice swojej interwencji w Sahelu, a operacje „Serval" (2013–2014) i „Barkhane" (2014–2022) nie wyeliminowały zbrojnych grup islamistycznych rozprzestrzeniających się w regionie. Francja miała nadzieję na utworzenie skutecznej koalicji państw afrykańskich i europejskich, ale tym pierwszym brakowało środków do zaangażowania się, a te drugie nie chciały angażować się w coś, co postrzegały jako wojnę nie do wygrania. Efekt? Pomimo obecności tysięcy francuskich żołnierzy nie udało się spacyfikować zbrojnych grup antyrządowych, od Tuaregów

FOT. CHRISTOPHE PETIT-TESSON/POOL/PAP/EPA

eprasa.pl 828fb90d81

z separatystycznego AZAWAD po dżihadystów z filii al-Kaidy (Jama›at Nusrat al-Islam wal-Muslimin, JNIM) oraz Państwa Islamskiego Prowincji Sahelu (ISSP). Islamscy terroryści skutecznie walczą z siłami bezpieczeństwa Mali, Nigru i Burkina Faso. Coraz częściej wdzierają się do sąsiednich, leżących nad Zatoką Gwinejską Wybrzeża Kości Słoniowej, Ghany i Beninu. Nic dziwnego, że w ciągu ostatnich pięciu lat w kolejnych krajach Sahelu wojsko obaliło profrancuskie rządy cywilne, po czym zrezygnowało z wojskowego wsparcia Paryża. Do stycznia 2025 roku sześć krajów zachodnioafrykańskich – kolejno Mali, Burkina Faso, Niger, Czad, Senegal i Wybrzeże Kości Słoniowej – zerwało więzi wojskowe z Francją. To tylko pierwszy krok do zakończenia postkolonialnej relacji z dawną metropolią.

▶ Efekt domina: od Sahelu do Zatoki Gwinejskiej

Mali, Burkina Faso i Niger wystąpiły z Międzynarodowej Organizacji Frankofonii (OIF), skupiającej rządy krajów francuskojęzycznych. Cała trójka należała do członków-założycieli OIF. Ich wyjście z organizacji to kolejny krok podkreślający zerwanie przez te byłe kolonie francuskie więzi z Paryżem. Rząd w Bamako decyzję podjął 18 marca, rządy w Wagadugu i Niamej zrobiły to dzień wcześniej. Wcześniej cała trójka wojskowych junt, które zerwały więzi z Francją i zawarły sojusz z Rosją, wyszła z regionalnej ECOWAS (Wspólnota Gospodarcza Państw Afryki Zachodniej) i utworzyła własny Sojusz Państw Sahelu (AES). Jednak proces erozji wpływów Francji w tej ważnej części Afryki zaczął się wcześniej. W sierpniu 2020 roku grupa oficerów armii malijskiej zbuntowała się i przejęła władzę od cywilnego rządu w Bamako, powołując się na jego niezdolność do powstrzymania rosnącego poziomu przemocy. Rząd wojskowy wyprosił Francuzów, a w grudniu 2021 roku pojawili się w Mali wagnerowcy. Chwilę potem, w styczniu 2022 roku, kolejny pucz wojskowy miał miejsce w sąsiednim Burkina Faso. Zarzuty wobec władz cywilnych te same: bezsilność wobec zbrojnych islamistów i uległość wobec Paryża. W lutym 2023 roku junta nakazała wojskom francuskim opuszczenie terytorium Burkina Faso w ciągu miesiąca. Około 300 rosyjskich żołnierzy przybyło do kraju jeszcze w styczniu 2024 roku. Wcześniej, bo w lipcu 2023 roku, wojsko w Nigrze przeprowadziło zamach stanu, obalając i zatrzymując prezydenta Mohameda Bazouma. W grudniu 2023 roku rząd wojskowy wydalił francuskich żołnierzy, a w kwietniu 2024 roku pojawili się pierwsi Rosjanie z najemniczego Korpusu Afrykańskiego.

Francja część żołnierzy wyrzuconych z Mali i Burkina Faso przesunęła do Nigru, a gdy i stamtąd ich wyproszono, trafili jeszcze bardziej na wschód, do sąsiedniego Czadu. Wydawało się, że na dłużej. W ostatnich latach Francja co najmniej dwukrotnie interweniowała w Czadzie przeciwko rebeliantom, którzy grozili obaleniem prezydenta Idrissa Deby'ego. Jednak w 2021 roku dyktator zginął w tajemniczych okolicznościach, a Paryż poparł siłowe przejęcie władzy przez syna Deby'ego, Mahamata. Tyle że ten postanowił pójść ścieżką wytyczoną już przez junty bloku AES. „Po 66 latach od uzyskania niepodległości przez Republikę Czadu, nadszedł czas, aby Czad potwierdził swoją pełną suwerenność i przedefiniował swoje strategiczne partnerstwa zgodnie z krajowymi priorytetami" – oświadczył 28 listopada 2024 roku minister spraw zagranicznych Abderaman Koulamallah. Wraz z tym oświadczeniem Czad ogłosił nagłe rozwiązanie umowy o współpracy obronnej z Francją. W tym samym dniu prezydent Senegalu Bassirou Diomaye Faye, który wygrał wybory w marcu 2024 roku, wezwał do usunięcia francuskich baz wojskowych. Francja rozpoczęła wycofywanie wojsk z baz w Senegalu na początku marca.

W listopadzie 2024 roku raport przedłożony Macronowi zalecał zmniejszenie liczby żołnierzy francuskich w Czadzie, Gabonie i Wybrzeżu Kości Słoniowej z 2200 do 600. Zgodnie z tymi planami, Czad miał zachować największy kontyngent, a liczba żołnierzy miała spaść z 1000 do 300. Czadyjski prezydent Mahamat Deby Itno uznał, że więcej może zyskać politycznie, przejmując kontrolę nad narracją i kończąc porozumienie na warunkach Czadu. Lepiej jest zdobyć krajowe punkty polityczne, wyrzucając Francuzów, niż polegać na zmniejszonych siłach, które nie mogą znacząco wzmocnić bezpieczeństwa. To był cios dla Paryża, bo baza w Czadzie była centrum sieci logistycznej w Afryce, a jej utrata poważnie utrudnia Francji wspieranie innych działań w Afryce Środkowej i Zachodniej. Kolejny cios przyszedł z Wybrzeża Kości Słoniowej. W swoim orędziu na koniec roku 2024 prezydent Ouattara powiedział, że rząd postanowił wydalić francuskie wojska, ponieważ armia Wybrzeża Kości Słoniowej jest „teraz skuteczna". Francuscy żołnierze pomagali lokalnej armii w walce z grupami zbrojnymi działającymi w Sahelu i rozszerzającymi się na kraje położone wzdłuż Zatoki Gwinejskiej.

▶ Nowy układ sił w Afryce

Kiedy Emmanuel Macron startował w wyścigu prezydenckim, kreował się na kandydata zmian.

eprasa.pl 828fb90d81

Niezależny, niezwiązany tradycyjną polityką partyjną, wydawał się postrzegać kolonialną historię Francji z nowej perspektywy i opowiadać się za innowacyjnymi rozwiązaniami. Jego głos był nieoczekiwany i zdecydowanie nowoczesny. Francuski kandydat na prezydenta wypowiedział słowa, których żaden francuski prezydent, nawet z lewicy, nigdy nie odważył się wypowiedzieć, opisując francuską kolonizację Algierii jako zbrodnię przeciwko ludzkości. Stosunki między francuskim Emmanuelem Macronem a Afryką Zachodnią również zaczęły się dobrze. Obejmując władzę w 2017 roku, Macron obiecał, że jest „z pokolenia, które nie chce mówić Afrykanom, co mają robić", i że nadchodzi nowa era współpracy w ramach Francafrique. Jednak prezydent – który w ciągu ostatnich pięciu lat zmagał się z rosnącymi nastrojami antyfrancuskimi w regionie – został oskarżony o robienie tego, czego obiecał nigdy nie robić. W przemówieniu do francuskich dyplomatów 6 stycznia Macron powiedział, że kraje afrykańskie wydalające jego wojska „zapomniały podziękować" Francji za pomoc w odpieraniu dżihadystów w ciągu ostatnich 10 lat. Jego uwagi wywołały gniew regionalnych przywódców, a prezydent Czadu Mahamat Idriss Deby Itno powiedział, że uwagi Macrona „graniczą z pogardą dla Afryki i Afrykanów". Nic dziwnego, że obecność Francji w Afryce nadal słabnie, a Paryż zafundował sobie konflikt z kolejną byłą kolonią.

Rośnie napięcie między Paryżem a Algierem. Obecny kryzys dyplomatyczny, określany przez analityków jako najpoważniejszy od czasu uzyskania przez Algierię niepodległości w 1962 roku, zwiększa ryzyko zerwania dwustronnych stosunków między Francją a jej byłą północnoafrykańską kolonią. Obecna kłótnia została wywołana w lipcu 2024 roku przez poparcie Macrona dla roszczeń Maroka do Sahary Zachodniej. Bogate w surowce terytorium jest w większości kontrolowane przez Maroko, ale walczy z nim Front Polisario, ruch niepodległościowy wspierany przez Algierię. Posunięcie Paryża rozwścieczyło Algier, który ogłosił „wycofanie ze skutkiem natychmiastowym" swojego ambasadora we Francji. Od tego czasu stosunki uległy pogorszeniu, zaś Paryż oskarża Algierię o umieszczenie na czarnej liście francuskich firm ubiegających się o zamówienia publiczne, zastąpienie języka francuskiego angielskim w szkolnictwie podstawowym i blokowanie współpracy w kwestiach bezpieczeństwa.

Miejsce Francji w Afryce zajmują stopniowo, prowadzące agresywną politykę, w przeciwieństwie do pasywności Paryża, Rosja, Chiny, Turcja, a nawet Iran. W przeciwieństwie do Francji, nie są obciążone dziesięcioleciami współpracy ze skorumpowanymi lokalnymi elitami. Korumpują nowe elity, mają więcej do zaoferowania. Układ sił w Afryce ulega dramatycznej zmianie. Francja nie może już sobie pozwolić na dominację, a Stany Zjednoczone mają inne priorytety. Chiny i Rosja – pierwsza gospodarczo, druga militarnie – nieuchronnie wyprą dawne sieci i interesy, a Turcja również wkracza do walki. Sfrustrowani przywódcy Francji nie mogą nic na to poradzić. Nie mogą konkurować z Rosją na poziomie militarnym ani z Chinami na poziomie gospodarczym. Chińskie inwestycje w Afryce nie tylko przyćmiewają te francuskie, lecz także przekraczają inwestycje wszystkich krajów zachodnich razem wziętych. Francuski eksport do Afryki stanowi zaledwie jedną czwartą chińskiego, pomimo stosunkowo niedawnego pojawienia się Chin na tym kontynencie. Co gorsza, francuscy przywódcy nie zdołali zrozumieć zmieniającego się charakteru struktur władzy w swych byłych koloniach, gdzie nowe reżimy i nowe elity mają mniej historycznych i gospodarczych powiązań z Paryżem. Jedyny francuski prezydent, który wykazał gotowość, przynajmniej początkowo, do zakwestionowania hegemonicznej polityki Francafrique – choć nie udało mu się całkowicie z nią zerwać – próbuje zachować choć część francuskich wpływów, które są wyraźnie nie do utrzymania w dłuższej perspektywie. Francja jest dziś zredukowaną potęgą gospodarczą i militarną, której brakuje środków do kształtowania polityki Afryki. ■

> To niezdolność do osiągnięcia satysfakcjonujących wyników w zakresie pomocy byłym koloniom w zakresie bezpieczeństwa stała się elementem, który przesądził o szybko postępującej erozji wpływów Francji na Czarnym Lądzie.

eprasa.pl 828fb90d81



Stefan Czerniecki
czerniecki.net

„Trzeci Watykan” od środka

Zachodni kraniec wzgórza Monte Mario znajduje się w linii prostej niespełna 4 kilometry od Watykanu. I choć oficjalnie miejsca tego nie łączy ze Stolicą Apostolską nic, to jednak od lat właśnie jemu kolejni papieże zawdzięczali to, że nadal byli papieżami. Zaś o Poliklinice Gemelli usłyszał dziś na świecie niemal każdy. Jak wygląda wnętrze najsłynniejszego szpitala na świecie?

Na pamiątkę po licznych wizytach w tym miejscu Jana Pawła II na głównym placu pod kliniką od 2009 roku stoi monument poświęcony jego pamięci

eprasa.pl 828fb90d81

Na placu św. Piotra jest już grupa ludzi, która przyszła czuwać w intencji zdrowia papieża. Bazylika przynajmniej od godziny jest zamknięta dla odwiedzających. Pięknie oświetlona nocą, zaprasza znajdujących się na placu do wejścia w inny wymiar obecności. Wycisza rozmowy, koi zmysły.

Na wielkim ekranie, na którym zwykle transmitowane są ceremonie liturgii z wnętrza bazyliki, tudzież z placu, tym razem widać tylko żółty napis na czarnym tle: o godzinie 21 różaniec za papieża.

Jest też Margarita. Wyciąga swój wysłużony i wyściskany od tylu już lat drewniany różaniec i czeka aż z głośników popłynie charakterystyczne włoskie: „Nel nome del Padre, e del Figlio, e dello Spirito Santo…" I zacznie się modlitwa. W tej jednej intencji. O siły i zdrowie dla następcy św. Piotra. Za papieża z Argentyny. Za ojca świętego Franciszka. Kto wie, czy czasem i on nie śledzi w tej chwili transmisji z tego wydarzenia, leżąc w szpitalnym łóżku. Niecałe 4 kilometry stąd. W Poliklinice Gemelli.

Wejście

Północno-zachodnie rubieże Wiecznego Miasta. Szeroka prowadząca na północ Via della Pineta Sacchetti okala rozległe zielone tereny Parco del Pineto. Stanowiąc jednocześnie jakby granicę dzielnicy Quartiere XXVII. Ruch na rzymskich ulicach jak co poranek. Każdy gdzieś się spieszy. Powoli przesuwający się korek aut wypełnia każdą większą ulicę miasta. Nie sposób go ominąć. Choć niektórzy czasem i tak próbują. Jak choćby ten czarny bus, który właśnie wyjechał z rzędu stojących w korku aut, by korzystając z przeciwnego pasa jechać pod prąd dobre 100 metrów. W tej części miasto to akurat częsty przypadek. I, co tu wiele ukrywać, zwykle uzasadniony. Kilkaset metrów stąd znajduje się najsłynniejszy z rzymskich szpitali: Poliklinika Gemelli. Jeszcze chwilka i powinniśmy być na miejscu.

Po prawej stronie szeroka brama wjazdowa. Dalej pojadą tylko ci, którzy mają przepustkę. My musimy iść na piechotę. Jak pacjenci. Nad głównym wejściem widać pokaźnych rozmiarów napis: „Universita' Catolica del Sacro Cuore". Po prawej niski budynek apteki Gemelli. Po przekroczeniu bramy polikliniki widać rozwidlające się uliczne rampy. Jedna prowadzi szerokim łukiem na prawo, druga na lewo. Pomiędzy nimi rosnące palmy. Dużo zieleni. Dla pieszych przewidziano krótszą drogę. Wiedzie schodkami w dół. Mijamy ludzi wychodzących ze szpitala. Część ciągnie walizki na kółkach. Stukot plastiku o bruk miesza się z odgłosem jeżdżących wokoło samochodów. Za chwilę ten drugi ustanie. Zejdziemy po schodach w dół. Tam już żadne auto nie wjedzie. To główny plac Gemelli. I chyba najbardziej znany.

Częsty gość

Biały marmurowy pomnik stoi na środku pokrytego rudawą kostką placu. Jan Paweł II ma na nim 3,5 metra wysokości. Obiema rękami opiera się o krzyż papieski. Pochylona głowa. Przymrużone oczy. Skupienie. Pokora. Oddanie. Nie sposób ominąć tej rzeźby. Nie sposób się jej nie przyjrzeć. Wita każdego, kto wchodzi do kliniki. Żegna każdego, kto z niej wychodzi.

Stojący w tym miejscu już od 2009 roku pomnik to bez wątpienia najsłynniejszy szpitalny pomnik papieża. Autorem monumentu jest 61-letni dziś rzeźbiarz z Toskanii, Stefano Pierotti. Nad dziełem, które podarował Klinice Gemelli, pracował siedem miesięcy. We Włoszech nikt nigdy nie miał wątpliwości co do tego, komu taki pomnik pod rzymską kliniką powinien być dedykowany. Dla każdego rzymianina było to oczywistością.

Jeszcze podczas uroczystego odsłonięcia pomnika rektor Katolickiego Uniwersytetu Serca Jezusowego w Rzymie zauważył, że Jan Paweł II odwiedził klinikę zaraz po swoim wyborze na Stolicę Piotrową. Chciał podtrzymać na duchu leżącego w szpitalu kard. Andrzeja Marię Deskura. Papież nazwał to miejsce trzecim Watykanem. Odwiedzał je jeszcze przynajmniej kilka razy. Wszak to nie gdzie indziej jak w szpitalu Katolickiego Uniwersytetu Serca Jezusowego papież poddał się zabiegowi usunięcia guza jelita (1992), wycięcia wyrostka robaczkowego (1996) czy tracheotomii (na kilka tygodni przed śmiercią w 2005 roku). Najsłynniejsza jednak z wizyt Ojca Świętego w tym miejscu odbyła się znacznie wcześniej.

Błogosławieństwo dla pierwszego pacjenta

13 maja 1981 roku. Plac św. Piotra. Jest godzina 17:17. Nieopodal północnej końcówki kolumnady Berniniego. Po pełnym 20 tys. rozentuzjazmowanych wiernych placu powoli przesuwa się biały jeep o numerach rejestracyjnych SCV3. Auto prowadzi Sebastian Baglioni. Wiezie papieża. Pierwszego w dziejach Kościoła Ojca Świętego z Polski. Człowieka, o którym coraz głośniej mówi się, że zmienia oblicze papiestwa. Przez swoją tytaniczną pracę, przez liczne pielgrzymki i spotkania staje się najbardziej rozpoznawalnym człowiekiem na świecie.

Papież bierze na ręce podaną mu półtoraroczną Sarę Bartoli, córkę pewnej rzymskiej katechetki z parafii w Lariano. Całuje dziewczynkę i oddaje matce. Wtedy z tłumu padają trzy strzały. Podniosły i radosny nastrój pryska niczym bańka mydlana. Turecki zamachowiec wystrzeliwuje w kierunku Jana

eprasa.pl 828fb90d81



Odwzorowana w wadowickim muzeum Dom Rodzinny Jana Pawła II sala szpitalna, w której papież dochodził do siebie po zamachu i operacji.

Pawła II. Nie wiedząc, że Ojciec Święty już od niespełna dwóch lat nie przywdziewa kamizelki kuloodpornej, celuje w brzuch papieża. I rzeczywiście jedna z wystrzelonych z odległości trzech metrów kul sięga celu. Papież osuwa się na podłogę swojego papamobile. Rana obficie krwawi.

Biały jeep przyśpiesza. Rusza w kierunku Arco delle Campane, w stronę znajdującej się po lewej stronie bazyliki Bramy Dzwonów. Tam na Ojca Świętego czeka już karetka. Sam poświęcał ten nowy zakup dla watykańskiego Centrum Medycznego zaledwie dzień wcześniej, mówiąc, że „błogosławi również pierwszego pacjenta, który będzie wieziony tym ambulansem". Nie mógł przewidzieć, kto będzie tym pacjentem.

Kierunek: klinika Gemelli. Którędy jednak jechać? Trasą okrężną czy krótszą, ale znacznie bardziej zakorkowaną w godzinach szczytu? Ksiądz Stanisław Dziwisz podejmuje decyzję. Pojadą trasą dłuższą.

Karetka rusza. Diabeł jednak dalej wierzga. Po kilkuset metrach w ambulansie pada syrena i sygnał dźwiękowy. Kierowca raz po raz musi używać klaksonu. Mimo to pędzi najszybciej jak tylko umie. Wskutek pośpiechu zapomniano zamontować łóżka papieża do ścian pojazdu. Papież więc co rusz podczas jazdy uderza głową o kolano siedzącego przy nim księdza Stanisława. Dojeżdżają na miejsce. Trasę, której pokonanie zajmuje w godzinach szczytu minimum pół godziny, ambulans pokonuje w osiem minut.

Gdy Rzym na chwilę staje

Dziesiąte piętro kliniki Gemelli. Papież jest już po operacji. Profesor Francesco Crucitti przyjechał do Gemelli z innego szpitala przy Via Aurelia tak szybko, jak tylko mógł. Łamiąc zakazy ruchu drogowego. Pomimo grożącego mu karabinem maszynowym policjanta. A od pewnego momentu pilotowany przez innego policjanta na motorze. Gdy o godzinie 17:55 otworzył brzuch Jana Pawła II, nie było widać źródła krwotoku. Wszystko było zalane krwią. Żeby do niego dotrzeć, chirurg musiał oczyścić wnętrze organizmu z trzech litrów krwi. Następnie wyciął 55-centrymetrowej długości kawałek jelita. Zszył okrężnicę. Okazało się, że kula mimo przewibrowania na wylot przez ciało Ojca Świętego nie poczyniła uszkodzeń w żadnym z ważnych organów niezbędnych do życia. Otarła się o kręgosłup, ominęła tętnicę główną, biodrową i moczowód. Jakby biegnąc zygzakiem. Crucitti skończy operację po pięciu i pół godzinie.

eprasa.pl 828fb90d81

W swoim pokoju szpitalnym papież spędzi jeszcze trzy tygodnie. To właśnie stąd rozchodziły się w świat nagrywane dla Radia Watykańskiego papieskie przemówienia. Nagrania realizował 24-letni dziennikarz Sean-Patrick Lovett. – Próba zamachu miała miejsce w środę, a on [papież – przyp. aut.] w niedzielę zdecydował się odmówić modlitwę Regina Coeli ze szpitala Gemelli. Nasi technicy z Radia Watykańskiego byli z nim w pokoju. Na dźwięk jego głosu Rzym dosłownie stanął w miejscu – wspomina dziś.

W oczekiwaniu

Sławne szpitalne okno papieskiej sali na 10. piętrze kliniki Gemelli stało się w tamtym czasie, cytując prof. Ornaghiego, „katedrą cierpienia i świadectwa". Setki wycelowanych w to miejsce obiektywów paparazzi, wyczekujących dzień i noc pod kliniką na jakikolwiek gest papieża, na to, aby ten choć na chwilę pojawił się w oknie. Przyjdzie i na to czas. Cierpliwość fotoreporterów zostanie nagrodzona.

Dziś, w marcu 2025 roku, pod tym względem jest podobnie. Pod kliniką co rusz widać kręcące się ekipy dziennikarzy newsowych. Część z korespondentów właśnie stąd nagrywa swoje „setki" dla rodzimych redakcji. Część z wystawionymi w papieskie okno na 10. piętrze lufami obiektywów czeka na ten moment. Ten, który póki co jeszcze nie nadszedł.

Papież Franciszek został przewieziony do szpitala Gemelli w piątek 14 lutego. Z początkową diagnozą ostrego zapalenia oskrzeli. Wówczas nic nie wskazywało na to, że hospitalizacja Ojca Świętego może potrwać tak długo. Dopiero gdy u Franciszka stwierdzono obustronne zapalenie płuc, stan papieża określono jako krytyczny.

Z komunikatów przekazywanych dziennikarzom przez szpital wynika, że na podstawie badań rentgenowskich lekarze potwierdzili ostatnio lekką poprawę. Twierdzi się, że to bezpośrednie zagrożenie minęło, a obecnie organizm papieża musi po prostu odzyskać siły. Lekarze czekają na nowe wskaźniki, by odnotować dalszą poprawę jego stanu zdrowia.

„Apartamenty papieskie"

Szpital mimo obecności w nim bardzo ważnych osób dalej działa w sposób normalny. Nadal mogą tu przychodzić pacjenci. Nadal znajdą tu skuteczną pomoc. Wielu jednak przychodząc w tych dniach leczyć się do kliniki Gemelli, zastanawia się, co w tej chwili dzieje się tam na górze, na 10. piętrze, gdzie mają się znajdować sławne apartamenty papieskie.

Bo rzeczywiście wielu zapytuje o warunki, w jakich leczeni są papieże w tutejszej klinice. Z pomocą przychodzą nam w tej sytuacji archiwalne zdjęcia, na jakie zezwalał Ojciec Święty Jan Paweł II. Fotograf poczynił te ujęcia kilka dni po pamiętnej operacji 13 maja 1981 roku. Co na nich widać? Szpitalne łóżko, szafkę, kawałek korytarza. Telewizor, na którym papież miał zwyczaj oglądać transmisję modlitwy Anioł Pański z Watykanu. Jest też niewielka kaplica, w której kilka osób uczestniczy we Mszy świętej odprawianej przez samego papieża. Do przepychu, który zwykle kojarzy nam się z frazesem o „papieskich apartamentach", jednak tu daleko.

Wszystko wskazuje, że papież Franciszek przebywa obecnie w tych samych „papieskich apartamentach" 10. piętra budynku Gemelli, w których przed kilkudziesięciu laty przebywał Jan Paweł II. Z tą różnicą, że do mediów nie przedostaje się dziś żadne zdjęcie z pobytu Ojca Świętego w klinice.

Szpital pachnący Wojtyłą

Godzina 8 rano. Dzień w klinice Gemelli zaczął się na dobre przynajmniej kilka godzin temu. O tej porze przy głównym wejściu znajduje się już naprawdę mnóstwo ludzi. Można tu się poczuć troszkę jak na rzymskim dworcu kolejowym Termini. Ktoś przeciska się do windy. Ktoś pyta siedzącego za szeroką szybą ochroniarza o drogę na oddział. Dwóch młodych lekarzy w białych kitlach szybkim krokiem idzie w stronę zlokalizowanej po lewej stronie szpitalnej restauracji. Zamawiają dla siebie po porannym espresso. Po chwili wracają z powrotem szerokim przejściem prowadzącym do jasnego patio z niewielką fontanną na środku i przeszklonym sufitem.

– Jesteś z Polski, prawda? – zapytuje mnie w pewnej chwili profesor Giuseppe Noia, były ordynator kliniki, z którym zwiedzam niedostępne zwykłemu rzymianinowi skrawki szpitala.

– Tak.

– To chodź, muszę ci coś pokazać – oznajmia z uśmiechem.

Przejście krętymi korytarzami i labiryntem klatek schodowych zajmuje nam trochę czasu. Przy okazji przekonuję się, że klinika ma już swoje lata. Stare pordzewiałe drzwi od windy, niedomykające się przejścia na oddziały. I monumentalna wielkość. Wielkie są tu zarówno korytarze, jak i sale operacyjne.

– Jesteśmy na miejscu – przerywa ciszę Noia, gdy docieramy wreszcie do docelowego odcinka. – Proszę się tylko rozejrzeć.

Stoimy pośrodku opustoszałego jasnego korytarza. Sporadycznie przechodzi przez niego jakiś lekarz bądź pielęgniarka.

– Mamy szczęście – kontynuuje oprowadzający mnie profesor. – To jeden z bardziej ruchliwych od-

eprasa.pl 828fb90d81



Do szpitalnej kaplicy wstęp ma każdy. Także goście odwiedzający klinikę.

cinków kliniki. Zwykle przechodzi tędy mnóstwo ludzi. Teraz jednak mamy go praktycznie dla siebie. Zrobi pan dzięki temu lepsze ujęcia.

Rozglądam się uważnie. Na obu ścianach korytarza zgromadzono pamiątkowe fotografie po wizytach w szpitalu Jana Pawła II. Organizujący wystawę mieli z czego wybierać. Wszak Ojciec Święty spędził w klinice Gemelli 153 dni i 152 noce. Miał duże zaufanie do tamtejszych lekarzy. Kardynał Dziwisz zdradził, że usłyszał niegdyś od papieża, żeby w razie choroby leczyć go właśnie w tym szpitalu. Za każdym razem wizyta Jana Pawła II w tym miejscu była drobiazgowo dokumentowana. Dziś pracownicy Gemelli chcą oddać wielkiemu Polakowi honor za tę okazaną sympatię i zaufanie.

– Jan Paweł II stał się nieformalnym patronem całej kliniki. Podobne pamiątki po nim, jak te tutaj, znajdziesz niemal na każdym odcinku, na większości oddziałów. Można by rzec, że Gemelli pachnie Wojtyłą.

Etyka, szpital i lekarze

Wbrew obiegowej opinii klinika Gemelli wcale nie jest wiekową placówką. Szpital powstał dopiero w 1964 roku założony przez zakon karmelitów bosych. Dziś kontynuuje swoją przynależność do katolickich korzeni, przynależąc do rzymskiego Uniwersytetu Katolickiego „Sacro Cuore". Placówka została zaprojektowana z myślą o integracji medycyny i duchowości. Można by rzec, że powstała w odpowiedzi na potrzebę stworzenia placówki, która łączyłaby wiedzę medyczną z etyką chrześcijańską. Sama nazwa „Gemelli" pochodzi natomiast od nazwiska założyciela uczelni: franciszkanina, lekarza i psychologa Agostina Gemellego.

Według oficjalnych rozporządzeń opiekę nad zdrowiem papieży sprawuje Dyrekcja Służby Zdrowia i Higieny Państwa Watykańskiego. Bezpośrednio za stan zdrowia Ojca Świętego odpowiada zaś osobisty lekarz papieski. W tej materii każdy z nich ściśle współpracuje z zespołem specjalistów kliniki Gemelli. W czasach pontyfikatu Jana Pawła II funkcję osobistego lekarza papieskiego pełnił dr Renato Buzzonetti. To właśnie on posługiwał Ojcu Świętemu w ostatnich chwilach życia przy łóżku w Pałacu Apostolskim. O zdrowie Benedykta XVI dbał przede wszystkim dr Patrizio Polisca. Obecnym zaś lekarzem Ojca Świętego Franciszka jest dr Sergio Alfieri. Alfieri jest znanym we Włoszech chirurgiem. To on operował Franciszka w czerwcu 2023 roku, gdy Ojciec Święty poddany był zabiegowi laparotomii i operacji plastycznej ściany brzucha. Operację przeprowadzono właśnie tutaj. W klinice Gemelli. ■

eprasa.pl 828fb90d81

Tomasz Sakiewicz

Katastrofa dla Polski, katastrofa dla Europy, katastrofa dla USA

Rezygnacja z zakupów uzbrojenia w USA i coraz bardziej antyamerykański kurs spowodują wycofanie się Waszyngtonu z Europy. Zostaniemy więc z niedozbrojoną armią i bez amerykańskiego parasola. To dla Putina czy jego ewentualnych następców dostateczny powód, by ruszyć na Europę Wschodnią.

Pomysł stworzenia funduszu europejskiego na wydatki militarne to największe zagrożenie dla bezpieczeństwa Polski od 1989 roku. Ale to też ogromne ryzyko dla Europy i podważenie globalnej pozycji USA. Cel autorów tego pomysłu wydaje się oczywisty: zebrać co się da z wydatków państw członkowskich UE na zbrojenia i centralnie tym rozporządzać. Centralnie – oznacza dysponowanie przez urzędników z Brukseli, którzy są zdominowani przez niemiecką dyplomację. Realizowane przez Warszawę zakupy zbrojeniowe ze Stanów Zjednoczonych i z Korei Południowej zostaną wstrzymane, a pieniądze na zamówienia trafią do niemieckich firm. Nawet gdyby te środki były uczciwie dzielone, biorąc pod uwagę wydolność niemieckich fabryk, sprzęt trafi do nas za dziesięć lat. Oczywiście doświadczenia z funduszem covidowym wskazują na to, że na żadną uczciwość liczyć nie można. Przez dekadę Polska będzie po prostu bezbronna. Rezygnacja z zakupów w USA i coraz bardziej antyamerykański kurs spowodują wycofanie się Waszyngtonu z Europy. Zostaniemy więc z niedozbrojoną armią i bez amerykańskiego parasola. To dla Putina czy jego ewentualnych następców dostateczny powód, by ruszyć na Europę Wschodnią. Kwestią czasu jest to, kiedy to zrobi i podpali w rezultacie całą Europę. Izolacja Europy od USA doprowadzi wcześniej do jej marginalizacji gospodarczej i wzrostu znaczenia Chin na naszym kontynencie. Stany Zjednoczone bez Europy też bardzo wiele stracą. Dla amerykańskiego przemysłu militarnego Stary Kontynent mógł stać się wielkim rynkiem zbytu. Właśnie go traci, i być może bezpowrotnie. To samo zaraz będzie dotyczyć ropy i gazu.

Dla amerykańskiego przemysłu militarnego Stary Kontynent mógł stać się wielkim rynkiem zbytu. Właśnie go traci, i być może bezpowrotnie. To samo zaraz będzie dotyczyć ropy i gazu.

Cały projekt wywalenia USA z Europy nie miałby żadnego sensu, gdyby nie zmiana polityki w Warszawie. Co ciekawe, upadek proamerykańskiego, konserwatywnego rządu został sfinansowany przez administrację amerykańską i to doprowadziło do zmiany w Europie, która teraz wypycha USA z naszego kontynentu. Mamy narastającą katastrofę o skali, którą trudno wprost sobie wyobrazić, i trzeba to zatrzymać, zanim będzie za późno. ■

eprasa.pl 828fb90d81

polsat box

Telewizja na start

12 mies. bez opłat

Od 13. mies. 30 zł/mies., od 25. mies. 40 zł/mies. Pakiet S-57 kanałów.
Umowa na min. 24 mies.

AUDIO BY
BANG & OLUFSEN

Dolby
ATMOS



Oferta telewizji dla nowych Klientów na min. 24 mies. Zwolnienie z opłat nie obejmuje pakietów oraz opcji dodatkowych ani opłaty jednorazowej 1 zł za dekoder.
Łączna opłata za Pakiet S i udostepnienie dekodera polsat soundbox 4K od 13. mies. 45 zł/mies., a od 25. mies. 55 zł/mies.
Szczegóły w cennikach i regulaminach dostępnych u Sprzedawców i na polsatbox.pl
Renomowani akustycy z fi rmy Bang & Olufsen starannie zaprojektowali i udoskonalili dźwięk dekodera polsat soundbox 4K, aby uzyskać czyste i mocne brzmienie.
Dolby, Dolby Audio, Dolby Atmos i symbol podwójnego D są znakami towarowymi Dolby Laboratories Licensing Corporation

eprasa.pl 828fb90d81